

e f

Juliet Landon

Sekrety nocy

e f

Rozdział pierwszy

Galloway, Szkocja 1319

Suche poszycie leśne tłumilo odgłosy postępującego oddziału. Śpieszyli się, by o wschodzie słońca dotrzeć do zamku Kells. Poprzedniego wieczoru sir Alex Somers i jego ludzie ujrzeli warownię po drugiej stronie jeziora. Posadowiona na urwistym klifie, spoglądała z wysokości w lustro wody. Dzięki swemu położeniu na grani była chroniona z obu boków, od północnych zaś wiatrów osłaniały ją góry i lasy. Dalej, w głąb wąwozu, teren opadał, przechodząc w zielone pastwiska, na których pasły się kuce ciemnej maści, a ze skupiska krytych strzechą chat wznosił się błękitny dym.

Przyglądali się temu ukryci przy potoku, który spadał kaskadami po głazach aż do głębokiego stawu, szemrząc szumiącym sosnom do wtóru.

- Cofnijmy się do lasu, by trochę odpocząć - powiedział sir Alex do swego towarzysza. - Przypuszczam, że on niedługo wróci. - Jego słowa, wypowiedziane miękkim nizinnym akcentem, zabrzmiały raczej jak spostrzeżenie niż groźba.

Jego zastępca, Hugh Leyland, trochę niższy i nie tak barczysty, za to zręczny jak łasica, przyjął propozycję bez dyskusji, niemniej zależało mu na tym, by wyjaśnić kilka szczegółów.

- Mówiłeś, że ma syna?
- Zginął w walce przed kilku laty, został jednak kilkuletni wnuk.
- Mieszka tutaj, z sir Josephem?
- Tak sędzę. - W trakcie rozmowy sir Alex przeczesał wzrokiem otoczenie w poszukiwaniu jakiegokolwiek ruchu przy wieży bramnej i na ścieżce prowadzącej do lasu mającego w oddali.

Sprawiali wrażenie pary płowych lwów, które tak dobrze się znają, że nie mają nic przeciwko przyjacielskiej bójce dla wyładowania nadmiaru energii, ale jeden za drugiego poszedłby w ogień, podobnie jak wojownicy, którzy czekali z tyłu. Sir Alex, mężczyzna w kwiecie wieku, jako że ledwie przekroczył trzydzieści lat, imponował siłą i potężną budową. Na dodatek obdarzony został twarzą, której wspomnienie prześladowało kobiety w snach i prowokowało do całkiem niedopuszczalnych fantazji. Gęste włosy barwy ciemnoorzechowej opadały niesfornymi pasmami na czoło, ale to jego oczy sprawiały, że damom uginały się kolana. Miały ten sam intensywny odcień błękitu co bezchmurne letnie niebo, były jednak o wiele mniej niewinne.

- Moglibyśmy posłużyć się nim jako przynętą - stwierdził Hugh. - Zabierzemy małego i zażądamy okupu. Wrzeszczący dzieciak błyskawicznie zmiękczy dziadka. Czy chłopak ma matkę?

- Zazwyczaj tak jest, Hugh.
- Dowiem się. Zostaw to mnie.

Sir Alex nie roześmiał się. Skuteczność Leylanda, jeśli idzie o kobiety, była łatwa do przewidzenia. Obaj byli w tym mistrzami, pytanie tylko, czy tym razem ta umiejętność na coś się przyda. Dla takich ludzi, jak sir Joseph Moffat z zamku Kells w Galloway, poświęcenie kogoś z rodziny, gdyby zaszła taka potrzeba, to nic nadzwyczajnego. Był sędzią pokoju, właścicielem ziemskim, hodowcą koni, a przy tym agresorem, łajdakiem i złodziejem. Nie było takiego zła, przed którym by się cofnął, i z całą pewnością nie cierpiał na bezsenność wskutek wyrzutów sumienia.

- Lepiej na to nie liczymy - ostrzegł Alex. - Żeby wystraszyć kogoś takiego jak Moffat, potrzeba by było czegoś naprawdę wyjątkowego. Mało kto może równać się z nim doświadczeniem, byle czym go nie zaskoczmy.

Oparł się o drzewo i obserwował przyjaciela, który niespiesznie ruszył naprzód niczym wielki drapieжник, równie swobodny pod gołym niebem jak na najwspanialszych dworach Europy. Hugh towarzyszył mu od dziewięciu lat, tak jak każdy ze stuosobowej kompanii. Był o dwa lata młodszy od Aleksa, krzepki, rudawy, o kręconych włosach i wesołych oczach, i równie jak on łasy na wdzięki kobiet, które narzucały się im z bezwstydną ochotą.

Sir Alex spojrzął w stromą skalistą przepaść, po czym skinieniem ręki przywołał druha, dając mu znak, by zachował milczenie.

Zaintrygowany Hugh podpełznął bliżej.

- O co chodzi? - spytał szeptem.

Płynący wartko potok opryskiwał wodą omszałe głązy i spadał z nawisu skalnego do ukrytego stawu. Na suchych głązach nieopodal wodospadu leżał porządnie ułożony stosik ubrań, a ponad szum wody wznosiły się

piski i śmiechy, na dźwięk których przyjaciele wyszczerzyli zęby.

- Dziewczyna! - skomentował Alex.

- Dwie... widzisz? Mamy szczęście.

W tym momencie o płaską skałę oparły się dwie pary drobnych różowych dłoni, za nimi wyłoniły się dwie ciemne głowy w koronach z mokrych włosów. Potem nad taflą wody znalazły się lśniące ramiona, plecy i pośladki obu dziewczyn, które, dźwignąwszy się, otrząsnęły się z wody jak wydry i obróciły się, by usiąść na kamieniach. Wymachiwały teraz nogami, trącąc drobne fale wirujące wokół kostek, wykręcały ociekające wodą pasma włosów i odrzucały je na ramiona, odsłaniając przy tym piersi, na których krople wody, oświetlone blaskiem wschodzącego słońca, mieniły się niczym klejnoty. Złote, różowe i smukłe, wabiły niczym legendarne syreny.

- Słowo daję - zauważył Alex - warto było jechać tak daleko, żeby zobaczyć równie wspaniały widok. Myślisz, że to dziewczyny z zamku?

- Na pewno - odparł Hugh. - Do licha, Alex, mamy na to czas?

- Biedaczysko - zakpił przyjaźnie. - Wiesz, że nie mamy. Poza tym musimy pozostać w ukryciu... ale spójrz tylko na tę czarnulkę! Cudowna... - Gwizdnął cicho. - Co za ciało. I ta twarz.

- Mnie wpadła w oko ta niższa, istna dojrzała jagódka. Za dobre na wiejskie dziewczki i zbyt beztroskie jak na praczki. Mówię ci, to na pewno szwaczki zamkowe. - Zamilkli olśnieni urodą skalnych nimf, chłonąc każdy najdrobniejszy szczegół cudownej sceny. Wtem za plecami wyczuli jakiś ruch. Niewielka grupa podążających za nimi mężczyzn

podczołgała się bliżej i zamarła, wybałuszając oczy na widok nagich piękności.

Kobiety wstały i pozbierały rzeczy. Gdyby uniosły głowy w kierunku skały, mogłyby dostrzec milczącą widownię. Alex, Hugh i pozostali wycofali się szybko i powrócili do koni, zbyt poruszeni, by przemówić.

Pierwszy odzyskał głos sir Alex.

- Cóż, interesujący początek dnia. Jak myślicie, będziecie w stanie skupić się na czekającym nas zadaniu?

- Może uda nam się z nimi zagrać, jak już znajdziemy się w zamku - odparł ze śmiechem Hugh.

- Nikłe szanse, przyjacielu. Wiesz, jak to jest, mężczyźni będą trzymać kobiety z dala od nas, a najchętniej pod kluczem. Swoją drogą, miło byłoby jeszcze raz rzucić wzrokiem na tę czarnulkę, ubraną czy nie. Zobaczymy. - Uniósł głowę. Promienie światła zaczynały się przesączać przez drzewa, co groziło oddziałowi zdemaskowaniem. - Ukryj się z ludźmi głębiej w lesie, Hugh. Zostaw jednego, niech ma baczenie na ścieżkę i wieżę bramną. Reszta dosiądzie koni. Czy każdy wie, co ma robić?

- Tak - odparł Hugh, wsuwając stopę w strzemień. - Piękny poranek na atak.

Komnata lady Ebony Moffat znajdowała się na najwyższym piętrze zamku Kells. Z wąskich okien w grubych na osiem stóp kamiennych ścianach roztaczały się widoki na południe i wschód, hen za jezioro. Wychodzące na trzy strony świata otwory okienne w kształcie trójkątów miały wbudowane kamienne siedziska wysłane poduszkami. Jedna z wnek w rogu komnaty, oddzielona zasłoną od reszty pomieszczenia, tworzyła garderobę, a w kolejnym rogu były

drzwi, za którymi znajdowały się kręcone schody prowadzące na niższe piętro.

Naturalnie poduszek nie umieszczono tu po to, by mały Sam Moffat skakał po nich w radosnym podnieceniu. Okna też nie służyły po to, by wciskał w nie głowę i wyglądał na ścieżkę wiodącą do lasu. W rezultacie, kiedy z klatki schodowej rozległ się okrzyk obwieszczający przybycie dziadka, Sam uświadomił sobie, że powrót do pomieszczenia jest trudniejszy, niż przypuszczał. Na chwilę małe serduszko ścisnęło się w panice.

- Mamo! - wrzasnął. - Utknąłem!

Lady Ebony kusiło, żeby dać mu nauczkę, wszak napominała go setki razy. Nie śpiesząc się, wzięła z łóżka wypłowiałą tunikę z niebieskiej wełny i włożyła przez głowę. Mimo upływu siedmiu lat wciąż przylegała do Inianej spodniej sukni jak rękawiczka. Tymczasem jej szwagierka, Meg, już kierowała się do drzwi.

- Zaraz zejść, tylko go uwolnię! - zawołała Ebony. - Idź sama.

- Jesteś pewna? - spytała Meg, bo choć wiele razy widywała tę scenę, zawsze bała się o uszy bratanka.

- Kochanie, jako córka sir Josepha musisz być obecna, bo inaczej będzie się o ciebie dopytywał. Zejdziemy z Samem za chwilę. Wszystko będzie dobrze.

Uwolnienie syna zajęło mniej czasu niż zwykle, bo chłopiec przypomniał sobie, jak obrócić głowę, by uszy nie doznały uszczerbku. Nie miał też czasu na wysłuchanie kojących słów matki, bo dziadek na pewno przywiózł mu coś z nocnej wyprawy, która w oczach Sama była równie niewinna jak wyprawa na targ. Wypadł z komnaty z czerwonymi uszami, oczami szarymi jak granit, jasnowłosy, drobnej bu-

dowy, kipiący energią. Po trzech latach pólśieroctwa rzadko pytał o ojca, którego tak bardzo przypominał.

Na próżno jego matka protestowała przeciwko prezentom, które sir Joseph tak często dawał swemu jedyńemu wnukowi. Należały do nich ubrania zdarte z innego dziecka, zabawki i świecidełka zabrane z czyjegós domu, pieniądze, których nie wolno mu było wydawać, kucyk, na którym nikt nie nauczył go jeździć. Jej zastrzeżenia były konsekwentnie ignorowane, a nie potrafiła zmusić się, by wyznać dziecku, że dziadek pod osłoną nocy rabuje Anglików zamieszkałych nieopodal granicy ze Szkocją, burzy mury, podpala domy, zabija ludzi, porywa bydło i sprowadza je na szkockie pastwiska. Dopóki byli zmuszeni mieszkać pod dachem sir Josepha, chłopca przede wszystkim należało nauczyć szacunku dla starszych. Milczała więc.

Radosne okrzyki Sama odbijały się echem na schodach i znikały w labiryncie komnat, sal i korytarzy, które stanowiły teraz jego świat, tak samo jak Ebony i Meg. Nie było bezpiecznie wypuszczać się na zewnątrz, gdzie grasowali rabusie, wszczynając coraz to nowe zatargi. Sytuacja zaostrzyła się w ciągu ostatnich pięciu lat, od zwycięstwa Szkotów pod Bannockburn. Nie było domu, w którym nie bano się napadów. Chwilową ulgę przynosił taki czas jak teraz. Kiedy dni stawały się dłuższe, liczba rabunkowych ekspedycji nieco się zmniejszała. Być może to ostatnia wyprawa sir Josepha przed jesienią i życie stanie się normalniejsze.

Nie dzielając niecierpliwości syna, Ebony usiadła na poduszce we wnęce okiennej, oparła głowę o drewnianą okiennicę i przyglądała się wzorom na solidnych dębowych belkach podtrzymujących sufit. Welniane gobeliny dodawały ścianom barw i ciepła. Polerowane stolki, stół, skrzynie i łóż-

ko z baldachimem zapewniały wszelkie wygody, a kominek, na którym wyrzeźbiono herb Moffatów, chronił ogień i dawał ciepło. W zamku przez cały rok utrzymywał się chłód, ta komnata zaś dawała poczucie prywatności w miejscu, gdzie prywatność była na wagę złota. Ebony nie miała powodu uskarżać się na brak wygód i najchętniej spędzała czas tutaj, na uboczu, zamiast akceptować warcholstwo teścia choćby samą swoją obecnością.

Nie chcąc spuszczać Sama na długo z oczu, w końcu skapitulowała, wzięła kwadrat jeszcze wilgotnego płótna, odczepiła od niego pasmo mchu i zakryła dekolt. Włosy, wciąż wilgotne, zebrała w czepek ze złotej siatki i upięła niedbale na czubku głowy, nie przejmując się obowiązującą modą. Na zamku Kells wygląd nie miał wielkiego znaczenia, a poza tym kto w Szkocji poza szlachtą zawracał sobie głowę modą? Czasy były na to zbyt niepewne.

Zacząła schodzić na dół, przytrzymując spódnice. Nie zamierzała się śpieszyć. Dojście do dużej sali powinno zabrać sporo czasu. Po chwili jej uwagę zwróciła dziwna pustka i cisza panująca na schodach. Zazwyczaj wszędzie natykała się na domowników, lecz teraz nie było nikogo. Przyspieszyła kroku. Zacząła się zastanawiać, czy powrót sir Josepha nie był w jakimś sensie niezwykły. Wprawdzie tym razem zabrał z sobą około trzydziestu ludzi, ale zostawił ochronę zamku. Tymczasem strażnika, który zawsze stał w niszy okiennej, nie było. Zerknęła przez otwór strzelniczy, ale był umieszczony zbyt wysoko, by mogła ujrzeć coś więcej niż wieżę bramną. Na jej oczach stojący tam łucznik podniósł łuk, ale zanim zdołał go naciągnąć, padł na plecy ze strzałą w gardle.

- Rabusie! - szepnęła Ebony. - To rabusie! Boże, miej nas w opiece! - Przygraniczni zbójcy, mordercy i zło-

dzieje, nieznanący litości niszczyciele. Jak się tu dostali? I gdzie jest Sam, jej najdroższy skarb? Ogarnęła ją panika. Tacy ludzie przed trzema laty zabili Robbiego. Musi chronić Sama!

Przemknęła przez sklepienie korytarze, zbiegła ze schodów do wielkiej sali na pierwszym piętrze. Bez tchu, z sercem walącym ze strachu na myśl o tym, co może zastać, szarpnęła gwałtownie drzwi i znalazła się w środku, tuż przy krótszym boku długiego stołu, który już nakryto obrusem, zastawiono srebrnymi tacami, położono łyżki i noże, ale nic poza tym. Dużą salę wypełniali ludzie, których pilnowali uzbrojeni po zęby nieznani mężczyźni o groźnych minach.

Myśląc tylko o jednym, przepchnęła, się przez nich.

- Do diabła, przepuście mnie! - wrzasnęła. - Sam! Gdzie jest moje dziecko? Sam! - Waląc i kopiąc na oślep w przeszkody tworzone przez broń i ludzkie ciała, szukała wzrokiem Biddie, młodziutkiej niani Sama. W zgromadzeniu nieznanym i znanych twarzy i przerażonego tłumu służących, kucharek, stajennych i giermków, nie mogła jej jednak wypatrzeć.

W odległym końcu sali, w pobliżu wielkiego kominka, stała jeszcze jedna grupka nieznanym jej mężczyznom. Obrócili się, słysząc jej hałaśliwe wejście. Wówczas dostrzegła Biddie, która błagalnie wykrzywiła twarz. W głośnym okrzyku służącej zawarł się cały ból i przerażenie kogoś, kto nie dopełnił swoich obowiązków.

- Pani!

Ebony ruszyła ku niej, lecz ktoś chwycił ją za rękę. Mimo pomnożonych paniką i rozpaczą sił nie mogła się równać z mężczyzną, który obrócił ją twarzą do siebie. Zanim zdo-

łał pochwycić drugą rękę, odwinęła się i z całej siły uderzyła go w twarz.

- Puść mnie, ty chamie! - wrzasnęła. - Moje dziecko... gdzie on jest?

Grupa się rozdzieliła, przepuszczając Biddie. Tuż za nią szedł potężny mężczyzna, który na widok Ebony najpierw ze zdumienia szeroko otworzył oczy, a potem szybko je zmrużył, ukrywając ich jasny, przenikliwy błękit.

- Nie takiego powitania oczekiwaliśmy, Hugh - mruknął do mężczyzny z czerwieniejącym policzkiem - niemniej to interesujący początek, nie sądzisz?

Ebony tego nie słyszała, tylko potrząsnęła Biddie za pulchne ramiona.

- Gdzie on jest?! Co z nim zrobili? I co z Meg?

Usta niani wygięły się w podkówkę. Choć miała niespełna dwadzieścia lat, była godna zaufania i bez reszty oddana Samowi.

- Nic... tak mi się wydaje - szepnęła. - Zabrali go na dziedziniec. Nic mu nie będzie, proszę pani.

Jednak rozjuszona lwica nie zamierzała się tym zadowolić. Rzuciła się na mężczyzn, którzy stali między nią a drzwiami wejściowymi. Nie miała czasu na pytanie, błaganie czy protesty, myślała tylko o tym, żeby dotrzeć do Sama, zanim stanie mu się krzywda.

Alex i Hugh, zaintrygowani spotkaniem z czarnowłosą syreną, której obraz nosili w pamięci od świtu, tym razem kompletnie ubraną, zagradzali sobą drzwi. Jej lśniące oczy miały błyskawice.

- Chcę mego dziecka! - krzyknęła. - Puść mnie do niego.

- Ten jasnowłosy malec to twój syn, pani? A ty jesteś...

- Jestem synową sir Josepha Moffata. A kim, u diabła, ty

jestes? Czyżby rabusie nabrali zwyczaju przedstawiania się, czy też wciąż terroryzują kobiety i dzieci jak tchórze, którymi są w istocie?

- Jesteś Angielką! - wykrzyknął, ignorując jej pytanie. - To się staje coraz ciekawsze. Co Angielka robi w tej jaskini złodziei?

Też puściła mimo uszu jego pytanie.

- Proszę przyprowadzić do mnie moje dziecko, jeśli łaska. Co z nim zrobiliście?

- Nic. Na razie.

Wrota na dziedziniec otworzyły się, by wpuścić dwie osoby. Jedna siedziała na ramionach drugiej. Ta u góry pochylała główkę, żeby nie uderzyć o sklepienie, i zaciskała rączki na siwych włosach wychudłego, starszego mężczyzny ubranego w watowaną kamizelę przepasaną szerokim pasem i rapciam. Jeźdźcem był Sam. Wesolo machał nogami w powietrzu i zaśmiewał się w głos.

- Mamo! - zawołał. - Patrz na mnie! Jeżdżę na Joshu. Chcę pokazać mu mojego kucyka.

Chciała podbiec do niego i złapać w objęcia, ale wysoki mężczyzna przytrzymał ją gwałtownie. Coś do niej mówił, lecz nie słuchała. Zrozumiała tylko jedno, a mianowicie że nie powinna zdradzać przed synem swego niepokoju. Chłopiec był zresztą tak podekscytowany, że zaraz przestał zwracać na nią uwagę.

- Tak, kochanie - odkrzyknęła. - Nie zabawcie tam za długo, dobrze?

Sam pomachał do niej wesolo, po czym wraz z Joshem zaczęli przepychać się do drzwi prowadzących na dwór, a stamtąd do stajni. W oczach Ebony pojawiły się łzy ulgi i przerażenia.

- Nie zabierajcie go - wykrztusiła. - Pozwólcie mi do niego iść. - Bezskutecznie próbowała uwolnić się z żelaznego uścisku.

Sam ponownie pochylił głowę i drzwi na dwór zamknęły się.

- Otrzymałaś, pani, odpowiedź. Czas, żebym ja też się czegoś dowiedział. - Mężczyzna od początku nie odrywał od niej wzroku, choć wreszcie pozwolił jej się odsunąć. Wyglądała jak rozjuszona tygrysica. - Proszę powiedzieć, kim jesteś pani? - spytał szorstko.

- Lady Ebony Moffat - odparła, ze złością ocierając łzę. - Rabusie zazwyczaj nie...

- A pani mąż gdzie przebywa?

- Zginął z rąk takich jak wy.

- Kiedy?

- Przed trzema laty - szepnęła, zwieszając głowę. Włosy opadły czarną jedwabistą falą na jej kark. Szare oczy w kształcie migdałów, ocienione czarnymi rzęsami, były osadzone w delikatnej, idealnie owalnej twarzy o wyraźnie zaznaczonych kościach policzkowych, jak u elfa. Pełne wargi, teraz pobladłe, drżały. - Od tamtej pory mieszkamy u teścia. Gdzie on jest? Gdzie jest Meg? - Jej ciemiezca odszukał wzrokiem tego, którego uderzyła, po czym ponownie spojrział na nią. Błysk błękitu, który ją przeszywał, skojarzył jej się jedynie z błyskiem stali. Najwyraźniej miała do czynienia z przywódcą tej bandy, choć zachowywał się jak prawdziwy wojownik, jego ludzie byli zdyscyplinowani, a ich postępowanie, choć bezwzględne, w niczym nie przypominało ekscesów morderczej hałastry, która przed trzema laty zrabowała i spaliła jej dom. To prawda, postępowali całkiem inaczej, jednak jakie cele im przyświecały?

- Sir Joseph jest ranny - wyjaśnił obojętnym tonem - a pani szwagierka opiekuje się nim. - Kiedy skierowała się ku schodom, zastąpił jej drogę. - Nie znajdziesz go, pani, na górze, szwagierka twoja zaś jest bezpieczna.

Gwałtownie próbowała go odepchnąć.

- To wy go zraniliście? Kto będzie następny? Niech was diabli... Bierzcie to, po coście tu przyszli, i wynoście się! Zostawcie nas w spokoju! Czego chcecie... złota... jedzenia... bydła...?

Znów ją zatrzymał z doprowadzającą do szału łatwością.

- Nie ma pośpiechu. Nikt nie wyjedzie stąd po pomoc. Nikt nie jest w stanie stawić nam oporu, a sir Joseph przez jakiś czas nie obroni nikogo ani niczego. Zabierzemy zakładników, a zamek pozostanie w naszych rękach tak długo, jak będzie trzeba. Wyjedziemy, kiedy nadejdzie odpowiedni moment.

- Tylko nie mój syn - błagała. - Nie zabierzecie go, prawda?

Mężczyzna, którego uderzyła, nie był skłonny do pertraktacji.

- To wnuk starego Josepha - stwierdził - a wnukowie to przydatni zakładnicy. Stary diabeł będzie bardziej skłonny do współpracy, wiedząc, że mamy jego dziedzica, czyż nie?

Odwrociła się błyskawicznie, stając z nim twarzą w twarz. W momencie, kiedy wypowiedział ostatnie słowo, z furją rzuciła się na niego.

- Cham! - wrzasnęła. - Morderca, złodziej i cham!

Zanim jednak zdołała paznokciami dosięgnąć celu, mężczyzna, który trzymał ją wcześniej, znów ją schwycił i przetrzucił przez ramię jak worek owsa, po czym, nie zważając na jej wrzaski i walenie po plecach, zaniósł w stronę nie-

wielkich drzwi w pobliżu podwyższenia, na którym stał stół nakryty do posiłku. Jeden z jego ludzi, szczerząc zęby w uśmiechu, otworzył drzwi i zamknął je za nimi. Ebony uświadomiła sobie, że to nie koniec koszmaru, bo najgorsze dopiero przed nią.

Kiedy postawił ją na ziemi, niepomna paralizującego strachu o dziecko poddała się ślepej panice i z wrzaskiem rzuciła się do ucieczki, zaraz jednak potężne dłonie przycisnęły ją do kamiennej ściany opustoszałego korytarza.

Napastnik poczekał, aż minie jej atak furii. Stopniowo nieruchomiejąc, uświadomiła sobie, że nadszedł czas na coś innego niż samo apelowanie do lepszej strony jego natury, widać bowiem było, że nie zamierzał iść na żadne ustępstwa. Łzy płynęły jej po twarzy, a głowa, zbyt ciężka, by ją utrzymać prosto, opadła na watowany kaftan herszta łupieżców.

- Mój syn... mój syn... Nie mogę go stracić.

W końcu poczuła nacisk jego ciała, co pomogło jej przypomnieć sobie, że nie przyjrzała się temu mężczyźnie i nie rozpoznałaby go przy ponownym spotkaniu. Uniosła głowę i zobaczyła, że obserwuje ją bez emocji, jest starannie ogolony, ma ładnie wykrojone usta... Otrząsnęła się, zamieniła w słuch, bo coś mówił do niej.

- Proszę się uspokoić. Zapewniam, że pani synowi nic nie grozi, ale ja potrzebuję zakładnika. Nie musi jednak wyjeżdżać stąd na zawsze.

Gwałtownie potrząsnęła głową.

- Nie, tylko nie on! Mam tylko jego.

- Czy to jedyne wnuk sir Josepha?

- Tak... i moje jedyne dziecko. Jeśli już musicie go zabrać, weźcie też mnie. Beze mnie sobie nie poradzi, ja bez niego też nie.

- Nie biorę kobiet - stwierdził brutalnie, zamykając dyskusję.

Co by wziął w takim razie? Czy uda jej się go przekupić? Zawstydzić? Mistrz walki wręcz pokazał jej kiedyś, jak posługiwać się sztyletem, który zwykle miała przy sobie, ale nie dzisiaj. Już nigdy nie popełni tego błędu. Cynicznie poradził też, by w razie potrzeby zaoferowała napastnikom wszystko, co ma, byle zyskać na czasie, a dzięki temu, być może, uratować życie. Wszystko, podkreślił. Targuj się z nimi. Życie jest ważniejsze, powiedział, nie widząc potrzeby wyjaśniania, od czego ważniejsze. Uznała wówczas, że był to typowo męski punkt widzenia, teraz jednak wartość tego, co zamierzała mu zaproponować, bo nic innego do zaoferowania nie miała, wydawała się niewielka w porównaniu z tym, co chciała utargować.

- Proszę... proszę, musi pan - szepnęła, zmuszając się do spojrzenia mu w oczy, by pokazać, że mówi poważnie.

- Muszę? Co właściwie chce mi pani powiedzieć?

- Mówię - podjęła, odwracając wzrok - że może pan...

- Mogę co?

- ..może pan mnie mieć... kiedykolwiek pan zechce... jeśli tylko pozwoli mi pan jechać z synem albo zostawi go tu ze mną. Błagam, niech mi go pan nie zabiera. - Te słowa brzmiały w jej uszach tak obco, jakby wypowiadał je ktoś inny. Milczał tak długo, że zaczęła się zastanawiać, czy naprawdę je wypowiedziała. Aby spojrzeć mu prosto w oczy, musiała użyć całej siły woli. - Chyba że... chyba że jest inne wyjście? - Absurd! Czy miała coś innego, z czego mógłby mieć pożytek?

Nacisk na jej nadgarstki zelżał i dłonie, nagle wolne, opadły bezwładnie na boki. Mężczyzna odsunął się nieco,

oparł jednak ręce o ścianę po obu stronach jej głowy, stwarzając tym samym barierę, przez którą nie sposób się wyknąć. A przecież, ofiarowując siebie, dała mu rękojmię, że nie ucieknie.

Zauważyła drobniotki zmarszczki w kącikach jego ust, a także ogorzałą cerę, zapewne efekt życia pod gołym niebem. W jego oczach, które błędziły leniwie po jej twarzy i sylwetce, dostrzegła ogrom doświadczenia. Nie miała wątpliwości, że zrozumiał jej propozycję, a teraz zastanawia się nad konsekwencjami swojej decyzji. Jeśli nawet odczuwał triumf czy żądę, starannie to ukrywał. Jego twarz nie wyrażała nic.

- Rozumiem - powiedział wreszcie. - A więc targujemy się, tak?

- Tak. To wszystko co mam. Nie jest wiele warte w porównaniu z życiem mego synka, ale należy do ciebie, panie, jeśli zechcesz. Widzisz, panie, wyżyłam się wstydu. - Skłamała, nie sądziła jednak, by się na tym poznał.

- Życiu twojego synka nic nie zagraża. Jest naszym poręczeniem w razie odwetu... ale cóż za nagroda. A więc zwykłaś proponować siebie... - przerwał na moment, bo rzuciła się na niego i boleśnie podrapała mu twarz, więc ponownie pochwycił jej nadgarstki i przytrzymał za jej plecami - .. rabusiom?

- Nie, panie! - warknęła, patrząc z wściekłością w jego rozśmiane oczy. - Dar, który ofiarowałam memu zmarłemu mężowi, będzie należał do niego zawsze, bez względu na to, komu jeszcze trzeba będzie zapłacić. Mógłbyś najwyżej rościć sobie prawa do pierwszeństwa w tym handlu, ale nie zamierzam ponawiać swojej propozycji, skoro jej wartość jest kwestionowana. Będąc rabusiem, jesteś, panie, wart tyle co

nic. Nigdy też nie dowiesz się, panie, ile mnie kosztowało zaoferowanie swego ciała pospolitemu złodziejowi i mordercy. Proszę o tym zapomnieć! Zrobiłam to dla mego dziecka, nie dla pańskiej uciechy.

- A jednak przed chwilą zakomunikowałaś, pani, że to niewiele warte - powiedział półgłosem, obejmując ją. - Czy nie ma w tym sprzeczności?

- Nie dla kobiety. Wartość i koszt nie są tożsame, ale zdaję sobie sprawę, że nie jest to coś, co człowiek pańskiego pokroju mógłby pojąć.

- Może i tak. Jednak jestem skłonny przyjąć twoją propozycję. Czy wciąż jest aktualna?

Teraz ona z kolei się zawahała, bo narastająca powaga sytuacji nappełniła ją lękiem. Będzie musiała iść do łóżka z tym nieznanym albo zezwolić mu na odrażające poufałości na korytarzu, w zależności od tego, na co starczy mu czasu. Konsekwencje tego czynu mogą być fatalne, zbyt straszne, by o nich myśleć. Nie była nigdy z żadnym mężczyzną z wyjątkiem Robbiego. Od trzech lat pozostawała w surowym wdowieństwie i nie łaknęła kochanka, choć czasem szlochała w poduszkę z nieukozonej samotności. Tego mężczyzny nie będzie obchodziła jej utracona wdowia czystość, sumienie, reputacja czy ewentualne skutki.

- I jak? - spytał.

Odetchnęła głęboko, starając się myśleć tylko o swoim dziecku.

- Pozwolisz mi, panie, pozostać przy synu? Bez względu na to, dokąd nas zawieziesz?

- Bezpieczeństwo dziecka i twój dostęp do niego, pani, będą zależały wyłącznie od mego dostępu do ciebie. W każdej chwili. Chyba jasno się wyraziłem?

- W każdej chwili? Nie... nie tylko raz?

- Dopóki będę cię chciał. Czy syn jest dla ciebie, pani, tyle wart?

Z drżeniem wypuściła powietrze z płuc, nagle zimna i odrętwiała. Boże wszechmogący... Klamka zapadła. Musi tkwić u boku tego mężczyzny. Stanie się jego niewolnicą... i nałożnicą.

- Tak, jest tyle wart! A ty jesteś diabłem wcielonym!

- W takim razie zawarliśmy umowę, czy tak?

Zaciskając zęby, próbowała uwolnić się z jego objęć, bo obraz drogiego Robbiego pojawił się przed nią niczym wyrzut sumienia.

- Tak. A teraz czy dowiem się, jak nazywa się mężczyzna, któremu właśnie się sprzedalam?

Chyba jednak niepotrzebnie zaczęła się szamotać. Kiedy dotknął ustami jej warg, zebrała wszystkie siły na wypadek nieuniknionej brutalności i popisu żądz, bo tego właśnie się spodziewała. Tymczasem on z czułością smakował jej usta, dominował, to prawda, lecz niewiarygodnie subtelnie, aż w końcu stało się jasne, że zadawanie cierpienia nie było jego zamiarem. Spodziewała się, że załatwi to szybko, bo przecież ludzie czekali na jego powrót. Pocałunki były jednak niespieszne i z pewnością nieobojętne. Nie były też pod żadnym względem podobne do delikatnych pocałunków, które wymieniała z Robbiem. Kiedy w końcu ją uwolnił, uświadomiła sobie, że oczy miała zamknięte, a na rękach zawisły świeże łzy.

- Nazywam się Somers. Alex Somers do twoich usług, milady. - W tym, co mówił, nie było dwuznaczności.

- Panie Somers - wychrypiała, z trudem odzyskując głos
- jest pan...

-Sir Alex.

- Rozumiem. I przypuszczam, że to był wstęp, czy tak? Weźmiesz mnie, panie, tutaj opartą o ścianę, czy też musimy...

Z uśmiechem przyciągnął ją do siebie, przerywając jej w pół słowa, zanim dotarła do kłopotliwego finału.

- Tutaj? Teraz? Tego chcesz?

Prostak! Cham!

- Wcale cię nie chcę, sir. Chcę mego dziecka - warknęła.

- A ja wolałbym bardziej komfortową oprawę - zauważył, trącając nosem o jej nos - gdzie w spokoju zabierzemy się do rzeczy. Twoja komnata będzie w sam raz. Najpierw musimy jednak uporządkować parę spraw.

- Jakie to rycerskie. Jakie szarmanckie. Powinnam była to przewidzieć.

- Że nie zadowolam się okrawkami, kiedy mogę mieć wszystko? Tak, powinnaś, pani. Z czasem poznasz mnie lepiej. Teraz proponuję, żebyś zajęła się rannym teściem, jak przystało na dobrą synową. - Uwolnił ją z uścisku i wskazał koniec korytarza. - Drugie drzwi po lewej.

- To pomieszczenie zarządcy

- Sir Joseph umarłby, zanim by go doniesiono do jego komnaty.

- A pan tego nie chciał?

- Nie za bardzo. Ma informacje, których potrzebuję.

- W takim razie dlaczego go zraniliście?

- Wrócił ranny z wyprawy po łup.

- Kłamiesz!

- Nie. Proszę iść, a przekonasz się, pani, na własne oczy. Jego rany zostały zadane przed kilkoma godzinami.

- A co z moim dzieckiem?

- Bawi się tak dobrze jak nigdy w życiu. Nic złego mu się nie stanie.

- Skąd mogę mieć pewność?

Zręcznym ruchem ściągnął siatkę z włosów Ebony, rozsypując je czarną lśniącą falą na jej ramieniu. Zobaczyła, jak oczy nagle mu pociemniały i ponownie znalazła się w jego objęciach. Nie miała ani czasu, ani na tyle zimnej krwi, by zaprotestować. Zatopił dłoń w jej włosach, a jego powtórna demonstracja władzy była na tyle ognista, że Ebony zabrakło tchu i przyłgnęła do niego, by się na nim wesprzeć.

Oddychał ciężko, jakby z trudem zachowywał panowanie nad sobą.

- Dopóki nasza umowa nie zostanie przypieczętowana, niczego nie możesz być pewna. Nie radzę wybierać się tam, gdzie nie będę mógł cię, pani, odnaleźć.

Rozdział drugi

Ledwie drzwi się za nim zamknęły, ulgę, jaką poczuła, gdy pozwolono jej zostać przy dziecku, przyćmiły wątpliwości, czy układ z takim mężczyzną można uznać za działanie zdrowej na umyśle, inteligentnej kobiety. Podczas najbardziej upokarzającej rozmowy, jaką Ebony przeprowadziła w ciągu dwudziestu trzech lat swego życia, jej umysł był wyjątkowo jasny jedynie dlatego, że chodziło jej o osiągnięcie celu za każdą cenę. Teraz oblepił ją strach, zimny niczym szkocka mgła, przenikliwy aż do szpiku kości. Uświadomiła sobie, że w rezultacie zawarła obrzydliwą umowę, która mogła związać ją z sir Alekssem na czas nieokreślony. Nie wolno jej do tego dopuścić. Musi uwolnić siebie i Sama. Ucieczka? Tak, przecież z zamku można się było wydostać nie tylko wieżą bramną. Przed laty uciekła już przed bandą napastników, więc nie pozwoli się teraz dopaść tej hordzie z piekła rodem. Dziewięć lat to za krótko, by zapomnieć drogę powrotną do domu.

W wieku czternastu lat Ebony nie mogła się doczekać nowego życia w Szkocji. Przybycie z Carlisle, położonego po angielskiej stronie granicy, do wspaniałych gór i jezior Gal-

loway wiązało się z całkowitą rozłąką z owdowiałą matką. Lady Jean Neviljestowe z radością zaakceptowała gałązkę oliwną przyslaną przez Szkota, by scementować prestiżowy związek rodzinny. Sir Joseph nie widział żadnych przeszkód, tak przynajmniej twierdził, na drodze do zawarcia małżeństwa pomiędzy angielską arystokratką a jego niedawno pasowanym na rycerza synem, Robertem. I chociaż w roku obydwu kraje nie były w najlepszych stosunkach, zarówno dla Anglików, jak i Szkotów dzielenie stołu i łoża nie było niczym niezwykłym.

Zamieszkała więc u Moffatów na zamku Kells, gdzie przygotowywano ją do roli małżonki sir Roberta. W wieku lat siedemnastu została uznana za wystarczająco dojrzałą, by go poślubić, i szybko urodziła mu syna. Niestety idylla trwała zaledwie trzy lata, bo dwór, w którym zamieszkali po ślubie, znalazł się na trasie angielskich rabusiów z drugiej strony zatoki Solway Firth. Ostatni obraz ukochanego męża, jaki zachowała Ebony, do dziś napępiał ją grozą. Robbie, na tle szalejącego ognia, wypychał ją, syna i Biddie z okienka na półpiętrze. Sam jednak nie zdążył wyskoczyć i spłonął razem z domem. Oni zaś uciekli do lasu, gdzie całą noc spędzili ukryci w gęstych paprociach. O świcie, drżąc ze zdenerwowania i z zimna, ruszyli w samej bieliźnie wzdłuż brzegu jeziora w stronę zamku. Znalazł ich sir Joseph, człowiek, który minionej nocy, kiedy ona i Sam bezpiecznie spali, zafundował taki sam los komuś innemu. Czy w końcu znalazł winnych śmierci syna i zemścił się za odebranie mu życia? Czy jego rany były skutkiem tej potyczki?

Od tamtego czasu najważniejsze dla niej było chronienie synka przed konsekwencjami owych straszliwych wydarzeń.

Wciąż musiała odwracać jego uwagę, kiedy płakał za uwielbianym ojcem, i choć ostatnio przestał o niego pytać, wciąż miał nocne koszmary podsycane przez dziadka, który o zmierzchu zwykł mawiać do wnuka, że jeśli zaraz nie położy się spać, przyjdą po niego rozbójnicy. Nic dziwnego, że Sam z trudem zasypiał, i to tylko w obecności matki lub Bid-die, a teraz był w rękach tych ciemnych typów, którzy udawali jego przyjaciół. To prawda, ubiła interes z sir Alekssem, ale nie widziała nic niehonorowego w próbie przechytrzenia go, choć bez wątplenia potraktowałby to jako sprzeniewierzenie się danemu słowu.

Z tego co wiedziała, Kells padł ofiarą rozbójników po raz pierwszy. Kiedyś myślała, że to się nigdy nie stanie, bo zamek był dobrze ufortyfikowany i dodatkowo chroniony jeziorem i górami, a sir Joseph sam był rabusiem i doskonale potrafił dbać o własne interesy. Teraz, kiedy był unieruchomiony, po raz pierwszy od trzech lat czuła się bezbronna i zagubiona.

Zmusiła dygocące nogi do marszu wyłożonym kamieniami korytarzem. Przekonana, że sir Alex przesadził, mówiąc o poważnych ranach lairda Kells, nie była przygotowana na widok wyniszczonego ciała dziwacznie rozciągniętego na stole w małym kantorku majordomusa. Zwoje pergaminu wystawały spod strzępów spalonego ubrania.

-Meg... och, Meg! - wyszeptwała. - Kochanie, tak mi przykro.

Twarz Meg była niemal tak biała jak u jej ojca. Błękitne, okolone długimi rzęsami oczy wyrażały głęboki smutek.

- Oto pierwszy maja, Ebbie - powiedziała cicho - i to wszystko, co dostajemy. Kto by pomyślał, tego ranka, kiedy my...? - Głos jej się załamał, bezwładnie opuściła rękę.

Zawsze schludna i wymuskana, sprawiająca wrażenie pracowitej wiewiórki, Meg w wieku dwudziestu czterech lat nie należała do kobiet, które łatwo się załamywały. Przy ojcu, którego było równie trudno zadowolić jak ją, wśród nieustających napięć, doprowadziła swój wrodzony stoicyzm do perfekcji, dzięki czemu nigdy nie upadała na duchu. Teraz jednak Meg nie panowała nad swoją rozpaczą.

Ebony przytuliła ją, kołysała delikatnie.

- Ciii, kochanie, wszystko będzie dobrze. Wyjdziemy z tego. - Ponad ramieniem Meg pochwyciła ponure spojrzenie brata Waltera. Jako kapelan i medyk sir Josepha po raz pierwszy zajmował się swoim kłótliwym panem, nie staczając przy tym walki w kwestii sposobu leczenia.

- Może - powiedziała ponuro Meg - ale ojciec nie. Tylko spojrz.

Był ciężko poparzony i nieprzytomny. Rany okazały o wiele groźniejsze, niż spodziewała się Ebony. Teraz zrozumiała cierpki komentarz sir Aleksa.

- Nie wiem, czy kiedyś widziałem coś gorszego niż to, pani - powiedział brat Walter. - Jest naprawdę bardzo źle. Ma całkiem spalone plecy.

- Co się stało? - spytała Ebony.

- Płonące belki, milady. Jego plecy są w jeszcze gorszym stanie niż tors.

Ebony dostrzegła ironię sytuacji. Ileż to razy życzyła lairdowi, by trafił do piekła, nie mając cienia nadziei, że kiedykolwiek tak się stanie.

- Nie wiem też - zrzędził brat Walter, ostrożnie ściągając zwęglony rękaw z ręki chorego - dlaczego ci ludzie przyszli właśnie tutaj. To prawda, Szkoci napadają na swoich, jeśli im przyjdzie ochota, jednak nikt nie pchałby się taki szmat

drogi wąwozem, gdyby nie miał ku temu naprawdę ważnych powodów. Jeśli zamierzali zabić pana podczas akcji, powinni bardzo się ucieszyć z biegu wypadków.

- Raczej nie - powiedziała Ebony, zawijając rękawy. - Chodzi im o informacje.

Z rogu, w którym Janet, uboga kuzynka Meg, a w istocie jej zaufana pokojówka, podgrzewała jakiś napar, nie śmiejąc jednak podejść zbyt blisko do lairda, który nie troszczył się zbytnio o kobiety w swoim domostwie, rozległo się stłumione łkanie.

Meg podniosła wzrok na Ebony, dopiero teraz dostrzegając łzy, rozczochrane włosy i nabrzmiałe wargi, które przed chwilą protestowały, błagały i były bezlitośnie całowane.

- Ebbie! Ty płakałaś! Och, mój Boże... co się stało? Czy zrobili ci krzywdę, kochanie? - Ujęła dłonie szwagierki. - Powiedz mi!

- Nie, nic. Martwiłam się o Sama, to wszystko.

- Znalazłaś go? Jest bezpieczny? A Biddie?

- Całkiem bezpieczny, kochanie.

Jednak jej oczy mówiły co innego, co Meg oczywiście dostrzegła.

- Chcesz powiedzieć, bezpieczny w tej chwili? O co chodzi, Ebbie? Musisz mi powiedzieć. Czy to znaczy, że zamierzają zabrać go z sobą?

Oczy Ebony znowu zaszkliły się łzami, a po chwili wyrzuciła z siebie gniewne słowa:

- Sama i mnie. Zmusiłam ich, by mi obiecali, że nie zabiorą go beze mnie. Pewnie chcą zostać tu do jutra, żeby zmusić sir Josepha do mówienia. - Znów spojrzała na pokrytą pęcherzami skórę i nasiąkniętą krwią strzępy ubrania. - Tylko Bóg jeden wie, gdzie nas zabiorą.

- W takim razie musisz uciec z Samem. Zaraz. W tej chwili.

- Jak mogłabym to zrobić? Meg, nie mogę zostawić cię samej, kiedy potrzebujesz mnie bardziej niż kiedykolwiek. Jak myślisz, co zrobią, kiedy zobaczą, że zabrałam Sama? Zabiją cię.

- Nie zrobią tego! - stwierdziła Meg typowym dla niej, zdecydowanym tonem. - I dobrze wiesz, że dam sobie radę. Gdyby zamierzali obrabować zamek, podpalić go i wybić wszystkich mężczyzn, już by to zrobili i odjechali. Jednak ty musisz uciekać, Ebbie, i zabrać Sama w bezpieczne miejsce w głębi wąwozu. Wiesz, co powiedziałby mój ojciec, gdyby był w stanie mówić.

W tym momencie sir Joseph drżącą ręką chwycił suknię córki i zacisnął palce na wełnianej tkaninie. Meg ujęła jego dłoń.

- Ojciec - szepnęła - o co chodzi?

Z obrzmiałych, popękanych warg z trudem wydobyło się polecenie:

- Zabierzcie... Sama!

- Tak, ojciec. Ebony go zabierze, obiecuję. Jesteś...?

Wysiłek był jednak za duży. Sir Joseph, pokonany przez kolejną falę bólu, znów zapadł się w mroczny świat milczenia.

- Słyszałaś, co powiedział - wyszeptwała Meg. - Musisz uciekać. Obiecałam mu.

- Ruszymy, jak tylko się ściemni. - Ebony spojrzała na Janet. - Czy mamy balsam z korzenia paproci na oparzenia? Co jest w tamtym dzbanku?

- Korzeń paproci i masło, milady. - Pokojówka podała jej naczynie. - Na oparzenia nie ma nic lepszego, ale potrzebujemy więcej szarpi.

- Pójdę i czegoś poszukam - zaferowała się Meg.
- Nie - zaoponowała Ebony. - Wiem, gdzie są stare prześcieradła. Ty zostań i posmaruj go tym. - Zostań tu, gdzie jesteś bezpieczna, dodała w duchu.

Wielka szkoda, pomyślała, zamknąwszy drzwi, że nie ma tu matki Meg. W , strasznym roku po śmierci Robbiego, żona sir Josepha odeszła do nieba ze złamanym sercem. Lecz któż śmiałby ją o to obwiniać? Życie z gburowatym mężem bez ukochanego syna, który zawsze trzymał jej stronę, nie było rozkoszą. Sir Robert Moffat nie pochwalał sprzecznych z prawem działań ojca, ale nie był w stanie im zapobiec. Niemal każdy szeryf, gubernator, zarządca, majordomus i laird brali łapówki, szantażowali i zdradzali. Lata po bitwie pod Bannockburn, która uratowała Szkocję od angielskiej niewoli, były trudne. Powodzie, nieurodzaje, głód i choroby obejmowały cały kraj. Zbrojne najazdy rabunkowe stały się powszechnie akceptowanym sposobem na życie. Robbie jednak nigdy nie uprowadziłby dziecka, nigdy też nie targowałby się o honor kobiety.

On i Ebony byli nie tylko mężem i żoną, ale też przyjaciółmi. Ani razu się nie pokłócili. Tylko Biddie i Meg wiedziały o gorzkich łzach, które wylewała nocą, tęskniąc za pociechą w jego ramionach. Tego ranka o świcie ona i Meg poszły wykąpać się pod wodospadem. Meg nalegała, że tego właśnie dnia muszą spojrzeć w nieruchome lustro wody, by zobaczyć w nim odbicia mężczyzn, których poślubią. Żadne z oczek wodnych nie było wystarczająco nieruchome i w końcu dały spokój, zaśmiewając się na widok swoich zniekształconych odbić, ale Ebony była zadowolona, że niktogo poza tym nie widziała, bo woda mogłaby pokazać jej twarz Davy'ego Moffata, kuzyna Meg.

Starając się uniknąć spotkania z sir Aleksem, wybrała dłuższą drogę przez labirynt korytarzy. Doszła do dziedzińca stajennego, korzystając z drzwi w murze warzywnika, którymi ona i Meg wychodziły na ścieżkę prowadzącą do wodospadu. Podniosła koszyk z burakami i kapustą, zostawiony w ogrodzie przez przestraszonego ogrodnika, a potem minęła mężczyzn i stajennych doglądających koni, które od rana rozmnożyły się gwałtownie. Sam był w towarzystwie Biddie i poczciwie wyglądającego Josha. Chociaż znalazł czas na szybkie uściśnięcie matki, nie miał ochoty oderwać się od nauki czyszczenia podków kuca i szczotkowania pędin.

Wciąż bardzo zdenerwowana Biddie pocieszyła panią, szepcząc jej do ucha, że Sam jest przekonany, iż napastnicy to oddziały królewskie, które przybyły zabrać ludzi sir Josepha na kolejną bitwę z Anglikami. Podobno wszyscy zbrojni gromadzili się w Newcastle-upon-Tyne.

- To dlatego są tacy groźni - powiedziała, otwierając szeroko oczy z dobrze udawaną niewinnością, którą posługiwała się, by osłodzić prawdę.

- Oddziały królewskie! - prychnęła Ebony. - I on w to wierzy, naturalnie. - Odciągnęła ją na bok, z dala od czujących uszu Josha.

- Oczywiście, że tak. Właśnie zabrali mężczyzn, którzy ostatniej nocy wyruszyli na wypad z sir Josephem. Innych zresztą też. Sam widział, jak odjeżdżają. Cóż - dodała na widok pogardliwej miny Ebony - lepiej, że wierzy w to, niż gdyby znał prawdę, mam rację? Nie potrzeba nam kolejnych nocnych koszmarów. A proszę tylko na niego popatrzeć. Do tej pory nikt nie zadał sobie trudu, by pokazać mu, jak to się robi.

Popatrzyły na Josha. Był sękaty jak dąb, opalony na brąz,

białowłosa niczym prorok i równie sprawny jak inni, choć miał już swoje lata. Jego twarz przypominała zniszczony pergamin, brązowe oczy były pełne życia, usta gotowe do uśmiechu.

- Musimy go stąd zabrać - powiedziała cicho Ebony.

- Chodzi pani o ucieczkę? Zanim zabiorą Sama z sobą? Naprawdę mają taki zamiar?

- Tak - odparła Ebony, oczywiście przemilczając umowę z sir Aleksem. Również Meg nie zamierzała o niej mówić. - Jak tylko się ściemni, musimy zabrać Sama do łódki przy wodospadzie.

- A co z panią Meg i sir Josephem?

- Mówią, że musimy zabrać Sama. Możemy wyruszyć dopiero po zmroku, tak będzie bezpieczniej, jeśli jednak zmiatrzymy zbyt wiele czasu, mogą znaleźć łódkę i ją schować. To musi się stać dzisiejszej nocy, Biddie. Teraz pójdę pomóc przy sir Josephie, a ty idź na górę, jeśli ci pozwolą, zabierz ciepłe rzeczy dla Sama, a także trochę jedzenia, i ukryj przy schodach.

Biddie nigdy nie ośmieliłaby się kwestionować decyzji swojej pani, ale w duchu zdziwiła się, że lady okazała obojętność wobec potrzeb panią Meg. Zrozumiała jednak szybko, że najważniejsze było bezpieczeństwo chłopca.

- Jeśli wezmą Sama - oświadczyła stanowczo - będą musieli wziąć także mnie. Mogłabym też pójść sama i znaleźć pomoc w głębi wąwozu. Nasi najbliżsi sąsiedzi byłiby tu jutro przed świtem.

- Nie uda ci się wymknąć stąd w biały dzień, Biddie. Nie miałabyś najmniejszej szansy. - Ebony uśmiechnęła się. - Poza tym jesteś potrzebna tutaj.

Pasy podartych lnianych prześcieradeł, którymi opatrzone rany lairda, niewiele pomogły. Ebony z każdą mijającą godziną utwierdzała się w przekonaniu, że nie może zostawić Meg samej wcześniej niż będzie to absolutnie konieczne. Meg w ciągu jednego roku straciła matkę i brata. Jej ojciec był silny, ale nawet jeśli przeżyje, prawdopodobnie zostanie inwalidą, a Meg przyjdzie żyć na zamku bez żadnej obrony z garstką służących. Zbrojni sir Josepha zostali stąd zabrani i chociaż zarówno Meg, jak stary laird nalegali na jej ucieczkę, Ebony wiedziała, że jej odjazd byłby dowodem braku serca. Zajął się swoją pracą, nie ujawniając swych wątpliwości, a pełna złych przeczuć Meg pograżyła się w milczeniu.

Na zamku byli też inni mężczyźni, którzy wymagali opieki Ebony. Z powodu poważnych ran nie mogli wyruszyć w drogę z innymi. Starła się unikać sir Aleksa, południowy posiłek zjadła tylko w towarzystwie Biddie i Sama. Była rozdarta, dręczyła ją cena, którą zgodziła się zapłacić za prawo opieki nad synem. Nie mogła go jednak utracić. W przeszłości kobiety robiły więcej niż to. O wiele więcej.

Zwykle pełen śmiechu i krzyków, trzaskania drzwiami i ustawicznego szczekania psów gończych, zamek stał się cichy i ponury pod nowym dowództwem ludzi o spojrzniętych twarzach jak krzemień, którzy czuwali w strategicznych miejscach, nawet przy niewielkiej szczelinie w murze. Zaintrygowana ich powściągliwością chodziła od kantoru do spiżarni, od skarbcza do kaplicy, od kuchni do stajni, patrząc, czy szykują się do wymarszu następnego dnia. Nie dostrzegła żadnych kradzieży ani zniszczeń, jedynie ślady po dokładnym przeszukaniu pomieszczeń. Cóż, sir Alex powiedział, że nie ma pośpiechu...

Sytuacja nie zmieniła się na lepsze o zmierzchu, kiedy Sam hałaśliwie powrócił do matki i piastunki, cały dzień spędziwszy w towarzystwie Josha. Podekscytowany opowiadał, że pomagał rzemieślnikowi, który zrobił dla niego mały luk i strzały, a potem siedział na wielkim koniu Josha podczas szczotkowania i ktoś wystrugał dla niego mały miecz, którym mógł wymachiwać. Żadna z tych historyjek nie za imponowała matce.

- Na litość boską, czy oni nie pomyśleli, że to niebezpieczne?! Czy uważają, że tak właśnie powinna wyglądać opieka nad sześciolatkiem?! W ogóle nie powinnam była ich do niego dopuścić. Idioci! Ciekawa jestem, co powiedziałyby na to dziadek Moffat! - Ebony, niczym burzowa chmura, z furią szykowała posiłek dla Meg i brata Waltera.

- Powiedziałyby, że to bękarty o zakutych łbach, mamó - zaszczębiał Sam, biorąc przylepkę z tacy - ale Josh nie ma zakutego łba. Jest miły.

Ebony nie zachwyił sentyment syna do barwnych określeń dziadka, ale przede wszystkim nie spodobała jej się duma, z jaką zostały wypowiedziane.

- Nie wiemy - stwierdziła z naganą - czy ich rodzice mieli ślub, czy nie, więc lepiej tak ich nie nazywać, dopóki nie będziemy pewni.

- Powiedzą nam? - spytał niespeszony Sam.

- Pewnie nie, a niegrzecznie byłoby ich o to zagadywać. Widzę, że zjadłeś już wieczerzę. Chodź ze mną na górę.

- Mogę zobaczyć dziadka i ciocię Meg?

- Nie w tej chwili. Dziadek śpi. Biddie zaniesie jedzenie cioci Meg.

Mimo protestów Sam został zabrany z kuchni. Wciąż był podekscytowany dotąd zakazanymi zajęciami i pełen entu-

zjazdu, którego nigdy nie okazywał w obecności surowego sir Josepha. Był jednak bardzo zmęczony, kiedy więc dotarli do komnaty, natychmiast padł na łóżko.

Ebony usiadła obok. Nie rozebrała syna, jak czyniła to każdego wieczoru, nie otuliła w łóżku, na którym każdej nocy spał z nią i z Biddie. Skoro za parę godzin wyruszą w drogę, trzeba byłoby go na powrót ubierać.

- Sam... - Poglaskała go po miękkich włosach.

Wtulił się w jej objęcia, a kiedy Ebony zastanawiała się, co mu powiedzieć i czy będzie w stanie zostawić Meg w tak rozpaczliwej sytuacji, zapadł w głęboki sen. Na dworze zaczęło ciemnieć i nadeszła pora zapalenia świec.

Jej rozterki skończyły się, kiedy do komnaty powróciła niania.

- Biddie - powiedziała. - Nigdzie nie idziemy.

- Nie. " - zdumiała się piastunka.

- Nie mogę zostawić Meg. To nie byłoby w porządku. Ona nas potrzebuje.

Biddie usiadła na zydlu przy skrzyni.

- Niby prawda, ale tak czy inaczej jutro cię zabiorą, pani, i Sama też. No i czy panienka Meg nie powiedziała, że powinnaś, pani, uciekać? Uważasz, że to zbyt niebezpieczne?

- Nie o to chodzi, Biddie. Przede wszystkim... boję się o Meg.

- Hm, przede wszystkim.., - Służąca wyczuła niepewność w jej słowach. - A co z Samem?

- Spójrz tylko na niego. Nie uda nam się go postawić na nogi po tak intensywnym dniu. Po prostu padł ze zmęczenia, nie potrzebował nawet bajki. - Sam spał tak mocno, że nawet ulubiony kciuk leżał daleko od jego buzi.

- Racja, tylko że worek z jedzeniem i ubrania ukryłam przy schodach. Jeśli nie uciekamy dzisiaj, lepiej wszystko przyniosę tutaj, zanim ktoś znajdzie. Zresztą będziemy potrzebowały ich na jutro.

- Oczywiście, a skoro Sam smacznie śpi, zejdę na dół i powiem Meg, że zostajemy. Jest taka wyczerpana, biedna dziewczyna... Przed wyjściem zapal świecę. - Ebony popatrzyła na śpiącego synka. Była pewna, że podjęła słuszną decyzję, ale zarazem świadoma własnej niepewności co do powodów, które podała służącej. Czyżby były jeszcze inne, nad którymi nie chciała się zastanawiać? Czy jej decyzja była całkiem bezinteresowna? Lecz czy to miało jakieś znaczenie?

W łagodnym migotliwym świetle świec obszerna komnata wyglądała zupełnie inaczej. Spłowiałe tkaniny na ścianach nabrały dawnego blasku, zawieszony nad łóżkiem baldachimomal nie wtopił się w belkowanie sufitu, bładoniebieskie zasłony przy łóżku przybrały ciemnoniebieską barwę wieczornego nieba, lniane poduszki były kremowe jak krowie mleko. Rzeźbione zdobienia na bokach kłęcznika odcinały się wyraźnie od szarości komnaty. Jutro będzie musiała zostawić to wszystko i zacząć nowe życie wśród bandy złodziei, dzisiejszej nocy powinna jednak pozwolić Samowi i Biddie spać spokojnie.

Rozległo się energiczne pukanie, a zaraz po nim drzwi otworzyły się gwałtownie, sprawiając, że Ebony i Biddie podskoczyły z przerażenia.

- To ty, panie! - warknęła rozzłoszczona Ebony, czując nieprzyjemne klucze za mostkiem.

Sir Alex wszedł do środka i energicznie zamknął ciężkie drzwi. W przypiływie lęku Ebony mocniej objęła synka, cały czas jednak patrzyła na intruza.

Po raz pierwszy mogła przyrzeć się dokładniej sir Aleksowi. Zwróciła uwagę na długie nogi i dobrze umięśnione uda w skórzanych spodniach, szerokie ramiona i dumnie uniesioną głowę. Biła od niego czysta męska siła. Pod wpływem całkiem innego lęku odwróciła głowę.

- No i cóż? - spytała, chociaż jej głos gwałtownie stracił ostrość.

Sir Alex zbliżył się do łóżka, trzymając lniany worek z ubraniami i jedzeniem, który Biddie schowała pod schodami.

- Właśnie, cóż - podjął tonem pogawędki, siadając na łóżku u jej boku. Umieścił paczkę między nimi i rozwiązał węzełek. Ukazały się ubrania Sama, buty, wełniany koc, szal, dwa bochenki chleba, pół kurczaka, klin sera i trzy jabłka. - Nie zaszyłyście z tym zbyt daleko. Nie z jego apetytem. - Zerknął z uśmiechem na śpiące dziecko. - A najpewniej skrzyłybyście sobie kark, niosąc go po tych schodach w ciemnościach.

Miał rację, Biddie nie wyekspediowała ich zbyt przemyślnie, ale nie to było istotne. Z Samem, który spał w ubraniu, nie zdoła przekonać swego prześladowcy, że nie planowały ucieczki, czy też z niej zrezygnowały.

- Nigdzie się nie wybierałyśmy.

Lekceważące spojrzenie sir Aleksa powiedziało, że jej nie uwierzył.

- I dobrze - powiedział protekcyjnym tonem, zupełnie jak jakiś wszechwiedzący wujaszek - bo nie było takiej możliwości. Moim ludziom nic nie umknie, są wszędzie i wszystko widzą. Mnie też nie zwiodłaś. Nie należysz do tych, którzy dotrzymują umowy, jeśli dostrzegą korzystniejsze wyjście.

- Kiedy w grę wchodzi życie mojego syna, honor przestaje się dla mnie liczyć, sir. Jest dobry dla mężczyzn, nie dla matek. A skoro wy możecie się bez niego obejść, tym bardziej ja. Jesteśmy kwita.

Nie widziała jego oczu, nie potrafiłaby więc powiedzieć, jakie wrażenie wywarła na nim jej riposta, słysząc jednak jego słowa, skonstatowała, że nie ma w nich kpiny.

- Życiu chłopca nic nie zagraża, pani. Już to mówiłem. Chodzi o dostęp do ciebie, pani, jak świetnie wiesz, a podejmowanie takiego ryzyka po naszej wcześniejszej potyczce nie było zbyt rozsądne.

- Cóż, mężczyzna taki jak ty, panie, ma prawo sądzić, jak chce, czyż nie? Zapewne pomyślał pan, że chętnie zapłacę, nie próbując szukać innego wyjścia.

- Muszę przyznać... - wyraźnie się rozbawił - że był taki moment, kiedy zastanawiałem się, czy...

- Proszę się wynosić! - warknęła. - zejść z mojego łóżka. Możesz przestać się zastanawiać, sir. Nigdy nie nadejdzie taka chwila, kiedy będę chciała znaleźć się z tobą na odległość kopii. Nigdy. I proszę powiedzieć swemu podwładnemu, zdaje się, że ma na imię Josh, żeby przestał narażać mojego syna. Samowi nie wolno posługiwać się łukiem i strzałami. Nie wolno mu także siadać na koniu. Mógłby sobie skrócić kark.

- Możesz sama jutro powiedzieć Joshowi. Jako ojciec czternaściorga dzieci i dziewięciokrotny dziadek z zainteresowaniem wysłucha twojej opinii. Przecież ten chłopiec jest trzymany w zamknięciu jak kurczak hodowany na konkurs. Nigdy nie puszczano go samopas jak innych chłopców. Czas, by zobaczył, jak naprawdę wygląda świat. Widzisz, pani, ten uśmiech na jego wargach? Mówi sam za siebie.

- To dlatego, że jest ze mną.

Spojrzenie jego błękitnych oczu było tak wyraziste, że pożałowała wypowiedzianych słów. A kiedy szukała sformułowań, które dodałyby jadu jej wypowiedzi, pochylił się ku niej jak rycerz szukający sposobności do ataku.

- Nikt nie zamierza temu zaprzeczać, lady Moffat, ale proszę więcej nie próbować uciekać, bo może upłynąć sporo czasu, zanim zobaczysz jego uśmiech. Możesz też pomstować, jak ci się, pani, podoba, na umowy, honor i takie tam, ale proszę nie zapominać o tej, którą zawarliśmy, dobrze? To ty ją zaproponowałaś, pani, a ja dopilnuję, żebyś się z niej wywiązała bez względu na to, jak wiele innych rozwiązań przyjdzie ci do głowy. A teraz - wstał i obciągnął krótką brązową tunikę - przyślę kogoś, kto zaprowadzi cię, pani, do sir Josepha, a potem przyprowadzi tu z powrotem. Otrzyma polecenie zamknięcia cię w komnacie... - poklepał skórzaną sakwę u pasa - ...i oddania mi klucza. Pani wolność już nieco się skurczyła. - Podeszedł do ognia i cisnął kłodę na dogasający żar. - To trochę wygoni chłód.

Ebony, kompletnie wyprowadzona z równowagi tą monstualną arogancją, chwyciła leżący w tobołku bochenek i rzuciła nim w sir Aleksa.

Postanowił potraktować to jak prezent. Złapał go z wyjątkową nonszalancją, ugryzł kawałek i odrzucił na poprzednie miejsce.

- Do zobaczenia - powiedział z pełnymi ustami. - Okiennice radzę też zamknąć, panno Biddie. Dzisiejszej nocy nie ma księżycy.

W ciszy, jaka nastąpiła po jego wyjściu, Ebony słyszała bicie swego serca. Wściekłość wprost ją zalewała. Kiedy Biddie spytała ją, czy rzeczywiście ma zamknąć okiennice, nie zna-

laźla żadnych zjadliwych słów pod adresem nieproszonego gościa, bo każde wydawało się jej za łagodne, więc tylko pokręciła głową.

- Swoją drogą okazały z niego mężczyzna - mruknęła Biddie, odzyskując typową dla siebie pogodę ducha. - Co takiego mówił o umowach?

- Nic, co miałyby jakikolwiek sens. - Ebony w końcu wstała, ułożyła synka wygodniej na posłaniu i ściągnęła mu zablocone buty. - Rozbierz Sama, Biddie, a ja zejść na dół do sir Josepha. I wątpię, czy tam, gdzie się wybieramy, będziemy potrzebowali tego. - W uchwycie, który mocował zasłonę przy łóżku do ściany, tkwiła gałązka majowego kwiatu. Ebony w pierwszym odruchu chciała wyrzucić ją za okno, jednak położyła na zydłu. Co za bezużyteczne stare tradycje. Gdyby choć w najmniejszym stopniu zależało jej na powtórnym zamążpójściu, z pewnością nie powinna polegać na majowych kwiatkach i odbiciach w wodzie. - Co z tym robisz? - spytała, patrząc krzywo, jak Biddie wyciąga składane łóżko. - Sam będzie spał tutaj, ze mną.

- Tak, ale ja nie. Zeszłej nocy Sam tak rzucał się przez sen, że omal nie wylądowałam na podłodze.

Sir Alex bez specjalnego entuzjazmu przyjmował gratulacje swego przyjaciela i zastępcy.

- Tak, Hugh, masz rację, jak na razie wszystko idzie dobrze, ale to dopiero początek, a następny ruch będzie o wiele trudniejszy. Zachowaj komplementy na później, gdy już będzie po wszystkim.

- A dama? Wygląda na to, że mogą z nią być kłopoty. Z pewnością nie jest tak beztraska, jak wydała się nam na początku. Dostałeś to, czego chciałeś?

- Czy wyglądam, jakbym został zaatakowany przez tygrysicę, Hugh?

- Myślisz, że sobie z nią poradzisz?

Nie było chełpliwego potwierdzenia, ale uśmiech Aleksa był aż nadto wymowny.

- Rozumiem - powiedział Hugh - ale nie zapominaj, że to wdowa. To coś, czego nie oczekiwałaś. Czy nie powinieś być ostrożniejszy? - Przesunął wzrok w kąt pogrążonej w cieniu sali, gdzie piękna czarna kotka gotowała się do skoku, a jej zielone oczy wpatrywały się w kudłatego charta Aleksa.

- To, mój przyjacielu, powszechny błąd.

- Co mianowicie?

- Że z wdowami należy obchodzić się szczególnie ostrożnie, a przecież prawdziwe kłopoty sprawiają dziewczęta.

- Zapamiętaj moje słowa - powiedział Hugh. - Znam się na tych sprawach. Wdowy nie są takie jak inne kobiety. Są doświadczone, to prawda, ale jeśli wdowa naprawdę kochała swego małżonka, niełatwo jej o tym zapomnieć. Zachowuje się tak, jakby wciąż był z nią. To zabawne. Lojalne stworzenia, nawet po śmierci mężów. Tym bardziej zabawne, że wcale nie wygasły w nich pragnienia, ale nie potrafią się do tego przyznać. Całe lata mijają, zanim się je przekona, że mogą znaleźć zadowolenie w nowym związku.

- Dziękuję za dobre rady, Hugh, ale nie mam tyle czasu i jestem w pełni świadomy kłopotów. Musiałbym być wyjątkowo tępy, żeby tego nie rozumieć. Myślę też, że powinieś zniknąć stąd i zająć się swoimi cholernymi sprawami, a mnie pozwolić zająć się swoimi.

- Dobrze, ale wkrótce i tak będziesz potrzebował mojej pomocy.

- Całkiem możliwe. Za to ci przecież płacę, by w razie czego miał mi kto pomóc.

- Co, aż tak źle? - Hugh nie spuszczał wzroku z kotki, która właśnie wstała i wygięła grzbiet w pałąk, trzymając ogon pionowo niczym maszt. Chart zastygł w bezruchu, jakby zastanawiał się, co z tego wyniknie.

- Z pewnością nie jest dobrze, a prawdę mówiąc, fatalnie. No dalej, pozwalam ci się śmiać, kiedy zobaczysz krew.

-Czyją?

- Nieważne.

Zostawszy sam, Alex zrozumiał powody, dla których Hugh tak bardzo się niepokoił. Żaden z nich nie przewidział, że sir Joseph Moffat będzie w tak złym stanie, nie wiedzieli też o powiązaniach między jego wnukiem a dwiema niezwykle pięknymi kobietami, nimfami, których widok zaparł im dech.

Zdawali sobie naturalnie sprawę, że wnuk może okazać się nadzwyczaj pomocny, by przycisnąć starego Moffata, który posiadał bezcenne informacje, jednak sytuacja bardzo się zmieniła, a wyglądało na to, że może zmienić się jeszcze bardziej. Podstawowe pytanie brzmiało: jak nie stracić głowy przy tych dwóch niebezpiecznych pięknościach, z których jedna chroniła syna, a druga ojca.

Niemniej uwagi przyjaciela nie poszły na marne. Było oczywiste, że Joseph Moffat musiał zaplanować małżeństwa swej córki i synowej z miejscowymi lairdami lub arystokratami i z pewnością Ebony została już komuś obiecana. Lecz czy cokolwiek to zmieniało? Z pewnością nie. Sama złożyła propozycję, a był to kąsek, którego nie należało odrzucać. Mogła sobie być pogrążoną w smutku wdową, lojalną i cnotliwą, ale nie zamierzał odbierać jej satysfakcji, jaką

przyniesie męczeństwo w imię dobra dziecka, skoro miała taki zamiar. Prawdziwa zabawa się zacznie, kiedy lady Mof-fat odkryje, że jej ofiara była całkiem niepotrzebna.

Cichy zgrzyt klucza w zamku był ostatnim upokarzającym ciosem kończącym ten koszmarny dzień. Ebony błagała, by pozwolono jej zostać z Meg, która w małym pomieszczeniu majordomusa opiekowała się ojcem, ale jej ponury nadzorca nie był skłonny do negocjacji i została zmuszona do wyjścia, zanim zdążyła do końca wyjaśnić szwagierce, dlaczego ucieczka się nie powiodła. Meg zapewniła ją, że wszystko rozumie, Ebony wiedziała jednak, że to nieprawda. Rozgoryczona otworzyła drzwi do swojej komnaty, na tyle cicho, by nie zbudzić Biddie i Sama.

Nadzieja niani na więcej miejsca na łóżku okazała się płonna. Jasna głowa Sama spoczywała na poduszce przy jej ciemnych lokach, a ich śpiące twarze dzieliło jedynie parę cali. Ebony odgadła, że Biddie ustąpiła bez szczególnych perswazji.

Doszła na palcach do otwartego okna i wyjrzała w ciemność. Udało się jej rozróżnić jedynie lśniące czarne jezioro, mroczną linię lasu na drugim brzegu i poszarpany zarys gór na czystym rozgwieżdżonym niebie. Sir Alex mylił się, twierdząc, że noc będzie bezksiężycowa. Srebrzysty półksiężyc zwiślał niczym nikły symbol nadziei.

Z wielu względów Ebony byłoby trudno opuścić miejsce, które było jej domem przez trzy lata jako panny i trzy jako wdowy. Nie dlatego, by czuła się specjalnie przywiązana do Kells, niemniej sir Joseph chronił ją i jej dziecko przed złem i niedostatkiem w okropnych latach głodu, który dotknął całą Europę. Wtedy nie zwracała większej uwagi na opowie-

ści wędrownych handlarzy o niszczących powodziach, gnijących uprawach i przymierających głodem wieśniakach, o zjadanych szczurach i psach, o soli kosztującej tyle co złoto, o zarazie, która zdziesiątkowała stada bydła, o braku wełny, zamykaniu targowisk, niszczących drogach i mostach. Miała wystarczająco dużo własnych problemów, przerażone dziecko, czarną wdową rozpacz.

Zapasy sir Josepha nie ucierpiały. Miał pieniądze i duży zamek położony wysoko nad zatopionymi wąwozami. Jego pola znajdowały się między zalesionymi zboczami, były dobrze osuszone i wystarczająco bezpieczne dla cennych stad czystej krwi kuców galloway. Miał kontakty w każdym mieście i porcie, a gdy czegoś mu brakło, ruszał z łupieżczą wyprawą, jak inni.

Prawdę mówiąc, rabował nie tylko dla konkretnego zysku, ale i z wewnętrznej potrzeby. Był bezwzględny, pozbawionym jakichkolwiek zasad chciwcem i brutalem, nigdy nie okazywał współczucia. Pod tym względem nie miał sobie równych. Jego imię wzbudzało w ludziach strach, krążyło w czarnej legendzie. Jedynie Robbie i Meg nie drżeli przed nim, ponieważ również jego bratanek. Teraz sir Joseph Moffat był o krok od śmierci, dlatego Ebony już się go nie bała. Za to bała się przyszłości.

Znosiłaby uwięzienie na zamku Kells lepiej, gdyby sir Joseph nie był takim tyranem, nie żył tylko po to, by rabować i podporządkowywać sobie innych. Jego postępowanie było zaprzeczeniem wzorców, jakie chciała zaszcześcić Samowi, jednak trzymanie sześciolatka z dala od dziadka nie było łatwe nawet w tym olbrzymim zamku, a chłopiec już zaczął pochłaniać przerażające opowieści, które w intencji Josepha miały uczyńić z wnuka prawdziwego mężczyznę. Nigdy nie

było go w pobliżu, kiedy trzeba było uciszyć krzyki przerażonego Sama w środku nocy, dawać mu słodkie korzenne mleko z piwem i zioła na sen albo przekazywać szlachetniejsze umiejętności intelektualne. Te sprawy, jak utrzymywał sir Joseph, należały do kobiet.

Wiele razy marzyła o tym, by uciec z Galloway i zacząć nowe życie z dala od grubiaństw sir Josepha, przekleństw i okropnych manier, a także od jego brutalnych przyjaciół, którzy nagminnie nadużywali gościnności lairda. Wiele razy prosiła o pozwolenie opuszczenia zamku, lecz nigdy go nie otrzymała.

- Do kogo chciałabyś się udać? - grzmiał sir Joseph.

Rzeczywiście, do kogo? W tym samym roku, w którym zmarła żona sir Josepha, znikła bez śladu matka Ebony, lady Jean Nevillestowe. Przed dwoma laty szkoccy rabusie wdarli się do jej pięknego domu w Carlisle, ukradli wszystko, co mogli unieść, a ją samą uprowadzili. Nie zażądali okupu za jej uwolnienie, co wywołało szereg spekulacji. Czyżby lady Jean chciała, by ją uprowadzono? Lub po jakimś czasie zaakceptowała nową sytuację? A może kryło się za tym coś innego? Była przecież wyjątkowo atrakcyjną i bogatą wdową. Tak czy owak, ktokolwiek ją porwał, nie miał zamiaru jej oddawać.

Od roku Ebony nie miała żadnych wiadomości od matki, co było jej nieustającą troską. Wcześniej zresztą widziała ją tylko raz, gdy zjawiała się na chrzest Sama, jedynie pisały do siebie listy, bo sir Joseph nie pozwolił jej zabrać syna do Carlisle, a nie chciała go opuszczać choćby tylko na krótki czas.

Chroniąc się przed zimnymi podmuchami nocnego powietrza, w końcu zamknęła okiennice. Dość wspomnień.

musiała skupić się na tym, co groziło jej w tej chwili. Całe popołudnie usiłowała się dowiedzieć, kim są napastnicy i skąd przybyli, jednak ranni wojowie sir Josepha nie wiedzieli nic konkretnego, poza jednym, a mianowicie że najeźdźcy znali się na swojej robocie. Zamkowa służba dawała wymijające odpowiedzi, przy czym Ebony wyczuła, że wszyscy cieszą się z nowych porządków. Najbardziej jednak martwiła się o czuwającą samotnie przy konającym ojcu Meg, która do pomocy miała tylko pokojówkę i kapelana. Gdyby sama nie wdała się w tę głupią awanturę z ucieczką, mogłaby być dla szwagierki pociechą.

Kiedy się rozebrała, myśli o ostatnich wydarzeniach kłębiły jej się w głowie, przypominając o bezwstydnym rzeczach, które miała nadzieję stłumić. Wsunęła mały sztylet pod poduszkę i kilka razy sięgała po niego w ciemności, by mieć pewność, że łatwo zdoła go użyć w razie potrzeby.

Przywyknięcie do samotnego leżenia w łóżku, z którego do niedawna korzystali też Biddie i Sam, wymagało czasu, toteż długo nie mogła zasnąć, nasłuchując cichego pochrapywania niani i pohukiwań sowy. Wciąż zdarzały się noce, kiedy tęskniła za ramionami Robbiego, jednak czaił się tam też wyrzut, że jej tęsknota powinna trwać dłużej i być bardziej konkretna. Ostatnio zaczęła zadawać sobie pytanie, czy ich związek był wystarczająco żarliwy, czy wynikał z prawdziwej, ostatecznej miłości. Skoro tak tęskniła za czułością i ciepłem Robbiego, dlaczego nie była w stanie przypomnieć sobie szczegółów jego ciała ani tego, co czuła w momencie spełnienia?

Z początku pojawiał się w jej myślach, kiedy się budziła czy zasypiała, zawsze łagodny i pełen uwielbienia, jednak ostatnio jej tęsknota za męskimi objęciami i pocałunkami

była tak silna, że nie byłaby w stanie powiedzieć, czy to Robbie do niej przemawiał, czy też jej ciało żaliło się z powodu tego, co utraciło, a nawet tęskniło za tym, czego tak naprawdę nigdy nie doświadczyło... Od śmierci męża żaden mężczyzna nie trzymał jej w ramionach. Nie chciała też nikogo. Czasem jednak w zaciszu nocy nadchodziły pragnienia, wypełniały i obezwładniały jej ciało i pozostawiały ją drżącą, zawstydzoną, płaczącą.

Jej pierwszy sen był przerywany i poplątany. Wszystko kręciło się wokół rozmowy z sir Alekssem. Jego duża władcza postać wkraczała w każdą kolejną scenę, panując nad Ebony, wywołując natłok myśli i odczuć. Była przekonana, że stanie się dla niego chwilową rozrywką, a także trofeum, z którym można się obnosić po udanym napadzie, natomiast jej tęsknoty były mroczne i niejasne. Wspomnienia o Robbiem okazały się mgliste niczym bezcielesny symbol, natomiast pojawienie się sir Aleksa wywoływało wprost nieprzyzwoitą ciekawość.

Na granicy między jawą a snem poczuła na plecach przyjemne ciepło, jakby ktoś się położył obok niej. Czy to Sam? A może Biddie? Albo Robbie? Jego kolana wsunęły się poniżej jej kolan, po chwili, kołysana do snu, znalazła się w jego objęciach. Odwróciła się, oparła głowę o zagłębienie jego ramienia, a nagie piersi o jego tors. Jej czoło muskały jego wargi, oddech stał się urywany, wyrażając pragnienie, które zwykle pozostawiało ją beznadziejnie smutną i samotną. Jednak tym razem kojąca obecność mężczyzny towarzyszyła jej, aż nadszedł spokój, który po chwili zamienił się w sen.

Rozdział trzeci

Brat Walter uważał, że nigdy nie jest za późno, by pomodlić się za zagubioną duszę, mrucał więc pod nosem, dopóki dyskretne kasznięcie panny Meg Moffat nie zakończyło jego przydługiej litanii. Dopiero wówczas zamknął modlitewnik, poniósł się z kolan i stanął nieopodal nieruchomego ciała lairda.

- Poproszę naszych ludzi, żeby przenieśli ciało sir Josepha do zimowej sali - powiedziała. - Czekają od jakiegoś czasu, a my musimy zacząć nowy dzień.

- Tak, oczywiście, pani. Niech wejdą.

Sir Joseph zmarł tuż po północy. Meg targały sprzeczne uczucia: ulga, poczucie winy z powodu owej ulgi i niepokój, że zamek znalazł się w rękach napastników w tak nieodpowiednim momencie. Żal bez wątplenia też znajdował się na tej liście, ale łkanie Janet nastąpiło zbyt szybko jak na jej gust.

- Przestań, proszę - nakazała. - Wiem, że jesteś przejęta, ale brat Walter nas uprzedzał, że sir Joseph już nie wróci do zdrowia. Teraz spoczywa w spokoju, a nam też jest lżej na sercu.

Pokojówka pociągnęła nosem, nie chcąc dostrzec nagiej prawdy. Była pulchna, białowłosa i nosiła białą chustę, która wyglądała jak sznur z praniem na dużym wietrze. Jej zboląła mina świadczyła raczej o głębokiej wrażliwości, a nie o przywiązaniu do sir Josepha, nieśmiałość wynikała zaś głównie z tego, że była niezbyt atrakcyjną starą panną w średnim wieku. Zawsze też stanowiła cel żartów w tym zamku pełnym mężczyzn, a celował w nich zmarły laird.

Meg nie umiała okazywać wymuszonego żalu. Dała mężczyznom znak do wejścia. Byli to majordomus, zarządca, szambelan i starszawy pokojowiec sir Josepha.

- Moje kondolencje, panno Meg - z szacunkiem odezwał się szambelan. - Wszystkim się zajmiemy, a pani niech się ogarnie. Proszę go nam zostawić.

- Dziękuję, panie Morner. Nie wiem, co teraz się stanie. Podobno ci ludzie dziś wyjeżdżają. Czy dostali to, po co przybyli, cokolwiek to było?

- Teraz przeczesują piwnice. Musiałem dać im klucze. Wczoraj przetrząsnęli stajnie jak wodę przez sito. Gdyby sir Joseph o tym wiedział, nie byłby zachwycony.

-Więc dobrze, że nie wie, panie Morner... Swoją drogą ciekawe, czego szukają? Lady Ebony powiedziała mi, że potrzebują jakichś informacji.

- W piwnicach jest tak dużo towaru, że starczyłoby im przynajmniej na rok, ale będą potrzebowali więcej jucznych koni, niż mamy, żeby mogli wszystko wywieźć. Pewnie spytają nas o transakcje handlowe sir Josepha.

- Po to tu przyjechali, tak myślisz, panie?

- Nie byłbym zaskoczony, pani. - Dał znak pozostałym, aby podnieśli duże ciało sir Josepha i ułożyli je na noszach, a potem żałobnicy ruszyli w stronę drzwi.

Janet odprowadziła ich smutnym wzrokiem, potem spytała:

- Pani, może pójde powiadomić lady Ebony?

- Sądzę, że sir Alex już to zrobił w nocy, bo udał się do niej zaraz po śmierci ojca. Biedna Ebony. Wpadła z deszczu pod rynnę.

- Jak to, panienko?

- Cóż, jeśli wyjadą dzisiaj, będzie musiała ruszyć z nimi. Chcą zabrać Sama.

Szok, jakiego doznała Janet, nie został zauważony, bowiem uwagę Meg zwrócił jakiś mężczyzna, który właśnie stanął w progu i rozejrzał się wokół z niesmakiem.

- A więc to tu się ukrywałaś, pani? Wyrazy współczucia, panno Meg.

- Kim jesteś, panie? - Zmierzyła go wzrokiem z góry na dół, niezadowolona z tonu, który wyrażał tak niewiele deklarowanego współczucia.

Jego twarz podobała jej się jeszcze mniej, a zaczepne oczy prowokowały do sprzeczki. Zarazem jakby szacował ją, niczym rzadki towar oferowany za atrakcyjną cenę.

- Rzeczywiście, nie mieliśmy dotąd okazji się spotkać. Hugh Leyland, pani. Prawa ręka sir Aleksa. Jestem tutaj, by zaoferować swoją pomoc.

Meg uniosła lekko spódnice i zrobiła krok w stronę drzwi.

- Chodźmy, Janet. Nie czas na próżne pogwarki, a czeka nas wiele pracy. Od kiedyż to łupieżcy oferują pomoc, na liłość boską? W życiu nie słyszałam czegoś tak absurdałnego. Weszli tu jak do swojego domu, we wszystkich wzbudzają strach, zabierają załogę zamku diabli wiedzą dokąd, plądrują piwnice, a potem słyszymy, że są tu, by pomóc! - zakończyła bardzo podniesionym tonem, próbując wyminąć Leylanda.

Złapał ją za ramię, przez co naraził się na wściekły atak. Przez chwilę uchylał się przed ciosami Meg, ale w końcu musiał ją puścić.

- Sir! Wystarczająco dużo szkód narobiliście! - krzyknęła Janet.

- Siedź cicho, Janet! - huknęła Meg. - Ten niezdara nie byłby w stanie uszkodzić papugi w klatce. Trzymaj się z daleka od pomieszczenia mego majordomusa, ty wielki gamoniu! Nie ma tu niczego, co mógłbyś zrabować. On nie trzyma tu pieniędzy.

- Jakież problemy, Hugh?

Sir Alex przylgnął plecami do framugi, podczas gdy Meg przemaszerowała obok niego z burzą kasztanowych włosów spływających po plecach. Oburzone spojrzenie Janet mogłoby skwasić mleko.

- Fiu, fiu! - gwizdnął Hugh. - Dobrze, że się uchylilem. Dlaczego ciebie tak nie atakują?

- Bo nie napadam na nie. Zdaje się, że tego nie lubią.

- W takim razie powinienem był przerzucić ją sobie przez ramię. Czy o to chodzi?

- W ostateczności. - Sir Alex uśmiechnął się z tego żartu, potem rzucił okiem na bałagan panujący w pomieszczeniu. Stały tam miski z czerwoną od krwi wodą i szmatami, garnki z balsamami, flaszka ze starym ciemnobrazowym moczem, zakrwawione szarpie, stopy płótna i pusty stół na kozłach zaścielony zmiętymi, brudnymi prześcieradłami. Spomiędzy fałd płótna wyłuskał czarny skórzany rzemyk, na którym wisiał srebrny klucz. - A co my tu mamy? Wygląda na to, że sir Joseph nosił go na szyi. Teraz musimy się dowiedzieć, jaki zamek otwiera. - Wcisnął klucz do kieszeni.

- Co może zająć kilka dni. O tym myślisz?

- Śmierć starego lairda wiele zmieniła, Hugh. Już niczego z niego nie wyciśniemy. Dlatego powinniśmy tu zostać, aż znajdziemy to, czego szukamy. Groźba wzięcia zakładnika wydaje się teraz bez sensu, ale postanowiłem rozegrać sprawę tak, jakby wciąż istniała taka możliwość. Wiesz, co mam na myśli?

- Zgadzam się na wszystko, co postanowisz. Jeśli chcesz trzymać ten argument w zanadru w razie kłopotów z damą, w takim razie proszę bardzo. Masz moje poparcie... Jednak z tymi dwiema będziemy potrzebowali całej broni, jaką zdołamy zgromadzić.

-Nasz pobyt na zamku może wydać się tutejszym ludziom nieco dziwny, chodzi jednak o to, że w razie czego łatwo się tu bronić.

- Za parę dni odbędzie się pogrzeb, Alex. Przybędą kompani sir Josepha. Nie sądzę, żeby należeli do śmietanki towarzyskiej.

- Tym bardziej powinniśmy tu być przez czas jakiś. Przedstaw sobie te dwie piękności grające rolę pań domu dla kamratów Moffata... Sama myśl o tym jest nie do zniesienia.

- Przecież znasz zasady, Alex. Na żadnym zamku nie może rządzić samotna kobieta. Ona będzie musiała jak najprędzej wyjechać do swego rodzinnego domu.

- To prawda, zwłaszcza kiedy w okolicy przytrafia się tyle napadów. Ta zasada wystarczy, by zagwarantować nam dodatkowy czas, nawet jeśli nie jesteśmy tu chętnie widziani. Dopóki tu będziemy, by je ochraniać, wypełnimy nasze obowiązki wobec króla Roberta na obydwu frontach. Obronimy zamek, a zarazem poszukamy dowodów, czy podejrzania króla są słuszne.

- W takim razie powiem ludziom, że zostajemy, zanim zaczną siodłać konie.

- Oczywiście, a potem rozmieść naszych ludzi. Przygotuj zamek na odparcie ataku, który staje się coraz bardziej realny. Bierz się do pracy, a ja porozmawiam z matką nowego lairda. W nocy, kiedy poszedłem na górę, spała.

Hugh z rozbawieniem uniósł brwi.

- No, no. Chłopak będzie teraz pod kuratelą matki, czyż nie? Możemy więc się spodziewać, że wielu zalotników zacznie kręcić się w pobliżu, aby położyć łapy na zamku i czymkolwiek się da, zanim Sam osiągnie pełnoletność.

- To więcej niż prawdopodobne, Hugh.

- A gdzie widzisz swoje miejsce w tym wszystkim?

- Na samym przodzie.

- No nie! Naprawdę? - Hugh roześmiał się. - Tak blisko?

- Nawet bliżej. - Alex szturchnął go przyjaźnie. - Ruszaj już, dobrze?

- Jeszcze jedno. Kiedy powiemy im, jakie jest nasze zadanie?

- Wątpię, czy uda się nam zbyt długo to przed nimi ukrywać. Napastnicy raczej nie organizują pogrzebów swoich ofiar, a tym bardziej w nich nie uczestniczą. Wkrótce będę musiał powiedzieć lady Ebony prawdę. Ty możesz poinformować pannę Meg.

- Serdeczne dzięki. Pożyczysz mi kolczugę?

- Sam jej będę potrzebował. - Z uśmiechem skierowali się do dużej sali, którą z jakiegoś powodu nazywano letnią.

Lady Ebony siedziała na brzegu łóżka, niezbyt uważnie przysłuchując się trajkotaniu Sama i Biddie. Wciąż myślała o odwróconej poduszce, pod którą nadal spoczywał jej

sztylet. Na jej ramionach pojawiła się gęsia skórka, brakowało tchu, a umysł usiłował oddzielić fakty od wrażeń. Druga strona łóżka była cieplejsza niż zwykle. Poduszka miała wyraźne zagłębienie tuż obok zagłębienia po jej głowie. Sztylet pod poduszką leżał odwrócony, w innej pozycji, niż go tam zostawiła. Omal się nie skaleczyła, próbując namacać uchwyt. Miała wyjątkowo realistyczny sen o Robbiem. Jego ramiona obejmowały ją, wargi dotykały jej czoła... zadziwiająco realnie. Uda przycisnęła do jego ud, położyła nogę na jego nodze. Dotyk jego skóry, ciepłej i pokrytej włosami, wciąż łaskotał.

- Boże w niebiesiech! - szepnęła.

- Co takiego, mamó? Modlisz się? - Sam podskoczył do niej z nogami spletanymi opadającymi spodniami. - Zobacz, wciąż masz majowy kwiat. Weźmiemy go z sobą?

Ze zdumieniem spojrzała na zaslonę łóżka. Gałązka białego kwiatu głogu, którą wcześniej usunęła, była w tym samym miejscu co poprzednio.

- Zatkneñas ją tu na powrót, Biddie? - spytała.

Niania podciągnęła spodnie Sama i wcisnęła koszulę do środka.

- Czas, żebyś nauczył się robić to sam, paniczu. Co takiego? Kwiat głogu? Nie, ostatniej nocy leżał na zydłu. Na pewno bezwiednie sama to pani zrobiła.

Wiedziała jednak, że nie taka jest prawda. Włosy jej się zjeżyły, a rozum i serce odmawiały przyjęcia zbyt strasznej prawdy, ujawnienia obciążających dowodów, dzięki którym mogłoby się okazać, że jej sen wcale nie był snem. Nie, nie zamierzała, nie mogła przyznać, że ciało ją zdradziło i zapragnęło mężczyzny. Nie łaknęła go, jeśli nie był Robbiem.

Właśnie zawiązywała czarną wstążkę wokół grubego

czarnego warkocza, gdy bez pukania ktoś gwałtownie wtargnął do środka.

- Sir Aleksie - powiedziała Biddie - moja pani jeszcze nie skończyła toalety.

Sam, nieco bardziej gościnny, postanowił wyrazić swój sprzeciw, w którym ostatnio się wprawiał:

- Zaplata tylko włosy, ale nie wpuszcza mężczyzn do swojej komnaty, sir, poza szambelanem, panem Mornerem. Mogę spytać, co pana sprowadza?

Powstrzymując uśmiech, który mógłby urazić chłopca, sir Alex odparł z powagą:

- Przepraszam, lairdzie Kells, ale mam pilną sprawę. W przeciwnym razie nie ośmieliłbym się zakłócać spokoju lady. Mogę mówić z lady Ebony?

- Lairdzie Kells? To tytuł mego dziadka, nie mój - zauważył, zadowolony, że już po raz drugi mógł zwrócić uwagę dorosłej osobie.

- Właśnie o tym chciałem rozmawiać. Mogę?

- Chodź ze mną. - Biddie zaciągnęła Sama, by dłużej się nie upierał przy swoim.

- Laird Kells? - powtórzyła cicho Ebony. - Mój teść... - Stała przy łóżku, wsuwając do pochwy nieszczęsny sztylet.

- Przykro mi, pani. Zmarł wkrótce po północy.

- W nocy? - wyszeptwała. - A pan dopiero teraz przyszedł mi o tym powiedzieć... Nie przyszło panu do głowy, że panna Moffat będzie potrzebowała mego wsparcia, że powinienam być z nią?

- Tak, przyszło. - Zerknął przelotnie na łóżko. - Spała pani.

Nawet w takiej chwili nie mogła zignorować prawdziwego sensu jego słów. Podczas długiego milczenia, ciężkiego od niewypowiedzianych pytań i oskarżeń. Ebony obiecała sobie,

że ani przy tej okazji, ani przy żadnej innej nie da sir Aleksowi satysfakcji i nie przyzna, że wiedziała o tym, o czym również doskonale on wiedział. Gdyby nie było pilniejszej sprawy wymagającej ich uwagi, być może pozwoliłaby sobie na dokładniejsze przyjrzenie się opalanej szyi widocznej w wycięciu koszuli, muskularnym przedramionom i nadgarstkom poniżej podwiniętych rękawów. Jednak nie, bezpieczniej było zaprzeczyć oczywistym faktom. Gdyby postąpiła inaczej, zrobiłaby pierwszy krok ku katastrofie.

- Byłam pod kluczem! - warknęła. - Mam tylko nadzieję, że panna Moffat będzie w stanie mi wybaczyć mój okropny brak współczucia. Może w przyszłości...

- W przyszłości, pani - przerwał szorstko - zaczną obowiązywać inne ustalenia w kwestii spania, a więc nie będzie takiej potrzeby. Wracając do tematu, jeśli zyczysz sobie, pani, odprowadzę cię na dół do panny Moffat i sir Josepha. Położono go w zimowej sali. Może chcesz, pani, żeby laird Sam go tam zobaczył?

Jej brwi ściągnęły się groźnie.

- Chwileczkę. Inne ustalenia? Mówi pan o dzisiejszej podróży, jak mniemam?

- Mówię o zamku Kells, pani. Skoro sir Joseph nie jest już w stanie go bronić, postanowiliśmy zostać tu trochę dłużej. W przeciwnym razie pani wraz ze służbą dworską musiałyby się natychmiast stąd wynieść. Król nie dopuszcza, by zamki pozostawały bez obrony dłużej niż jeden dzień. Jestem pewien, że zdajesz sobie, pani, z tego sprawę, tak samo jak panna Moffat.

Nie wiedziała o tym. Nigdy nie rozmawiano o tych sprawach, bo sir Joseph uważał się za nieśmiertelnego. Wynieść się stąd czy pozwolić zostać tym bandytom? Coś tutaj nie

pasowało. Napastnicy nigdy nie zostawali. Niszczyli, okradali, podpalali i zabijali, a po wszystkim uciekali, zacierając ślady i ukrywając tożsamość.

- Nie! - zawołała, posyłając szybkie spojrzenie w stronę garderoby. - Nie, nie możecie tu zostać. Nie wolno wam! - Jej strach narastał. Już wiedziała, co może się wydarzyć, co wydarzy się nieuchronnie. Ostatniej nocy sir Alex udowodnił, jakie to łatwe. Żeby jednak zapłacić pełną cenę tutaj, na zamku Kells, musiałyby oszukać Meg i Biddie, a także Sama, co wymagało od niej jeszcze większego poświęcenia.

- Dlaczego nie możemy, pani? - Mówił cicho, tak samo jak ona. - Obawiasz się, pani, że w końcu zostaniemy zaakceptowani, a nawet... być może... co więcej, nasza obecność stanie się... powodem do radości?

- Wręcz przeciwnie. Łatwo, sir, możesz się przekonać, że dwie pozornie bezbronne kobiety, które opiekują się bezbronnym dzieckiem, mogą sprawić wiele kłopotu i tobie, panie, i tej całej pańskiej bandzie. Nie wiem, za kogo chcesz uchodzić ale...

Zanim skończyła, do komnaty weszła Meg. Podbiegły do siebie i zaczęły ścisnąć się serdecznie, jakby zostały rozdzielone na rok, nie na jedną noc. Lecz tej właśnie nocy świat każdej z nich gwałtownie się zmienił, a przyszłość była jedną wielką niewiadomą.

Biddie i Sam przyłączyli się do nich.

Sir Alex poczuł się zupełnie niepotrzebny, po prostu jak intruz, a nie pan tego zamku, wycofał się więc w milczeniu, tak samo cicho jak uczynił to w nocy, odprowadzany żalonym zawrozczeniem Meg.

- Ebbie... Ebbie! Co teraz z nami będzie?

Choć w zamku panował ewidentny kryzys organizacyjny, byli tu ludzie, do których obowiązków należało dbanie o porządek w domostwie i w całej posiadłości. Sir Joseph nie utrzymywał licznej służby, bo był na to zbyt skąpy. Z mniej więcej trzydziestki mężczyzn, którzy służyli w straży zamkowej, większość była w drodze do Dumfries, a kilku rannych leżało pod kluczem. Nad domową służbą pieczę sprawował majordomus, podczas gdy kasztelan, wójt i zarządca administrowali majątkiem ziemskim lairda, wliczając w to zamek i wioskę za jego murami. Sir Joseph osobiście nadzorował pracę swoich urzędników i kontaktował się z reprezentantami władzy królewskiej. Teraz ten obowiązek musiały wziąć na siebie Meg i Ebony. Tylko one mogły decydować, jak postępować w sprawach związanych z posiadłością. Była to dla nich nowość.

Spontaniczny sprzeciw Ebony wobec pozostania niemal stuosobowej armii sir Aleksa na zamku został zrewidowany, gdy tylko uświadomiła sobie, co to oznacza. Przecież wraz ze zwłoką w wyjeździe sir Aleksa mała zagrożenie zarówno wobec jej syna, jak i wobec niej. Co więcej, jego wyjazd oznaczałby, że biedna Meg utraci zamek i będzie musiała osiąść z Janet i garstką służby w jednej z położonych na odludziu, pozbawionych wygód posiadłości sir Josepha, gdzie piwnice nie były nawet w części tak dobrze zaopatrzone jak na zamku Kells i gdzie będzie pozbawiona dostatecznej ochrony. Wprawdzie ten rok mógł być ostatnim rokiem głodu, jak Bóg pozwoli, ale w Szkocji nic jeszcze nie wróciło do normalności. Meg znalazłaby się w okropnym położeniu, jej życie byłoby zagrożone. Ebony zrozumiała swój egoizm, wynikły z tego, że całkowicie skoncentrowała się na własnych problemach.

Tak jak przypuszczała, Meg niewiele wiedziała o zasadach dotyczących obrony zamków. Nigdy się nad tym za wiele nie zastanawiała, a sir Joseph nie zadbał, by miała o tym pojęcie. Był przekonany, że wyda córkę za męża, jak tylko znajdzie bogatego kandydata, który będzie miał na tyle odwagi, by nazwać go swoim teściem, lecz i ci nieliczni otrzymali ostrą odprawę od samej Meg, której determinacja w tej sprawie dorównywała determinacji ojca.

- W takim razie nie mamy wielkiego wyboru, Ebbie - stwierdziła Meg. - Nie podoba mi się ta sytuacja, ale nie podoba mi się też pomysł, bym miała spakować cały dobytek na juczne kuce i przenieść się do jakiegoś nędznego domku w górze wąwozu. Do Kells należy kilka majątków, ale rzadko tam bywaliśmy, bo ojciec uważał, że zamek jest bezpieczniejszy. Musimy więc zostać, choćby ze względu na Sama, ale chodzi też o nas. - Jej oczy zalsniły groźnie. - Poza tym niech mnie diabli wezmą, jeśli pozwolę, by te zbiry nas stąd wygoniły. Co za aroganckie typy!

Nawykła do pozornej twardości szwagierki, Ebony w głębi ducha była rada, że nie musiała sama podejmować tej trudnej decyzji. Były z Meg jak prawdziwe siostry. Córka groźnego lairda, kobieta wiotka o twarzy pokrytej drobnymi piegami, w istocie była nadzwyczaj twarda, świetnie zorganizowana i odpowiedzialna, zawsze dawała oparcie swoim bliskim. Po nagłej śmierci ojca natychmiast ogarnęła myślą całą sytuację i wzięła sprawy w swoje ręce. Kasztanowe włosy i oczy jak klejnoty przyciągały do niej mężczyzn, ale język miała ostry jak sztylet, dłoń szybką jak pstrąg i żaden mężczyzna nie zaprzętał jej myśli bardziej niż przelot motyla.

- Dopilnuj, żeby ci oddano jego sygnet, Maggie! - powiedziała Ebony, przegarniając dłonią włosy Sama. Stał między

jej kolanami, przytulając się do niej, zamyślony i niezwykle spokojny.

- Już go wzięłam. - Sięgnęła do sakiewki. - Proszę. Musisz go zatrzymać i zachować dla Sama. Nie możemy dopuścić, żeby ktokolwiek inny się nim posługiwał.

- Dzięki... W taki poranek jak dzisiaj sir Joseph wybrałby się na polowanie, Meg.

- Tak, a my przez pół nocy miałybyśmy salę pełną pijanych mężczyzn. Pozmieniamy tu wszystko, Ebbie. A pierwsza rzecz, jaką zamierzam zrobić to... Boże!

- Co się stało?

- Zapomniałam. Ty jesteś tu panią, nie ja. Jako opiekunka młodego lairda ty podejmujesz wszelkie decyzje.

- Będziemy rządzić wspólnie, Meg. A teraz zjedziemy na dół i zobaczymy, co jest do zrobienia, dobrze? Przede wszystkim trzeba zająć się pogrzebem.

Młody laird Kells powiedział cichutko:

- Słyszę bicie twego serca, mamusiu. Czy to znaczy, że żyjesz?

- Tak, kochanie, żyję. Ciocia Meg też. Podejdz do niej i zobacz.

Zrobił to i przekonał się, że taka jest prawda.

Jednak najświeższe wydarzenia wystawiły je na ciężką próbę. Szybko przekonały się, że jedynym stałym elementem jest zmiana. Polecenia wydawane przez Meg i Ebony musiały ustąpić poleceniom sir Aleksa i pana Leylanda. Mężczyźni, którym zleciły jakąś pracę, byli od niej odrywani i posyłani do innych zajęć, a kiedy w porze drzemki Sama nie można było nigdzie znaleźć ani jego, ani Biddie, pobladła ze złości Ebony poszła go szukać.

Na odległym końcu długiego muru otaczającego zamek był szeroki splacheć ziemi, którą mężczyźni wykorzystywali do walk konnych na kopie i pojedynków na miecze. Dawno temu teren został wyrównany, ogrodzony i pewnie widział więcej młodych giermków uczących się jazdy konnej niż sześciolatków. Wściekłość Ebony wzrosła jeszcze bardziej, gdy zorientowała się, że wprawdzie Biddie tu nie ma, są natomiast Josh, jego dwaj pomocnicy oraz sam sir Alex. Tak naprawdę uznała zaangażowanie przybyszów w sprawy zamku za osobisty afront i próbę podważenia jej autorytetu. Powiedziałaby to tu i teraz, gdyby nie to, że kłótnia mogłaby rozproszyć uwagę Sama, a przez to narazić go na niebezpieczeństwo. Oczywiście była przekonana, że kuc, jeden z czystej krwi koni rasy galloway sir Josepha, jest dla niego o wiele za duży.

Umiejętności Sama, a raczej ich brak, jeśli idzie o utrzymanie się w siodle, były do przewidzenia, wystarczyło ją o to spytać. Entuzjazm i odwaga chłopca zdały się na nic. Gdy koń przyspieszył, Sam zsunął się na darr. Odruchowo ruszyła ku niemu biegiem, ale kiedy spróbowała zanurkować pod ogrodzeniem, powstrzymało ją twarde jak stal ramię sir Aleksa, który odciągnął ją do tyłu. Odepchnęła go, wywijając się z wściekłością, ale zanim sir Alex opuścił ramię, Sam już wstał, gotów do kolejnych zmagani.

- Puść mnie do niego! - warknęła.
 - Nie! Zejdź z drogi. Strzemiona, chłopcze! - zawołał do Sama.

Ebony wzdrygnęła się, kiedy jej synek znów się przechylił w siodle i spadł.

- Wystarczy! - krzyknęła. - Jest zmęczony. Ma już dość.
 - Zostaw go. Wiedzą, co robią.

- Nie wiedzą!
 - Spójrz na niego. Spójrz na jego twarz. On to kocha.
 Sam uśmiechał się od ucha do ucha i, wyprostowany jak struna, słuchał poleceń mistrza Josha.

- Ręce razem. Siedź prosto!
 - Staram... się - wydyszał
 - Nie. Siedź prosto. Nie ciągnij wodzy, bo zatrzyma się w miejscu.

-Tak... tak!
 - I nie otwieraj ust. Posługuj się rękami i piętami.
 Trzymał się w siodle, oszołomiony sukcesem, zachwycony Joshem i całkowicie nieświadomy niepokoju matki.

- Udało mi się! - krzyknął, dostrzegając ją w końcu. - Potrafię jeździć, prawda, mistrzu Joshu?
 - Jeszcze odrobina praktyki i będzie dobrze. Nie myśl jednak, że na tym koniec, młody człowieku. Teraz musisz go oporządzić. Chodźmy. Dobry jeździec dba o swego wierzchowca. - Mrugając znacząco do Ebony, poprowadził kuca i jeźdźca w kierunku stajni.

Ebony nadal nie była przekonana.
 - Jest przemęczony - zaatakowała sir Aleksa. - A poza tym dlaczego uważasz, panie, że to stosowne zajęcie dla niego, kiedy jego dziadek dopiero co umarł? Czy w ten sposób ma nauczyć się szacunku?

Wprawdzie plac ćwiczeń opustoszał, ale kąt między murem a wieżą zamkową zapewniał większą prywatność, toteż sir Alex objął ją ramieniem i nie bawiąc się w delikatność, pociągnął tam. Za plecami był mur, stopy nie miały o co się oprzeć, jednak ręce cały czas go odpychały. Jej atak przeszedł w obronę.

Nie po to tu przyszła. Ponownie odebrano jej opiekę nad

dzieckiem. Mając najlepsze intencje, dała temu mężczyźnie palec, a on uznał, że może sięgnąć po rękę. Należało go powstrzymać, zanim przejmie kontrolę także nad nią. Walczyła z nim z wściekłością. Czuli, że wpadła w pułapkę, z której ucieczka wydawała się coraz mniej możliwa.

Sięgnęła po sztylet, ale nie udało jej się go dobyć. Ugryzła sir Aleksa w rękę, ale zdołała tylko zadrasnąć mu knykcie. Próbowwała go kopnąć, lecz przesunął się między jej nogi. Dostała szału. Z piskiem wściekłości obróciła się gwałtownie i pochyliła jak napięty łuk, by uwolnić się z jego objęć. Nie będąc w stanie go uderzyć, rzuciła się na niego z paznokciami i porysowała skórę szyi, zanim znów złapał ją za nadgarstek, drugą zaś ręką zdążyła zadrapać mu policzek. Sir Alex i tę rękę uwięził mocnym chwytem i boleśnie wykręcił do tyłu, kończąc krótką, acz gwałtowną walkę.

Zanim zdołała się uchylić, pocałował ją w usta, tym razem bez odrobiny łagodności, po prostu rozchylił siłą jej wargi i wdarł się do środka. Obmyślając sposoby oporu, wciąż pozostawała bezsilna i poddana jego dominacji, gdyż trzymał ją za gruby warkocz i za kark.

I nagle ją uwolnił. Żeby nie upaść, chwyciła go za rękaw, jednocześnie zakrywając dłonią usta. Bezsilny gniew wywołał łzy, które zdradzały, jak bardzo czuje się zraniona.

- To, pani, była nagroda - powiedział głosem nabrzmiałym tajonymi uczuciami.

- Za co? - wychrypiła.

- Za chronienie dziecka przed niebezpieczeństwem. Choć w tym wypadku nie było takiej potrzeby.

- Nie potrzebuję za to nagrody, ty przemądrzały głupcze - rzuciła z pogardą. - To rola matki. Robią to króliki, ptaki, suki. Nawet dziwki. A teraz zostaw mnie w spokoju!

- Wiesz, że nie zostawię. - Zawahał się, ale po chwili od-
dalili się wielkimi krokami, nie oglądając się za siebie.

Za rogiem warsztatu płatnerza zderzył się z Leylandem,
który chwycił go za ramiona, powstrzymując przed upad-
kiem, a potem przyjrzał się uważnie krwawym zadraśnię-
ciom na twarzy i szyi przyjaciela.

- Ach! Widzę, że posłała cię do wszystkich diabłów! - za-
chichotał.

Najpierw zamarł jego śmiech, po sekundzie zaś Hugh
wyładował na wybrukowanym dziedzińcu, trzymając się za
szczękę, jakby miała mu za chwilę odpaść.

- Jak to? - jęknął. - Przecież dałeś mi pozwolenie na
śmiech, kiedy...

- Zmieniłem zdanie! - wrzasnął sir Alex. - Kiedy będzie
wieczera? A może mamy dziś pościć?

Nie było mowy o tym, żeby jedli razem, byli przecież
wrogami. Łączyła ich jedynie konieczność wypełnienia obo-
wiązków. Poza tym niespełna pięćdziesiąt jardów dalej leżało
ciało sir Josepha, więc należało zachować powściągliwość.

Pragnąc ukryć przed Meg skutki gwałtownego starcia
z przywódcą napastników, Ebony zajęła się szykowaniem
posiłku złożonego z królika duszonego z grzybami, zimnej
pieczeni z sarny i gotowanych młodych pokrzyw. Na deser
było ulubione danie Sama, czyli gorące naleśniki z miodem.
Tym razem jednak Biddie ostatnie kawałki musiała wpychać
mu do sennie zamykającej się buzi.

- Widzisz - skomentowała Ebony - jest całkiem wykoń-
czony. Wiedziałam, że tak będzie. Jeszcze tyle dnia, a on
będzie spał. Potem obudzi się przed pierwszymi kurami
i postawi wszystkich na nogi. Gdyby po południu odrobinę

odpoczął, mógłby pójść do łóżka później i spać do przyzwyczajonej pory. Dopilnuj, żeby jutro się to nie powtórzyło.

- Odpowiedź jest prosta - wtrąciła Meg, oblizując lepkie palce - pozwolić Biddie i Samowi spać w osobnym pomieszczeniu.

- Nie - zaprotestowała Ebony. - Muszę być w pobliżu niego na wypadek, gdyby miał złe sny.

- Miał je ostatniej nocy?

-Nie.

- Sama widzisz. - Meg wytarła palce w serwetkę. - Myślę, że powinnaś spróbować. Potrzebujesz snu tak samo jak on. - Położyła rękę na dłoni Ebony, zauważając wyraz napięcia w jej oczach. - Kochanie, to już duży chłopiec. Nie musimy się gnieździć jak króliki i nie musimy już prosić ojca o zgodę na oddychanie.

Biddie przytaknęła, bo dwie noce temu została skopana z łóżka. Wzięła Sama na rękę i posadziła go na kolanach Ebony.

- Jeśli go pani potrzyma, przygotuję dla nas spanie w pomieszczeniu pod pani komnatą. Łóżko tam jest większe niż to składane, na którym spaliśmy poprzedniej nocy, a poza tym on zawsze chciał spać w komnacie, której okna wychodzą na dziedziniec.

- Co będzie, jak się obudzi i będzie mnie potrzebował?

- Zawsze może przyjść do ciebie, pani, na górę, prawda?

Bitwa była przegrana, a Sam rzeczywiście dorastał. Nie było sensu zaprzeczać.

- Spróbujemy - poddała się.

- Teraz - podjęła Meg, jak tylko Biddie wyszła - musimy przed jutrzejszym dniem rozwiązać inny problem. Ci mężczyźni to nie rabusie, Ebbie. Przyjechali tu w interesach,

a my musimy się dowiedzieć, o co im chodzi. Teraz. Dzisiejszej nocy.

Ebony podciągnęła syna wyżej i ułożyła jego głowę na swoim ramieniu.

- Wiem. Przez cały dzień o tym myślałam. Rabusie nie zwracają sobie głowy uczeniem dzieci ofiar, jak jeździć konno, nie kręcą się też w pobliżu w czasie pogrzebu, bo zostaliby rozpoznani.

- A ja nie znam żadnej rodziny o nazwisku Somers ani Leyland.

- Leylandowie mieszkają w Lancashire, ale ten człowiek jest z nizin.

- Dzieje się tu coś dziwnego, Ebbie. Musimy dowiedzieć się, dla kogo pracują i czego szukają. Przetrzęsneli stajnie i kazali ludziom spędzić konie z pastwisk do zagród.

- Po co?

- To kolejna rzecz, której musimy się dowiedzieć.

Konie rasy galloway były dumą sir Josepha. Pełnej krwi kuce doskonale nadawały się do jazdy, świetnie sprawdzały się też jako konie juczne. Zwinne, szybkie i wytrzymałe, słynne były ze swej odporności. Bez względu na pogodę trzymane na powietrzu, potrafiły wyżywić się na najędzniejszych pastwiskach i wrzosowiskach. Ciemnobrązowej maści, na tle skalistych zboczy nocą były niewidzialne. Laird Kells przez lata dochował się największego stada w Szkocji. Ludzie próbowali je raczej ukraść niż kupić, toteż dla Meg i Ebony sprawa wydawała się jasna.

- Złodzieje koni - zawyrokowała Ebony. - Na pewno. Jakich jednak informacji szukają?

- To podstęp. Nie wierz w to. Ojciec sprzedawał konie królowi Robertowi, który przeznaczał je dla wojska. To dla-

tego zdobył takie bogactwo. Jeśli zabrają nasze stado, będziemy skończone.

- W takim razie co ich powstrzymuje, by opowiedzieć nam jakąś bajeczkę o sobie? Stwierdzić, że nie są rabusiami, tylko wykonują jakieś bardzo ważne zadanie. Jak sprawdzimy, czy to prawda? Ci dwaj są na tyle wygadani, by wywabić borsuka z nory, Meg, i dwa razy tak sprytni jak pies polujący na lisa.

- Jest nas dwie, nie zapominaj, i jesteśmy równie bystre, chociaż oni jeszcze na to nie wpadli. Jeśli już teraz ich przejrzałyśmy, to możemy wybierać, w co wierzyć, prawda? Umówmy się na tę rozmowę, Eb.

Nie było to takie trudne, jak sobie wyobrażały. Hugh Leyland był sam, a na dodatek na tyle blisko pomieszczenia zarządcy, by go zagonić jak wystraszonego byczka do zagrody. Z początku uradował się, że jest obiektem uwagi pięknych kobiet, ale kiedy wyczuł, jak bardzo są zdeterminowane, kiedy dojrzał ich nieprzyjazne miny, uśmiech zamarł mu na wargach, a potem znikł całkiem.

- Witam panie. - Po tym wstępie oparł się o kratkowaną tablicę do liczenia - W czym mogę pomóc?

- Na początek wystarczyłaby prawda - powiedziała Ebony - ale proszę nie zawracać sobie głowy jej upiększaniem, jeśli łaska. Znamy się na takich rzeczach i wiemy, jak wypruć szew, który nam się nie podoba.

- Prawdę... o czym?

Rząd prosto zakończonych okien, pod którym stał długi stół, wychodził na wewnętrzny dziedziniec. Na stole leżały zwoje pergaminu, księgi, worki monet, stały okute żelazem skrzynki i róg z atramentem i piórami; na zielono-czarnej

tablicy leżały karbowane kije gotowe do użytku na kolejny dzień. Ebony i Meg stanęły plecami do drzwi, trzymając dłonie na sztyletach zawieszonych u pasa. Nie sposób było nie dostrzec ich wrogości.

- Prawdę o waszych interesach, sir. O co dokładnie chodzi? - spytała Meg lodowatym tonem.

Ku ich zdziwieniu Hugh Leyland nie kręcił, tylko powiedział wprost:

- Jesteśmy tu w imieniu króla. Zamierzaliśmy was o tym poinformować.

- Jakież to uprzejme z waszej strony - skomentowała Ebony - po tych wszystkich niejasnościach i nieporozumieniach. A tak dla pewności, jakiego króla?

Hugh zmienił się na twarzy, uświadamiając sobie fatalną niezręczność.

- Szkockiego, rzecz jasna, Roberta Bruce'a. Chyba nie myśliciele...

- Och, nie - syknęła Meg. - Przecież jesteśmy tylko kobietami, jak pan sam widzi, i zostawiamy wymagające myślenia zajęcia mężczyznom. Teraz proszę mówić wolno i wyraźnie, panie Leyland, i wyjaśnić nam, dlaczego musieliście wdrzeć się do domu mego ojca właśnie w chwili jego powrotu. Tylko niech pan nie mówi, że to był najlepszy moment, by wziąć go przez zaskoczenie, bo to same rozumiemy. Proszę nam tylko powiedzieć, dlaczego nie mogliście zapukać do drzwi i grzecznie poprosić o pozwolenie wejścia. Przecież przybyliście tu w imieniu króla.

Zanim odpowiedział, bezgłośnie wypuścił wstrzymywane powietrze. Żadna z nich nie miała pojęcia, jaką walkę toczył z sobą, by nie myśleć o zachwycającej sylwetce Meg, jej elektryzujących oczach, jej włosach.

- Ponieważ element zaskoczenia był niezbędny dla powodzenia naszej misji. Gdyby sir Joseph się nas spodziewał, podjąłby odpowiednie kroki, by ukryć to, czego szukamy, albo wręcz całkowicie nas zwiść. Lub też zabić.

- A czego szukacie? - spytała Ebony. - Stada kuców gal-loway?

- Myślicie, że jesteśmy złodziejami. Prawdę mówiąc, wcale mnie to nie dziwi.

- Proszę odpowiedzieć na moje pytanie! - zażądała Ebony podniesionym głosem.

Hugh zastanawiał się, która z nich jest bardziej wybuchowa, matka małego Sama czy rudowłosa.

- Jesteśmy tu po to, by w imieniu króla ustalić, jakim sposobem sir Joseph sprzedawał swoje konie zarówno angielskiej kawalerii, jak i Szkotom - ciągnął szybko, bo twarze im pobladyły - oraz czy to prawda, że konie, które kradł podczas swoich wypraw, sprzedawał temu, kto zapłacił więcej, bez względu na to, kim był kupiec. To poważne przestępstwa, moje panie.

Zapadło milczenie, tak jak się spodziewał. Była to jednak tylko chwila ciszy przed burzą, bo córka sir Josepha niczym wilczyca rzuciła się w obronie swego łamiącego prawo ojca.

- Jak... jak pan śmie? Jak pan śmie wdzierać się tu w takiej chwili i oskarżać mego ojca o zdradę kraju? Wynoście się! A zanim opuścicie to miejsce raz na zawsze, połóżcie swoje nieskalane pieniądze o tam - postukała palcem w kratkowaną tablicę - i zapłaćcie za jedzenie, które wasza zgraja zjadła podczas swego pobytu. Pańska opowieść cuchnie, tak samo jak pan. - Na białej skórze jej policzków wystąpiły czerwone plamy, a dłoń drżała nad rękojeścią sztyletu.

Ebony wzięła jej rękę i mocno przytrzymała.

- Nie rób nic - szepnęła, wiedząc, do czego jest zdolna Meg. - Pozwól mi.

- Prosiłaś, pani, o prawdę - powiedział Hugh Leyland.

- Zanim obrazisz moją siostrę i mnie kolejnymi bzdurami - rzekła Ebony - chcemy poznać dowody. Proszę mi pokazać list królewski.

Leyland prawie niedostrzegalnie uniósł podbródek i skierował wzrok ku drzwiom.

- Twoja kolej, przyjacielu - powiedział cicho.

Sir Alex oderwał rękę od kamiennego łuku i wszedł do pomieszczenia, zamykając za sobą drzwi. Potem z sakwy wyciągnął pergamin, rozłożył go starannie i podał Meg. Dokument był napisany w języku urzędowym, po łacinie.

Meg z kolei podała go Ebony, która przeczytała:

- Każdemu niech będzie wiadome, że ja, z łaski Bożej Robert Bruce, król Szkocji, niniejszym upoważniam mocą mojej władzy Aleksa Somersa, rycerza, i Hugh Leylanda, szlachcica, do przeprowadzenia dochodzenia, zatrzymania i oddania w ręce sprawiedliwości wszystkich, którzy sprzeciwiają się mojej suwerenności, kontroli i ustanowionym prawom. Oznajmiam też, że jakiegokolwiek żądania moich sług i urzędników Korony w wypełnianiu ich obowiązków mają być spełniane bez oporu przez wszystkich lojalnych mieszkańców Szkocji. Dokument ten napisano siódmego sierpnia Roku Pańskiego tysiąc trzysta dziesiątego.

Powoli opuściła rękę z brudnym pergaminem, w samą porę, by dostrzec ruch po drugiej stronie pomieszczenia. Najwyraźniej nie spodziewali się, że będzie w stanie tak płynnie czytać i tłumaczyć, ale i ona nie sądziła, że mężczyźni, których uważała za rabusiów, dysponują takim argu-

mentem. Poczula na sobie wzrok sir Aleksa, błękitny i wyjątkowo dociekliwy. Z miejsca domyśliła się, że musiał słyszeć każde słowo toczącej się rozmowy. Co więcej, Hugh Leyland musiał wiedzieć, że on tu jest, a jednak ani drgnięciem powieki nie dał tego po sobie poznać.

Satysfakcja, którą doznała Ebony, kiedy jej podejrzenia się potwierdziły, znikła wskutek ataku wściekłej furii, gdy doszło do niej, co to oznacza. Jej głupią, niepotrzebną umowę, ich groźby i dwulicowość. To było niewybaczalne.

- Jeśli rzeczywiście jesteście najbardziej zaufanymi wysłannikami króla Roberta - wycodziła przez zęby, zupełnie jakby zwracała się do pary pokrytych szlamem gryzoni - w takim razie żałuję, że miałyśmy nieszczęście poznać ich najgorsze okazy. Nie wierzę, że jego królewska mość próbuje wasze niegodne, pokrętne metody.

- Posługujemy się takimi metodami, jakie uznamy za stosowne w danej sytuacji, pani - z kamienną twarzą powiedział sir Alex. Czerwone kreski rysowały się na jego policzku jak tusz. - Nie było tu jednak nic pokrętnego. Tak jak Hugh wam powiedział, stawiono by nam opór. Sir Joseph od jakiegoś czasu wiedział o podejrzeniach króla, jednak nie zważał na to. Zdawał sobie sprawę, że to tylko sprawa czasu, zanim...

- Nic pokrętnego? - krzyknęła Ebony. - Mówić nam, że jesteście rabusiami, brać naszych ludzi, wywracać tu wszystko do góry nogami przy umierającym sir Josephie! Nic pokrętnego? Jak to nazwać, w takim razie?

- Nikt wam nie mówił, że jesteście rabusiami, pani.

- Nie, rzeczywiście. Zbójcy zwykle się nie zapowiadają, ale powiedział pan...

- Nie, nie powiedziałem! Proszę chwilę pomyśleć. To wy

twierdziłyście, że jesteśmy rabusiami, a żaden z nas nie zadał sobie trudu, by zaprzeczyć.

- Och, proszę dać spokój, sir! - wtrąciła ostro Meg. - Chcieliście, żebyśmy odniosły takie wrażenie, i doskonale o tym wiecie. Popatrzcie na swoich ludzi, uzbrojonych po zęby i ubranych jak rabusie. Dlaczego nie nosicie królewskich barw?

- Nosimy królewskie znaki, choć ukrywamy je w razie potrzeby. To prawda, wykorzystaliśmy powrót sir Josepha, by dostać się do zamku. Nie wiedzieliśmy, że jest ranny, zresztą nie miało to dla nas żadnego znaczenia. Nie zawsze warto roztkliwiać się nad takimi szczegółami. To, co mówił wam Hugh, jest prawdą niezależnie od tego, czy uwierzą nam panie, czy nie. Sir Joseph sprzedawał kuce galloway Anglikom, skradzione konie też, a to, panno Moffat, jest zdradą stanu, za którą nie może teraz zapłacić własnym życiem. W takich sprawach nikt jednak nie działa sam, więc musimy się dowiedzieć, kto jeszcze był w to zamieszany. Naszym zadaniem jest odkryć współwinnych, bez względu na sposoby, jakich trzeba będzie użyć. Musimy też wiedzieć, które konie zostały skradzione, i jeśli to będzie możliwe, zwrócimy je prawowitym właścicielom. - Wykorzystał głuchą ciszę, by dodać: - Niektóre z nich, jak panie zobaczą, są własnością opactw zarówno szkockich, jak i angielskich. Sir Joseph nie był zbyt drobiazgowy, jeśli idzie o ich pochodzenie.

To było za dużo dla Meg. Jej oczy wypełniły się łzami, które załśniły na rzęsach, po czym spadły na oblamowaną futrem długą tunikę.

-Nie... nie... - szepnęła. - Tylko nie dziś. Nie mogę... nie uwierzę w to! Ojciec nie był zdrajcą. Nie możecie tego udowodnić. - Padła ze szlochem w objęcia Ebony, niezdol-

na przyjąć do wiadomości, że do przestępstw, o których już wiedziała, mogły dojść kolejne. Już napady i rabunki były wystarczająco złe, ale pomoc wrogowi... To nie do pomysłenia. Na pewno się mylili.

Czując odrazę do sir Aleksa i Leylanda, Ebony ciągnęła rozmowę, dążąc do tego, by się przyznali, że odegrali haniebną rolę w tym zdarzeniu.

- Moja siostra zna swego ojca lepiej niż wy - stwierdziła ostro - a wy musicie odpowiedzieć za wdarcie się tu w takiej chwili. Groziliście nawet, że weźmiecie zakładników. Zapewne powiecie, że to szczegół, nad którym nie warto się zbyt roztkliwiać.

Hugh poczuł się w obowiązku odpowiedzieć na ten atak, choć nie znał jego prawdziwego powodu.

- To nie była próżna groźba, pani. Ludzie króla często biorą zakładników, by wymienić ich za informacje. Bez względu na to, czy zostaniemy, czy wyjedziemy, młody laird Kells będzie bezpieczny w naszych rękach, ale jego dalszy los zależy od waszej współpracy w dotarciu do informacji, których poszukujemy.

Gniew płonący w oczach Ebony, których źrenice przypominały teraz twardy granit, mógłby sparaliżować słabszego niż Hugh mężczyznę.

- Lepiej żebyś wiedział, panie, że jeśli z głowy młodego lairda spadnie choć jeden włos, znajdziecie się w towarzystwie sir Josepha szybciej niż byście tego chcieli. To nie jest pusta groźba. A co do ciebie, sir... - odwróciła się do Aleksa, zionąc nienawiścią - .. jest pan podły! Zróbcie, co macie do zrobienia, i wynoście się. Stać nas na jeszcze jeden pogrzeb i potrafimy bronić zamku własnymi siłami tak długo, jak będzie trzeba, wbrew temu co mówisz, panie. Chodź, Meggie.

Jeszcze chwila w tym towarzystwie, a żołądek podejdzie mi do gardła.

- Wolałabyś pani, żebyśmy byli rabusiami? - spytał sir Alex, otwierając drzwi.

Ebony opiekuńczym gestem objęła Meg i zawróciła w stronę wyjścia.

- Wolałabym, żebyś stąd wyjechał, panie. Najlepiej jeszcze dziś wieczorem.

scan-dalouis

Rozdział czwarty

Komnata do niedawna zajmowana przez sir Josepha Mofata była w koszmarnym stanie. Szambelan nigdy nie zdołał przekonać swego upartego pana, by przestał tu trzymać ulubione sokoły i zabronił psom gończym sypiać na łożu. Czterem, wielkim jak jałówki.

Meg nie była w tym pomieszczeniu od śmierci matki.

- To... obrzydliwe. - Skrzywiła się. Jej łzy wyschły od gniewu, jaki wzbudziła w niej ostatnia rozmowa. Rewelacje minionej godziny wstrząsnęły nią równie mocno, jak śmierć ojca. - Tutaj też byli - powiedziała do Ebony. - Człowiek leży umierający, a oni grzebią w jego sejfach i skrzyni. Spójrz tylko na ten bałagan.

Zwoje pergaminu i części zbroi, hełmy i porzucone fragmenty garderoby były wszędzie. Jednak brud i bałagan gromadziły się tu przez lata, tego Ebony była pewna. Sokoły i psy wprawdzie już usunięto, ale kotary przy łóżku i cuchnąca futrzana kapa nadawały się wyłącznie do spalania. Teraz jednak nie była pora o tym mówić. Musiały zastanowić się nad ostatnimi rewelacjami. W pewnym sensie znalazły się w jeszcze gorszej sytuacji, niż gdyby miały do czynienia

z pospolitymi rabusiami. Wysłannicy króla reprezentowali władzę i prawo, za nim stała cała potęga państwa.

Jeśli idzie o teścia, była w stanie uwierzyć niemal we wszystkie jego czyny, aczkolwiek zdrada byłaby zupełnie nie w jego stylu, ponieważ niemal co godzinę podkreślał, że jest Szkotem z krwi i kości.

- To nie może być prawda - powiedziała łagodnie. - Nigdy nie naraziłby nas na takie niebezpieczeństwo. Jestem tego pewna. - Trzymając się za ręce, podeszły do okna, które, podobnie jak okno nowej komnaty Sama i Biddie, wychodziło na dziedziniec i jezioro. - Nie mam takiego widoku. Sądzę, że sir Joseph nie chciał, bym widziała, co przywozi ze swoich wypadów.

- A więc gdyby ojciec żył, przy tych tak zwanych dowodach rezultat byłby taki sam. Aresztowaliby go i uwięzili, a potem wykonali wyrok za pomaganie wrogowi, a nas zastąpiliby ludźmi, którzy byłiby w stanie bronić zamku i dostarczać królowi zbrojnych. Tak czy inaczej, nie możemy tu zostać.

- Niby tak, Meg, ale sir Joseph nie działał sam, prawda? Miał wpływowych przyjaciół. Czy przemówiliby w jego obronie? Czy pomogą nam?

- Ci, którzy nie są w to wmieszani. Tak jak powiedział sir Alex, nikt w takich sprawach nie działa w pojedynkę. Czy król wybacza zdrajcom?

- To się zdarza. Ani Edward, król Anglii, ani Robert, król Szkocji, nie mają tak wiele zamków i oddanych ludzi, by eliminować tych, którzy od czasu do czasu mijają się z prawem. Są karani, a potem przywracani do łask, naturalnie po złożeniu nowej przysięgi wierności.

- Skąd wiesz o tym wszystkim?

- Robbie mi powiedział.
- Niemniej wygląda na to, że znalazłyśmy się w trudnej sytuacji.
- Bardzo. Chyba że uda nam się nakłonić przyjaciół sir Josepha do udzielenia nam pomocy. - Ten pomysł nie przemawiał do niej bardziej niż do Meg.
- Dobrze sobie! Przecież wiesz, jaką pomoc by nam zaofiarowali. Znow zaczęliby nas zadrećcać, żebyśmy wyszły za mąż. Zwłaszcza ciebie, jako opiekunkę prawną Sama. I oczywiście za kogoś z ich rodzin.
- A więc pozostaje nam tylko udowodnić, że twój ojciec był lojalny wobec króla i Szkocji. Zgoda, może łamał wszystkie pozostałe prawa, Meg, ale tego z pewnością nie. Musi być ktoś, kto przemówi w jego obronie.
- Davy mógłby to zrobić. Zawsze cieszył się zaufaniem ojca. Od lat prowadzili wspólne interesy. On mógłby nam pomóc.
- Chyba że też jest w to zamieszany.
- Bzdura, kochanie. Davy na nikogo nie napada. Zajmuje się handlem winami. Nie odróżniłby kuca galloway od osła.
- Ebony uśmiechnęła się na tę sarkastyczną uwagę.
- Myślę, że mógłby nam pomóc, Meg.
- Davy Moffat był jedynym bratankiem sir Josepha, kupcem winnym z zawodu. Ponieważ mieszkał w centrum Dumfries, miał powiązania z najlepszymi arystokratycznymi domami na nizinach Szkocji, a także z opactwami i klasztorami. Każdy, kogo było stać na najlepsze wina z Gaskonii, Kastylii, Anjou i Portugalii, polegał na Davym Moffacie, który dostarczał towar bez względu na wysokie ceny spowodowane wojną i klęską głodu. Po śmierci Robbiego sir Joseph uznał za oczywiste, że następnym mężem Ebony będzie jego bratanek. Byłoby to wyjątkowo korzystne z praktycznego

punktu widzenia, powtarzał jej bez ustanku. Kto byłby dla młodego Sama lepszym ojczymem, jak nie zamożny, spokrewniony z jedną z najstarszych szkockich rodzin wdowiec, który pragnął własnego syna, a przy tym pełen wigoru mężczyzna, który dałby jej życiu nowy początek. Bezustanne nalegania teścia nie miały końca. Nie zważał na jej protesty, ignorował jej zapewnienia, że nie ma zamiaru brać do łóżka ani Davy'ego Moffata, ani kogokolwiek innego.

Prawda była taka, że Davy automatycznie przejąłby własność Moffatów, do której Ebony miała prawo jako wdowa, a także czynsze i inne przychody z majątku odziedziczonego przez Sama aż do osiągnięcia przez niego pełnoletności. Ebony straciłaby więc niezależność, prawo do dysponowania własnym majątkiem i decydujący głos w sprawach dotyczących syna, natomiast Davy Moffat obłowiłby się niesłychanie.

- Mimo wszystko warto spróbować - powiedziała Meg. - Wolę zacząć od Davy'ego, zanim zwrócę się do kogokolwiek innego. Ebbie, ale coś mi powiedz. W jaki sposób wyjaśnimy gościom przybyłym na pogrzeb obecność tych wszystkich ludzi? Zamierzają udawać żałobników czy zabiorą się stąd na parę dni?

- Prawdę mówiąc, nie wiem, kochanie. Mogę zasugerować, żeby się ulotnili, ale wiesz przecież, że na stypie zostaną tłumy, które wyjadą dopiero rano, może nawet później. A choć nie podoba nam się, że ludzie króla wtykają nos w nasze sprawy, mogliby zarobić na swoje utrzymanie, pilnując porządku na zamku. Wiesz, do czego są zdolni przyjaciele twojego ojca, kiedy sobie popijają, a skoro musimy być gospodyniami tego przyjęcia, będziemy potrzebowały pomocy.

Milczenie Meg było łatwe do zrozumienia. Proślenie tych

dwulicowych zbirów o pomoc byłoby niczym zawieranie paktu z samym diabłem.

- Nie podoba mi się to - odparła wreszcie. - To prawda, że teraz, kiedy nasi ludzie odeszli, będziemy potrzebowały pomocy, byłoby jednak lepiej, gdybyśmy najpierw się dowiedziały, jakie mają plany.

- Uzyskanie informacji, o co im chodzi, zajęło nam już całe dwa dni, Meggie. Do pogrzebu zostały jeszcze tylko dwa. Niemniej możemy spróbować.

- A jutro każemy wysprzątać to miejsce do czysta. Niech wniosą materace ze słomy, prześpią się tu goście. Nie zapomnij zamknąć drzwi do swej komnaty na klucz, Eb. Dostałaś go z powrotem?

- Nie - odparła Ebony - ale dostanę...

Sam i Biddie spali w niewielkiej komnacie w wieży, tuż pod jej komnatą. Łóżko było zasłonięte kurtyną ze wszystkich stron, tak że przy ścianie powstał rodzaj alkowy, na górze osłoniętej baldachimem, a na dole wysłanej skórami owczymi. Na dębowej skrzyni na górze stosu porządknie złożonych ubrań Sama leżał jego drewniany miecz. Ebony z poczuciem winy zastanawiała się, czy to w porządku, że jej syn okazuje tak niewiele żalu po śmierci dziadka. A może ci mężczyźni zrobili dobrze, odrywając jego myśli od smutnego wydarzenia?

Kiedy weszła kręconymi schodami wyżej, zobaczyła, że okiennice w jej oknach zostały zamknięte, kaganki zapalone, a ogień w kominku trzaska na powitanie. Mogła się tu tymczasowo zabarykadować, dopóki nie dostanie klucza. Uprzymiotniła sobie jednak, że mały Sam albo Biddie nie mogliby wówczas dostać się do niej w środku nocy. Zmieniła więc zdanie i mimo jej obaw drzwi pozostały niezabezpieczone.

- Co się z nami stanie? - szepnęła.

Otworzyła okiennicę i zaczerpnęła słodko pachnące nocne powietrze, dochodzące znad jeziora. Liczyła na to, że odnajdzie w sobie spokój, tak jak działało się już wiele razy, ale nie spokój do niej zawitał, tylko obawy, które tłumiała przez ostatnią godzinę. Targały nią złość i ból. Sir Alex sprowokował ją, by zaoferowała swoje ciało. Cynicznie pozwolił, by wierzyła, że jest to konieczne działanie, pozbawione egoizmu, macierzyńskie. Potem, zawstydzając ją jeszcze bardziej, zastanawiał się nad jej ofertą i kwestionował motywy, jakie nią kierowały. Wreszcie zaakceptował i przyjął częściową zapłatę, podczas gdy mógł po prostu ukoić jej lęki i ofiarować pomoc, zamiast zachęcać do popełnienia głupstwa. Była pełna pogardy. Ten mężczyzna był szatanem, kłamliwym awanturnikiem, okrutnikiem pozbawionym wszelkich zasad.

Kiedy spojrzała na kuszące, gładko zasłane łóżko, łagodnie marzenie musnęło ją jak lśniące nocą skrzydło sowy i w mgnieniu oka znikło. Pod wpływem impulsu podeszła do miejsca, gdzie wciąż tkwiła gałązka majowego kwiecia. Usunęła ją i zaniosiła z powrotem do okna, a potem cisnęła w ciemność. Symbol szczęśliwej miłości znikł równie szybko, jak owo marzenie sprzed chwili.

Spała niespokojnie. Nie raz i nie dwa siadała na łóżku i patrzyła na drzwi przez szparę między zasłonami, niemal pewna, że słyszy, jak się rozsuwają. Kładąc się z powrotem, mówiła sobie, że mogła to być Biddie albo Sam. Drzwi pozostały jednak zamknięte, aż wreszcie nadszedł świt, który rozczarował ją swoją zwyczajnością. Nawet przez chwilę nie zdawała sobie sprawy, że ani razu nie przyśnił jej się Robbie.

Od rana Ebony i Meg zajęły się swymi obowiązkami, twardo trzymając przybyszów na dystans. Nie złożyły im propozycji zawieszenia broni, nie zrobiły nic, by stosunki choć trochę się ociepliły, wręcz przeciwnie, demonstracyjnie okazywały wrogość. Podczas gdy Meg z zadziwiającym brakiem sentymentu wydała polecenia dotyczące sypialni ojca, Ebony udała się do kaplicy porozmawiać z bratem Walterem w sprawie przygotowań do pogrzebu. Na miejscu zastała jednak człowieka, którego postanowiła za wszelką cenę unikać. Miała nadzieję, że zaabsorbowany rozmową z kapłanem, nie zauważy jej.

Zamierzała odwrócić się na pięcie i zamknąć za sobą drzwi, ale długonogi sir Alex dopadł ją kilkoma susami i władczo pochwycił, choć nad głosem starał się panować.

Brat Walter nie zauważył zmarszczki, która przecięła jej czoło, kiedy zachnęła się, czując ucisk na swoim ramieniu.

- Och, lady Ebony, jak to dobrze, że pani przyszła. Sir Alex właśnie mi powiedział, że on i jego ludzie będą gośćmi na pogrzebie, a ponieważ wszyscy myliliśmy się co do celu ich przyjazdu, zapewniłem go, że będą chętnie widziani.

Ebony przez chwilę milczała. W skupieniu obserwowała grę migotliwych plamek światła odbitych od falującej tafli wody i wędrujących zarówno po niskim kamiennym sklepieniu, które krzyżowało się nad głowami mężczyzn, jak i po ich twarzach. Włosy sir Aleksa były ciemne i lśniące, zupełnie jakby tego ranka kąpał się w jeziorze. Wreszcie przywołała się do porządku i pośpieszyła z ciętą odpowiedzią.

- Cóż, cieszę się, że komuś o tym powiedział, bracie. Zrobiłby na mnie większe wrażenie, gdyby okazał dobre manierę i najpierw pomówił z panną Moffat albo ze mną, ale proszę bardzo, zapewnij go, żeby czuł się jak u siebie w domu,

naturalnie, jeśli właśnie tego chcesz. Ja nie mogę przyłączyć się do tego zaproszenia, moja siostra również.

-Ależ dziecko... - Brat Walter pobiegł smutnym wzrokiem od niej do sir Aleksa i z powrotem - nie możesz być dla niego taka sroga. Wykonuje tylko swoją pracę, a nam przydadzą się dzielni ludzie, gdy nasi odeszli. Ponadto nie będą ubrani jak rabusie. Mają porządne spodnie i buty i nigdzie nie będzie widać helmów. Tak mnie przynajmniej zapewnił.

- Doprawdy, bracie? A więc musimy być wdzięczni, że od czasu do czasu sir Alex potrafi komuś z nas powiedzieć coś inteligentnego. A mówił ci może, jaką rolę ci nieproszeni goście będą odgrywać, starych druhów sir Josepha czy też naszych przyjaciół? Jakaś informacja w tej kwestii byłaby użyteczna, żeby nasze małe kobiece mózdzki nie były zdezorientowane, kiedy jego banda zmieni stroje. - Z ciepła, które stopniowo rozlewało się na zwykle ponurej twarzy duchownego, wywnioskowała, że sir Alex, który stał za nią, po prostu się śmieje. Czyli że już zdążył przeciągnąć brata "Waltera na swoją stronę. - Tracę tu tylko czas. - Zagarnęła fałdy spódnicy. - Przyślę do was zarządcę i szambelana. Może z nimi dogadacie się lepiej.

Sir Alex położył rękę na kamiennej kolumnie, zastawiając jej drogę.

- Chwileczkę, moja pani, jeśli łaska. Chciałbym coś wyjaśnić. Nasze nieporozumienie...

- Pana oszustwo, sir! - krzyknęła. - Nazywajmy rzeczy po imieniu, dobrze?

- Ależ dziecko! - Brat Walter znów napomniał ją łagodnie.
- Nie ma czasu na niepotrzebne spory. Z pewnością łatwiej będzie wyjaśnić obecność sir Aleksa, gdy powiemy, że jest

kapitanem, który ze swoimi ludźmi udaje się na zgromadzenie wojsk w Newcastle.

- Łatwiej dla kogo, bracie? - przerwała mu Ebony. - Dlaczego nie mogliby wyjawić, kim są i czego szukają? Dlaczego zaciemniać wszystko półprawdami?

- Ponieważ, pani - powiedział sir Alex - to nie są półprawdy. Nie jest to również cała prawda, przyznaję, ale w istocie zmierzamy na zgromadzenie wojsk w Newcastle, gdzie mamy się spotkać z królem Robertem, który zamierza stoczyć walkę z Anglikami o odzyskanie Berwick. Kłamstwa więc nie będzie, natomiast ujawnienie przyjaciółom sir Josepha, że prowadzimy dochodzenie w sprawie jego działalności, przyniosłoby efekt przeciwny do zamierzonego, skoro mamy nadzieję dowiedzieć się, którzy z nich są wmieszani w tę sprawę. Przecież nie otworzą się przed nami, jeśli będą się obawiać, że mogą oskarżyć siebie. Bez względu na to, czy uważa się pani za Szkotkę, czy Angielkę, prawda musi wyjść na jaw dla dobra rodziny lairda. Chyba nie chce pani, żeby te oskarżenia ciążyły na was bez końca.

- I powiecie im, że zatrzymaliście się tutaj na kilka dni, by odpocząć, tak?

- Owszem, a także kupić kilka kuców galloway oraz pozwolić dojść do siebie rannym. Akurat w tym nie ma oszustwa, pani.

- Z wyjątkiem tego, że ranni są w drużynie sir Josepha, nie pańskiej.

- Drobiazg. Nie spotkają się z nimi, a moi ludzie przydadzą się tutaj, skoro ludzie sir Josepha udali się do Newcastle.

- Przecież posłano ich do Dumfries.

- Nie, pani. Ruszyli konno do Newcastle, mają do przebycia osiemdziesiąt mil. To dobrzy wojownicy. - Spojrzenie

błękitnych oczu stwardniało. - Wreszcie mają okazję walczyć dla swego króla zamiast niezgodnie z prawem dla występnego lairda. Uważają, że mieli szczęście, bo nie zamknęto ich w Dumfries. Żyjemy w ciężkich czasach. Po drodze zobaczą głód, coś, z czego nie do końca zdawali sobie sprawę, coś, co też byś zobaczyła, pani, gdybyś częściej opuszczała to miejsce.

Te słowa trafiły w czuły punkt.

- A wiedziałbyś lepiej, panie, o czym mówisz, gdybyś posiedział zamknięty w tym miejscu, tak jak ja i moje dziecko. Myślisz, panie, że chciałam zostać tu uwięziona? Że nie pragnęłam zakosztować wolności? Gdyby nie Sam i Meg, z całą pewnością... - Nagle pojęła, z czym zdradza się przed sir Aleksem, przerwała swą tyradę w pół zdania, znów chwyciła za fałdy spódnicy i wyszła z kaplicy.

Słyszając trzaśnięcie ciężkich, drzwi brat Walter smutno pokiwał głową i westchnął:

- Ach, teraz wiem, skąd te zadrapania, chłopcze. To trudna kobieta. Lepiej mieć pod ręką rękawicę sokolnika i kaptur. Dobrana z nich para, kruk i lisica, prawda?

- Tak, ale można je ujarzmić, bracie.

- A twoi chłopcy? Czy ich też można ujarzmić?

Sir Alex wybuchnął gromkim śmiechem. Każdy z jego ludzi był starannie dobrany, każdy był mistrzem w swojej dziedzinie. Kucharz, siodlarz, płatnerz, kowal, medyk, tłumacz i pisarz. Był nawet harfista i wyświęcony ksiądz, chociaż postronny obserwator nie odróżniłby jednego od drugiego. Wszyscy byli doświadczonymi wojownikami, wszyscy też byli oddani swoim dowódcom, sobie wzajemnie i swojej misji. Tak musiało być. Zwykle ubrani w stroje do konnej jazdy szyte ze skóry, wełny i watowanego płótna, byli obwieszani pasami, mieczami i szty-

letami. Mieli chusty wokół szyi i stalowe hełmy na głowach. Nie przeszkadzało im, że brano ich za nocnych rabusiów, bo przebieranie się było ich specjalnością. W mgnieniu oka mogli przedzierzgnąć się w orszak arystokraty, ekspedycję kupców albo służbę lairda prowadzącą kogoś pod eskortą. Fizycznie sprawni i dobrze wyćwiczeni w wojennym rzemiośle, towarzyszyli sir Aleksowi w wyprawach po całej Europie. Poprzednią misję króla Szkocji odbyli w Irlandii, teraz posłano ich do Gallo-way, gdzie przyszło im przemienić się w żałobników. Raz tak, raz siak, żadna trudność.

- Owszem, bracie -zapewnił sir Alex. - Są wyjątkowo wszechstronni. Teraz, proszę, powiedz mi, jeśli łaska, kogo możemy się spodziewać w piątek. Na przykład jakich krewnych Moffatów, zwłaszcza mężczyzn. I wyjaśnij mi jeszcze jedno. Lady Ebony twierdzi, że była tutaj więźniem. Czy to prawda?

Brat Walter posmutniał gwałtownie.

- Tak - powiedział cicho, siadając na schodach prowadzących do ołtarza. - Chłopcze, jeśli chcesz oszczędzić sobie trudu, powinieneś wiedzieć, z czym masz do czynienia. Spoczniej tu na chwilę.

Pantofle Ebony uwięzły w słomie zostawionej na ścieżce biegnącej wzdłuż ogrodu. Stało się to w samą porę, bo inaczej wpadłaby na stertę jarmużu uciętego przez pomocnika ogrodnika. O tej porze roku niewiele więcej nadawało się do zebrania. Zwolniła, wiedząc, że nie powinna tu być, kiedy tak wiele innych zadań wymaga jej uwagi. Przygotowanie pomieszczeń dla gości, zatrudnienie dodatkowych ludzi, sprawdzenie strojów służących niosących pochodnie i grających na dzwoneczkach, sporządzenie listy dań. Jednak praw-

da była taka, że pozwoliła, by ten człowiek ją zirytował i teraz jej myśli wibrowały jak struny harfy, grając sobie tylko znaną melodię.

Jego głos. Zjadliwe słowa o jej obojętności wobec klęski głodu, licznych tragedii innych ludzi. Czy w tym, co powiedział, była choć odrobina prawdy? I czy rzeczywiście była uwięziona, jak dała mu do zrozumienia? Czy nie wynikało to, przynajmniej częściowo, z faktu, że sama chciała tkwić na zamku wraz z synkiem? Skrytykował ją też za niewielkie umiejętności Sama, zarzucił, że to ona go ograniczyła, ale co wiedział o dzieciach, a zwłaszcza o tym, co nią kierowało? Do diabła z nim!

Pomocnik ogrodnika wstał z ramionami pełnymi zielonych liści w samą porę, by zobaczyć, jak lady Ebony odwraca się i wpada w objęcia sir Aleksa Somersa, krzyżąc przy tym z przerażenia. Zanim jednak zdążył zobaczyć, jak jej się udało go wyminąć, został odwołany. Kiedy zerknął przez ramię, wciąż jeszcze stali jak para terierów szykujących się do walki.

- Milady, nie masz nic więcej do powiedzenia? - spytał sir Alex.

A tak, że cię nienawidzę, pomyślała.

- Chciałam tylko prosić o klucz do mojej komnaty. Nie czuję się bezpieczna przy tyłu obcych, a wkrótce ma przybyć ich jeszcze więcej.

- Twoje bezpieczeństwo, pani, jest dla mnie najważniejszą sprawą. Każę strażom stanąć także przed drzwiami panny Meg, dopóki na zamku będą goście przybyli na pogrzeb. Klucz zostanie w mojej sakiewce.

- Nie potrzebuję twojej ochrony, sir. Potrzebuję mego klucza.

- Doskonale wiem, czego potrzebujesz, pani.

Była dostatecznie wzburzona wcześniejszą rozmową, by znaleźć stosownie kaśliwą odpowiedź. Wskazała znacząco za jego plecy i dumnie powiedziała:

- Jestem zajęta. Proszę pozwolić mi przejść, jeśli łaska. A skoro wiesz, panie, czego potrzebuję, może pomożesz mi wziąć jarmuż i zanieść do kuchni, a potem znaleźć sekretarza i powiedzieć mu... nie! Nie! Proszę mnie puścić!

Sir Alex trzymał ją jednak mocno i ani słowny protest, ani próba uwolnienia się nie odniosły skutku. Była bezradna. Nie mogła nawet się zorientować, w jakim kierunku zmierzają. Co gorsza, jego ostatnia uwaga podsycała jej lęk. Czyżby przyszedł czas zapłaty? Bez względu na miejsce i okoliczności?

- Nie! - błagała. - Nie... proszę... jeszcze nie!

Oparł się plecami o drzwi schowane w murze okalającym ogród i kiedy je pchnął, zobaczyła kamienny łuk nad ich głowami, a potem niebo. Usłyszała też znajomy szum. Sir Alex zbiegł z stromą ścieżką wiodącą do wodospadu. Pod nimi lśniło jezioro odbijając słońce i chmury, ciemnoniebieskie, szare i srebrne. Jego brzegi były brązowe jak sierść jelenia, z czarną ścianą lasu na horyzoncie. Nieopodal ścieżki ustawiono kamienną ławkę, na której ona i Meg często siadały, żeby rozczesać mokre włosy. Właśnie tutaj postawił ją na ziemi, a potem usiadł na ławce i zmusił do tego samego Ebony. Po czym zamknął ją w uścisku, którego nie doświadczyła od tak dawna.

- Proszę, nie... - Czuła, jak dmucha delikatnie w jej włosy, ucho i kark, co powodowało wysyłanie drżących impulsów ku udom. - Muszę pomóc Meg. Ona mnie potrzebuje.

- Ja też - odparł. - A jeśli będziemy rozmawiać w tej po-

zycji, może będę nieco bezpieczniejszy. Chodzi o to, żeby twój ostry język i pazurki nie wyrządziły mi szkody.

Zdała sobie sprawę, że wiedział o wodospadzie. Był tu wcześniej. Świadczyły o tym jego mokre włosy i zdecydowanie, z jakim szedł przez warzywnik. Widział też tę wygodną ławkę pod murem zamkowym.

- Co chcesz wiedzieć, sir? - spytała, patrząc na jego wielkie długie buty schowane za jej nogami. Były większe niż buty Robbiego, uda też miał dłuższe i masywniejsze. Jego mocarne dłonie spoczywały pod jej piersiami, bez wątpienia wyczuwając ich ciepło przez delikatną wełnę długiej sukni bez rękawów.

- Proszę mi opowiedzieć o przyjaciółach swego teścia. Tych, którzy przybędą na pogrzeb. Tych, z którymi prowadził interesy.

- Nie wiemy, kto się zjawi - odparła chłodno. - Rozesłaliśmy wieści, teraz pozostaje nam tylko czekać. Niektórzy przybędą ze Stranraer na zachodzie, niektórzy z Dumfries, część z Ayrshire. Zjawi się też wielu innych, w tym szeryf Galloway, strażnik pogranicza, kapitanowie i tutejsi baronowie. Zamek Kells to niełatwe miejsce na przyjazd w ostatniej chwili.

- A krewni?

- Przyjadą, bo będą chcieli wiedzieć, co im zostawił.

- A co im zostawił?

- To sprawa Meg, nie moja. Proszę ją spytać.

- Zrobię to.

W ten sposób? Czują, jak ciepło jego ciała rozchodzi się po jej plecach i udach, ale powiedziała sobie, że tego nienawidzi, nienawidzi sir Aleksa, jego ramion, jego haniebnej poufałości.

- A kim jest ten bratanek, Davy Moffat? Znajduje się na

początku listy twoich potencjalnych mężów, pani, a może na końcu? - Jej szamotania sprawiły, że się roześmiał i zacieśnił uścisk. - Dobrze... już dobrze. Znam odpowiedź.

- Nie ma żadnej listy! - syknęła, próbując się wyswobodzić. - Nie zamierzam...

- No cóż, może ty nie, pani, ale stary Moffat z pewnością zamierzał. Bogacz, bratanek, wszystko pozostanie w rodzinie. .. ale kupiec winny? - Jej włosy stłumiły jego śmiech. - Nie wyobrażam sobie, żebyś wyszła, pani, za...

- Nie twoja sprawa, sir, za kogo wyjdę - powiedziała dumnie. - Proszę ograniczyć swoje pytania do spraw sir Josepha i wynosić się. Wątpię, czy znajdziecie to, czego szukacie.

- Dlaczego to mówisz, pani?

- Bo kimkolwiek był sir Joseph, nie uwierzę, że mógł być zdrajcą ojczyzny. Nie przepadałam za nim, jeśli już musisz to wiedzieć, ale nie znałam większego patrioty od niego. Ktokolwiek sprzedawał kuce galloway moim rodakom, nie był nim on. Wolałby raczej umrzeć, niż pozwolić Anglikom poprowadzić je do walki przeciwko Szkotom.

- To jedyne konie, jakich można użyć na trudnym podłożu.

- Ależ skąd! Są jeszcze angielskie kuce dale i fell. Nie wiesz o tym, panie?

- Hm. A jak często przyjeżdża w odwiedziny ten twój adorator?

- Jeśli masz na myśli, sir, pana Moffata, przywozi wino i...

-Jak często?

- Co parę tygodni. Zostaje kilka dni na polowanie, a potem wraca do domu.

- Obladowany sarniną, bez wątpienia. Czy zabiera kuce do Dumfries?

- No cóż, przywozi wino na jucznych koniach, a więc przypuszczam, że zabiera konie z powrotem. Nie interesowałam się tym zbytnio.

- Dobrze... Czy Sam go lubi?

- Jest bardzo miły dla mojego syna.

Ujął jej nadgarstki i tak powoli położył jej dłonie na kolanach, że wiewiórka buszowała dalej tuż przy ich nogach. Nigdy nie widziała, żeby mężczyzna poruszał się tak cicho i z takim wdziękiem. Jak jednak przyjmowała intencje Davy'ego Moffata? Prawdę powiedziawszy, nigdy nie zadała sobie trudu przeanalizowania swych uczuć wobec niego. Był miły dla Sama i dla niej. Gdyby teść wciąż nalegał, może z czasem by ustąpiła i wyszła za niego, choćby po to, by wyrwać siebie i syna spod złego wpływu sir Josepha. Jednak nie widziała w nim nic pociągającego, a myśl o znalezieniu się z nim w sytuacji intymnej zupełnie do niej nie przemawiała.

Jego żona zmarła w połogu cztery lata temu, dziecko też. Był jednym z najbardziej wpływowych mieszkańców miasta i miał wytworny dom. Nawet Meg uważała go za dobrą partię. Ebony oświadczyła i jemu, i szwagierce, że nie jest jeszcze gotowa do ponownego zamążpójścia, chociaż noce świadczyły o czymś zupełnie innym.

-I powiesz mu, pani, o propozycji, jaką mi złożyłaś? A może wolałabyś, żebym ja sam mu o niej powiedział?

Patrzyła, jak odległa plamka łodzi przecina szybko lustro jeziora, zostawiając za sobą delikatny ślad.

- Jednak powinieneś, panie, być rabusiem. Złośliwość pasuje do ciebie równie dobrze jak oszustwo. Proszę powiedzieć panu Moffatowi, co chcesz, panie. Nie mogę być odpowiedzialna ani za twoje, sir, działania, ani za jego uczucia.

Tak czy inaczej, ledwie spojrzy na ciebie, sir, i będzie wiedział, w jak rozpaczliwej sytuacji się znalazłam.

Poczuła na plecach jego cichy śmiech. Zaraz potem rozluźnił dłonie i delikatnie gładził jej ręce, łokcie, wodził nimi w górę ramion. Mogła się uchylić, ale nie zrobiła tego.

- Mam lepszy pomysł - zaproponowała, zwracając twarz ku jego dłoni. - Mógłbyś, panie, o wszystkim zapomnieć. Umowa jest nieaktualna. Wszystko się zmieniło. Nie musisz już zabierać Sama.

- Nie - szepnął jej do ucha. - Umowa stoi. Coś jeszcze?

Gdy nie odpowiedziała, oderwał dłonie, sprawiając tym samym, że na ramionach i plecach poczuła dziwny chłód, a myślami powróciła do małej łodzi, która tak swobodnie płynęła po jeziorze. A kiedy w końcu odwróciła się, chcąc pomówić z sir Alekssem o wolności, uświadomiła sobie, że jest sama.

Wciąż było za dużo prac do ukończenia, by mogła sobie pozwolić na oglądanie się wstecz albo patrzenie w przyszłość. I to okazało się dla niej najlepsze. Sam, całkiem bezpieczny, bawił się z dwoma synami wójta pod czujnym okiem Biddie. Drewniane koniki na kółkach nie wymagały od nich ćwiczenia równowagi, a lance szybko zmieniły się w wędki.

Do pomocy w przygotowaniach zatrudniono całą armię wieśniaków. Na dziedzińcu kuchennym obdzierano ze skóry i czyszczono tusze krowy i cielaka, cztery sarny, świnie, dwadzieścia jagniąt, tuziny bażantów, kaczek i gęsi, kurczaki i gołębie, króliki i czaple. Każda liczba wykrzykiwana na dziedzińcu odnosiła się do buszli, baryłek, pełnych skrzyń i galonów. Wszystkie piece pracowały bez przerwy. Każ-

da para rąk skubała, cięła, obdzierała ze skóry, faszzerowała. Dziedziniac kuchenny był zasłany piórami i puchem.

- Pięćset śledzi? - powiedziała Ebony. - Jesteś pewien?

- Tak, pani - potwierdził zarządca, powstrzymując kichnięcie. - A prócz tego węgorze, łososie, pstrągi, szczupaki i minogi. Wczoraj upieczono trzysta bochenków białego chleba, część chleba z przesianej mąki, dzisiaj płaskie chlebki owsiane. W piekarni pracują dzień i noc. Muszę iść odszukać skrzynie z daktylami, figami i imbirem, które pan Moffat przywiózł ostatnio. Zobaczę też, czy uda mi się znaleźć jeszcze więcej mielonych migdałów. Kucharz wychodzi z siebie. - Spojrzał w kierunku zabudowań kuchennych. - Jakiś chłopak pchał taczkę wypełnioną bierwionami. - Nie radzę teraz tam wchodzić, pani. Byłbym zapomniiał, panienska Meg pytała o panią. Jest z lairdem.

Znalazła Meg wychodzącą z zimowej sali, gdzie leżało ciało sir Josepha pilnowane przez lokaja, dwóch giermków i pazia.

- Powinnaś odpocząć - powiedziała Ebony. - Chodź, kochanie. Zaraz będzie pora wieczerzy.

- Muszę iść do wieży bramnej i sprawdzić, czy komnata Davy'ego jest gotowa. Już posłałam tam Janet. Nie zajmie mi to dużo czasu.

- Dlaczego właśnie teraz? Przyjadą dopiero jutro.

- Davy jest tutaj. Powinnyśmy były się domyślić, że przyjedzie pierwszy.

- Tutaj... już?

- W letniej sali z sir Alekssem. Pójdiesz i zajmiesz go, dopóki nie przygotujemy komnaty? Daj mi pół godziny, dobrze?

- Ja mogłabym iść przygotować komnatę, Meggie.

Jeśli w jej słowach krył się cień prośby, szwagierka postanowiła tego nie zauważyć.

- Wiesz, że najbardziej zależy mi na spotkaniu z tobą. I z Samem.

Ebony położyła rękę na ramieniu Meg.

- Nie mówmy o tym, kochanie. Proszę. To nie czas na myślenie o przeszłości.

- Bez względu na to, jak bardzo się z tobą zgadzam, Eb, wątpię, czy on jest tego samego zdania.

Żadnej z nich nie przyszło do głowy, że Davy Moffat przyjedzie przed siostrą i jej mężem. Wszyscy troje mieszkali w tym samym mieście, a zawsze było bezpieczniej podróżować większą grupą. Dreszcz podniecenia, który poczuła w osłoniętym kotarami przejściu, zerkając przez szparę w ciężkiej wełnianej tkaninie, nie został wywołany widokiem Davy'ego, tylko mężczyzny, z którym rozmawiał.

Między niższym końcem sali a pomieszczeniami dla służby biegło przejście oddzielone drewnianym przepierzeniem z dwoma prześwitami, przesłoniętymi kotarami, z wyjątkiem pór posiłków, bo służba stołowa nosiła tamtędy półmiski z kuchni. Drzwi z obu stron przejścia prowadziły na dziedzińce, ale nie było tu okien, tylko zapachy i dźwięki, dotyk zimnych kamiennych płyt pod stopami i rozmaite widoki przez wąskie szpary bądź otwarte drzwi.

Trzymając doprowadzonego pośpiesznie do porządku Sama za rękę, Ebony zawahała się, ale odsunęła kurtynę i uśmiechnęła się do synka. Gdy tylko weszła do sieni, natychmiast dokonała nieuniknionego porównania. Obaj mężczyźni stali, swobodnie rozmawiając. Sir Alex górował nad Davym o cal czy dwa, jego szerokie ramiona i wąskie biodra zawstydzaly jarmarczna chudość kupca winnego, jego dłu-

gą szyję podtrzymującą małą głowę o jasnych prostych włosach, które, odczesane z czoła, spadały na kołnier. Różowienie wieczorne światło, które odbijało się od bieli obrusów na wysoko ustawionym stole, podkreśliło jaskrawość tuniki Davy'ego w kolorze królewskiego błękitu wobec neutralnych barw, przytłumionej zieleni i brązowej skóry porządnego stroju sir Aleksa. Z rękawów Davy'ego zwisały ozdobne wstęgi sięgające podłogi, a nogawice w czarno-żółte pasy obciskały długie nogi aż do wyjątkowo krótkiego ząbkowanego krańca tuniki ledwie przysłaniającej rzucające się w oczy wybrzuszenie przykryte haftowaną klapką związaną złotymi sznurówkami. Najwyraźniej miało zwracać uwagę. Ebony pomyślała, że wygląda jak ptak, który upierzeniem ma zrobić wrażenie na samiczce. Miał dobre maniery i potrafił być czarujący, ale zarazem sztuczny, i choć nie znosiła mężczyzny stojącego u jego boku, w stosunku do Davy'ego Moffata nie żywiła żadnych uczuć. Niemniej poczuła się zaniehdana i rozczochrana.

Davy natychmiast przerwał rozmowę, podszedł do niej z wyrazem ulgi w okrągłych wyblakłych oczach i wyciągnął ręce na powitanie.

- Ach, lady Ebony. Jaki to straszny czas dla pani i dla mojej kuzynki. Jesteście takie dzielne. - Ujął ją za ramiona i pocałował w usta. To zwyczajowe pozdrowienie Davy zawsze niemal niedostrzegalnie wydłużał.

Zobaczyła sir Aleksa kątem oka. Obserwował każdy ruch. Będzie musiała mieć się na baczności. Jeżeli Davy wyczuje choć odrobinę wrogości między nimi, będzie chciał ją chronić, a wtedy padnie mnóstwo niepotrzebnych pytań.

- Witam, panie Davy. Dobrze, że przyjechał pan tak szyb-

ko. Sam, ukłonił się. - Położyła dłoń na karku syna i pchnęła go lekko do przodu.

Między Samem a Davym zawsze była pełna rezerwy uprzejmość, której żaden z nich nie potrafił przekształcić w coś na kształt swobodnego szacunku, jaki chłopiec w ciągu trzech dni zaczął żywić do Josha. Ich uśmiechy i ukłony były uprzejme, lecz brakowało im ciepła. Sam spojrział na matkę, szukając aprobaty w jej oczach, a potem ponownie wziął ją za rękę.

Wszystko będzie dobrze, skoro już tu jestem, mówiła mi-na Davy'ego, który następnie spojrzenie skierował na Sama.

- Przysięgłbym, że podrósł od czasu, kiedy widziałem go po raz ostatni. Nauczył się tego łacińskiego wiersza, który mu dałem?

- Nie, ale w końcu nauczył się jeździć na kucyku.

Davy otworzył szerzej oczy z przerażenia.

- Jeździ na kucyku? Wielkie nieba, pani. To zbyt niebezpieczne dla małego chłopca! Czemu to ma służyć?

Ebony widziała uniesienie brwi z boku, ale nie zmieniła wyrazu twarzy.

- Cóż, przypuszczam że przenoszeniu się z miejsca na miejsce bez nadwerężania nóg. Sir Joseph dał mu tego kuczka, więc zapewne też tego chciał.

- Hm! - Davy odwrócił się do wysokiego milczącego mężczyzny, zupełnie jakby podejrzewał znowę. - Aprobujesz to, sir Aleksie?

- To, na co lady Moffat pozwala swemu synowi, nie wymaga aprobaty żadnego z nas, panie Moffat. Pod opieką matki Sam zawsze będzie bezpieczny.

W braku poparcia, na które liczył, porzucił ten temat, a Ebony skierowała rozmowę na Meg i jej zmarłego ojca,

pogrzeb i całe nieszczęście. Dołączenie się do nich Leylanda wymusiło kolejne porównanie między oficerami króla a winiarzem, nie tylko pod względem wyglądu, ale również zachowania. Poleciała przynieść im wina, a Davy nie mógł się powstrzymać od zaznaczenia, że pochodzi od niego. Drogie, wyjątkowe; mają szczęście, że mogą go skosztować, zaznaczył, nie dostrzegając niemal niewidocznych mrugnięć wymienionych nad swoją głową.

W tej sytuacji samotne jedzenie w ogóle nie wchodziło w rachubę. Meg zgodziła się z Ebony, że ich niechęć do królewskich wysłanników musi pozostać niezauważona przez gości, którzy w przeciwnym razie nie byłiby chętni do współpracy w dochodzeniu. Żadna z nich nie była jednak dobrą aktorką. Mieszkały w domu pełnym brutalnych, aż nadto bezpośrednich mężczyzn, więc ich umiejętności dyplomatyczne ograniczały się do skrywania obrzydzenia wobec zwyczajów sir Josepha i jego przyjaciół. Zazwyczaj po prostu starały się zejść im z drogi. Teraz nie będzie to możliwe. Będą musiały bardziej się postarać.

Choć wieczerza w letniej sali nie była głównym posiłkiem dnia, niemniej miała oficjalny charakter i wymagała ciągłej uwagi obu pań domu w trosce o wygodę gości. Dyskretnie obserwowały też ich maniery, założywszy, że obaj oficerowie, skoro stale przebywają w towarzystwie swoich ludzi, z pewnością mają braki w tym zakresie. Wkrótce wyszło na jaw, że sir Alex i pan Leyland, a także ich podwładni, okazywali takie umiejętności towarzyskie, jakby całe życie spędzili w arystokratycznym domu. Nie wystawiali też Ebony i Meg na próbę, okazując przyjaźń, która nie istniała. Davy był najwyraźniej pod wrażeniem ciepłej życzliwości, towarzyszącej

posiłkowi, a w osłupienie wprawiła go wiedza obu gości na temat win, w czym spodziewał się triumfować.

Kiedy rozebrano stoły, wziął Meg na bok i zaczął ją wypytwać na tle żalosnych dźwięków dud i bębenków.

- Mówiłaś, że skąd oni są, Meg?

Zgodnie z obyczajem musiała jeść z jednego naczynia z Leylandem i wysiłek prowadzenia grzecznej rozmowy mocno dał się jej we znaki.

- Nie są z żadnego miejsca w szczególności. Jeśli obiecasz, że nic nie dasz poznać po sobie i nikomu tego nie zdradzisz, powiem ci, dlaczego tu są.

- A więc nie są przejazdem?

- Niezupełnie, ale nie wolno ci rozmawiać o tym z innymi gośćmi, bo imię mojego ojca nigdy nie zostanie oczyszczone. Nie będą chcieli współpracować.

- O czym ty mówisz? Oczyszczone z czego?

- Mówiłam ci, żebyś niczego nie dał po sobie poznać, Davy.

Próbował się opanować, jednak z nie najlepszym skutkiem.

- Oczyszczone z czego?

-W imieniu króla prowadzą dochodzenie w sprawie sprzedaży koni galloway Anglikom.

- To wbrew prawu!

- Właśnie o to chodzi. Chcą wiedzieć, kto prócz niego tym się zajmował. Powinieneś nam w tym pomóc.

Davy pobladł.

- Cóż, nie jestem pewien, z kim się kontaktował, Meg.

- Chodzi o to - rzekła cicho - że on jest niewinny, Davy. Nie ma nic wspólnego z taką zdradą. Wiesz, jaki miał stosunek do zdrajców, i wiesz, z kim się kontaktował. Wiesz więcej o sprawach mojego ojca niż ktokolwiek inny. Ty i on spędzaliście wiele godzin na rozmowach o interesach.

- Boże... to poważna sprawa, Meg.
 - Nie musisz mi tego mówić. Potrzebujemy twojej pomocy. Ebony i ja możemy stracić zamek, jeśli zdołają udowodnić to, co podejrzewają.

- Rozmawiali o tym z tobą?

- Tak, z Ebony też. Przejrzeli wszystkie papiery ojca, myszowali po całym zamku.

- Boże wszechmogący! W piwnicach też?

- owszem, chociaż nie wiem, co spodziewali się tam znaleźć.

Davy jęknął, niezdolny powstrzymać się od zerkania na dwóch nieznanym, którzy rozmawiali właśnie z bratem Walterem.

- Gdzie jest klucz, Meg? Czy zdjęłaś mu go z szyi?

- Nic nie wiem o żadnym kluczu na szyi... och... zaczekaj! Czy był na rzemyku?

-Tak.

- Musiałam go przeciąć, kiedy opatrywałam mu rany. Och, wszystko przepadło, Davy! Kazałam spalić rzeczy, na których leżał. Były zbyt...

- Tak... nieważne. Mogę wyłamać zamek do kasety.

- Jakiej kasety?

- No... trzymał tam prywatne dokumenty. Nie martw się, nie znajdują ich. Gdzie jest jego sygnet?

- Ma go Ebony.

- Lepiej będzie, jeśli mi go da. Przechowam go w bezpiecznym miejscu.

- Jest bezpieczny. Teraz nie może się nim posługiwać nikt z wyjątkiem Sama.

- Ebony, jako jego opiekunki prawnej.

- Cóż, sporządzimy spis majątku, jak tylko to wszystko się

skończy. Prawnicy będą tu w przyszłym tygodniu i wówczas uporządkujemy sprawę.

Davy nie odpowiedział. Tylko on mógł powiedzieć, jak płytki stał się jego oddech i jak niespokojnie biło mu serce.

Jego kolejnym celem była Ebony, która wprawdzie nigdy go nie zachęcała do zalotów, niemniej z pewnością potrafiła docenić jego zainteresowanie.

- To bardzo miło z twojej strony, panie - odpowiedziała na jego pełne współczucia słowa. - A więc Meg wyjaśniła sytuację?

- Tak. - Zgarnął zwisające rękawy z podłogi i ułożył je starannie na kolanach. - Sytuacja jest bardzo poważna, pani. Doprawdy, bardzo poważna.

- Wiemy o tym. Meg i ja miałyśmy nadzieję, że pomożesz nam wszystko wyjaśnić, panie.

- Nie wiem. Może będę w stanie. - Zaciśnęła wargi i uciekł wzrokiem.

Nie tego po nim oczekiwała. Zawsze tak gorliwie wyrażał podziw dla spraw i powiązań swego wuja. Nawet wypady sir Josepha były przez niego akceptowane jako życiowa konieczność, tak samo jak przez innych lairdów i właścicieli majątków.

- Może? - powtórzyła - Chyba nie wierzysz, panie, że sir Joseph mógł być tak nielojalny, prawda?

-Cóż, nie... nie, oczywiście, nie wierzę, ale żyjemy w trudnych czasach, pani. Jeżeli ci dwaj dysponują mocnymi dowodami, niezwykle trudno będzie wykazać, że są w błędzie.

Niedawno ktoś inny przypomniał jej o ciężkich czasach.

- Nie sądziłam, że taki ktoś jak ty, sir, może uznać za niemożliwe oczyszczenie imienia swego wuja, zwłaszcza gdy

tak wiele jest do stracenia. Sir Joseph oczekiwałby, że przemiesz, panie, ster w takiej sytuacji.

Gdy ich spojrzenia się zetknęły, pojęła, jak niezręcznie się wyraziła. Z powodu pragnień sir Josepha i bratanka związanych z jej osobą, myśli Davy'ego powędrowały niewłaściwą ścieżką. To ostatnia rzecz, jakiej sobie życzyła, ale było już za późno.

Nakrył dłonią jej dłonie.

- Moja droga, na pewno! Tak się cieszę, że w końcu doszłaś, pani, do tego samego wniosku co mój wuj i ja. Może jutro znajdziemy trochę czasu, żeby porozmawiać o tej sprawie na osobności?

Uwolniła swoje dłonie.

- Panie Davy, myślę, że... - przerwała. Jej głos nie mógł się przebić przez zawodzące dudy. Szukając właściwych słów, rozejrzała się po sali i napotkała stalowobłękitne oczy sir Aleksa. Wpatrywał się w nią tak wnikliwie, jakby czytał w jej myślach.

Znalazł się przy nich w mgnieniu oka jak orzeł, który sfrunął z grani.

- Zastanawiałem się właśnie, czy mógłbym zamienić z tobą parę słów, sir Moffat? - powiedział, pozornie ignorując Ebony. - Hugh i ja spieramy się o pochodzenie wina malmsey. Tylko ty, panie jesteś w stanie rozstrząsnąć nasz spór.

Nawet w takiej chwili podobnego wyzwania Davy nie mógł nie przyjąć.

W zamku zapadała cisza, kiedy Ebony powiedziała Samowi dobranoc. Znowu był zbyt zmęczony, by doczekać do końca bajki. Odwrócił głowę i zasnął, zanim zdążyła odebrać dłoń od jego czoła.

- Kolejna noc bez złych snów? - szepnęła do Biddie.

- Tak. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego śmierć dziadka wywołała taką zmianę, pani, ale przez ostatnie dwie noce ani jęknął. A tobie dobrze się śpi samej, pani?

- Dobrze. Dziś będę spała jak kamień, Biddie.

Prognoza Ebony była dość trafna, biorąc pod uwagę jej wyczerpanie. W kominku żarzyły się jedynie wypalone polana, więc w komnacie było ciemno i nie mogła obserwować świetlnego tańca na krokwiach. Myśli zwolniły bieg, a potem gwałtownie powróciło wspomnienie, którego przez cały dzień starała się unikać. Rozpamiętywała miękkość ust na szyi i włosach, powodującą mrowienie na całym ciele. Do rzeczywistości przywołał ją dotyk chłodnych prześcieradeł. Był niczym majowa rosa, w której ona i Meg lubiły się turlać. Spróbowała zamknąć drzwi pamięci, ale wciąż ukradkiem się otwierały. Wreszcie udzieliła sobie reprimendy za nieporozumienie z Davym, do którego nie powinno było dojść. Teraz będzie musiała znaleźć jakiś sposób wyplatania się z tej sytuacji. I znów przypomniała sobie, jak potężny mężczyzna, śpiesząc jej na ratunek, przeszedł dużymi krokami przez salę, a ją obezwładniły grzeszne doznania.

Zasypiając, poczuła, jak Robbie bierze ją w ramiona, a ciepło jego ciała ogrzewa jej plecy. Przytulił ją mocniej, jego dłoń odszukała jej pierś. I nagle zapadła w ciemną bezdźwięczną otchłań. Ogień całkiem wygasł, kiedy głos wewnętrzny ostrzegł ją, że ten sen jest czymś więcej niż iluzją, bo dźwięk nigdy nie odgrywał takiej roli jak w tej chwili. Nasłuchiwała spokojnego regularnego oddechu za swoją głową i wiedziała, że to nie jej oddech. W tym samym czasie dłonią dotknęła dłoni obejmującej jej pierś i poznała, że to nie dłoń Robbiego.

Rytm zmienił się, kiedy dłoń poruszyła się czule po jej ciele, wolno pieszcząc, pozwalając jej dłoni dotknąć nadgarstka, jakby miała go prowadzić. Wstrzymała oddech, kiedy dłoń sunęła po jej klatce piersiowej, tak delikatnie, że gdyby nie miękkie włoski na rękę i wyraźne falowanie mięśni pod skórą, mogłaby zamknąć oczy i ponownie zapaść w sen. Czyż nie tego właśnie pragnęła poprzedniej nocy, kiedy nie przyszedł?

Stopniowo, ostrożnie, dłoń przesunęła się po jedwabistej skórze jej biodra, wsunęła między nogi, nie żałując czasu na pieszczoty, po czym rozpostartymi palcami nakryła jej brzuch. Ebony gwałtownie chwyciła powietrze, jęcząc i wyginając się, czując odpowiedź jego ciała, kiedy przejął kontrolę. Dokładnie wiedział, czego ona potrzebuje. Bez słów, które przerwałyby magię, kąpała się w jego powolnych łagodnych pieszczotach, lubieżnie otwierając się pod jego dłońmi, owijając nogami jego nogi, zachwycając się dotykiem jego ostrych włosków na swojej miękkiej skórze. Czula się jak harfa wibrująca pod umiejętnymi palcami harfiarza.

Jej drżące ciało błagało o więcej doznań, których brakowało jej przez trzy jałowe lata, a harfiarz z cudowną maestrią chętnie grał na jej ciele. Jej potrzeby zbudziły się ponownie. Nasiliły się, nie zaspokoily. Porzucając wszelkie zahamowania, nie dopuszczając do siebie myśli, nie zadawała sobie żadnych pytań i nie szukała odpowiedzi. Oddała się całkowicie we władzę ciemności i doświadczenia nocnego przybysza, które przynosiło rozkosz. Pożądliwie szukała jego ust, przytrzymując mu głowę, by nie stracić żadnego z cudownych smaków i kreślić wargami kontury jego twarzy, dla której ostatnio była tak niemiła. Teraz to nie miało znaczenia. Tamto było w innym świecie, to było zastrzeżone dla ciemności.

Dziwne, nie pojawiły się żadne myśli o tym realnym świecie, bo to, co działo się tutaj, miało taką intensywność, jakiej nie doświadczyła nigdy przedtem. Wszystkie jej poprzednie miłosne spotkania były pośpieszne, rutynowe i ograniczone do trzech najbardziej oczywistych obszarów jej ciała. Ten mężczyzna pokazywał jej coś aż nazbyt cudownego, coś, za czym tak bardzo tęskniła. To należało do zakazanego czasu bez nazwy, bez usprawiedliwiania, winy i wstydu. Czasu, który zniknie z nadejściem świtu.

Jego palce, duże i czułe, gładziły jej plecy długimi powolnymi ruchami, jego głos uspokajał ją bezsłownymi dźwiękami brzmiącymi bardziej gardłowo niż głos Robbiego, bardziej melodyjnymi i kojącymi. Była kołysana i obejmowana, pocieszana i wciąż drżąca, pobudzona jego magią. Pragnęła więcej i więcej... W końcu znów zasnęła, wtulając usta w jego pierś, a kiedy pod powieki wcisnął się świt, małe ciało zmateriałizowało się przy niej w tym samym miejscu, w którym niedawno leżało duże.

- Mamo! - zawołał. - Już dzień, a ja znowu nie miałem złych snów.

Rozdział piąty

Komnata sir Josepha Moffata, którą Meg przygotowała dla przyjezdnych mężczyzn, nie została w końcu wykorzystana, jak to sobie zaplanowała. Ta zmiana naturalnie doprowadziła ją do szału. Nie bez wysiłku zatrzasnęła ciężkie nabijane ćwiekami drzwi, nie tyle zakłopotana widokiem tak wielu niekompletnie ubranych mężczyzn, co rozzłoszczona, że jej plany zostały zignorowane.

- Gdzie jest sir Alex? - wrzasnęła na całą salę.

Na widok i krzyk panny Moffat, stojącej na szczycie drewnianych schodów za podwyższeniem, większość służby stanęła jak wryta. Wreszcie jakiś mężczyzna wyszedł zamasztytem krokiem zza kotar na końcu sali, gotów rozwiązać problem.

- Czy ja wystarczę, pani? - zawołał Hugh Leyland, zapominając o tym, że dobrze by było, gdyby na jego przystojnym obliczu odmalował się niepokój.

- Nie, nie wystarczysz, panie! - odparła Meg, schodząc energicznie po schodach - Chcę, żeby ci ludzie się stąd wynieśli, a ty najwyraźniej nie jesteś w stanie zrobić niczego pożytecznego.

Hugh ukrył uśmiech.

- Myślałem, że przeznaczyłaś go, pani, właśnie dla ludzi.

Jego żartobliwa uwaga natrafiła na całkiem nieodpowiedni moment.

- Proszę zostawić myślenie o sprawach domowych mnie, jeśli łaska - stwierdziła ostro. - Ta komnata należała do sir Josepha i ja będę decydować o tym, kto może z niej korzystać. Proszę natychmiast usunąć stąd tych mężczyzn. Mogą spać w sali i w stajniach, wraz z innymi. - Poczerwieniła ze złości. Dobry sen, kąpiel i zmiana ubrania przywróciły jej wrodzoną witalność. Błękitna suknia i kremowa płócienna tunika leżały jak ulał na jej apetycznie zaokrąglonej figurce, obcisłe rękawy sukni przykrywały dłonie, a szeroki dekolt odsłaniał smukłą białą szyję. Na uszach spiralnie zwinięto rude włosy jak zaplecione bułeczki. Ujęto je w złote siatki ozdobione morskimi perłami. Brwi wieńczyła złota przepaska, bo Meg nie chciała, by znajomi ojca widzieli w niej zaniedbaną pannę Moffat. Poza tym uwielbiała zarządzać. Dzisiejszego dnia będzie tylko musiała zachować trzeźwość umysłu.

- Pewnie masz, pani, rację - zgodził się Hugh. - Mogą spać wszędzie, ale ponieważ sala do świtu będzie pełna hałaśliwych gości, chyba rozsądnie jest mieć paru ludzi pod ręką dla kontrolowania sytuacji, gdyby coś... poszło nie tak i wymagało... interwencji. - Patrzył, jak się zbliża, zastanawiając się, dlaczego Alex założył, że obie panie będą potrzebować pomocy, skoro doskonale mogły poradzić sobie same.

Zatrzymała się przed nim na długość ramienia, kipiąc oburzeniem.

- Proszę mi wierzyć lub nie, panie Leyland, ale jestem w stanie pojąć twój sposób myślenia, przypominam jednak, że lady

Moffat i ja wciąż jesteśmy paniami na zamku Kells. I dopóki nas stąd nie usuną, to my podejmujemy decyzje w sprawach zakwaterowania. Na przyszłość proszę łaskawie skonsultować się z nami, zanim znów postanowisz coś zmienić, panie.

- Tak, pani. Przekażę te słowa sir Aleksowi. A gdzie ja miałbym spać? - Sądząc po jego minie, nie miała wątpliwości, jaką odpowiedź pragnąłby usłyszeć.

Odpowiedź Meg jednakże była mniej serdeczna:

- W jeziorze! - odparła, odchodząc.

Idąc za nią, zanotował wiele znaczących uśmiechów na twarzach służących, którzy słyszeli tę wymianę zdań. Janet, pomyślał, wykonała wspianą pracę, jeśli idzie o fryzurę, ale dałby wiele, żeby pozwolono mu zburzyć to rękodzieło.

- Niech mi wolno będzie wytłumaczyć... - zaczął.

- Już to zrobiłeś, panie. Teraz muszę poszukać innych pomieszczeń dla gości. - Przeszła za kurtynę do zasłoniętego przejścia, w którym spotkała kuzyna nadchodzącego z drugiej strony. Szukał, jak twierdził, sir Aleksa.

- Nie znajdziesz go - odparła Meg głośno. - Będziesz musiał zadowolić się sir Leylandem, jak my wszyscy.

- Meg... nie odchodź! - zawołał za nią Davy. - Nie mogę iść do komnaty sir Josepha. Pełno tam mężczyzn. O co tu chodzi?

- Spytaj jego. - Wskazała za siebie.

- Jakiś problem, panie Moffat? - spytał Hugh. - Czyżbyś też chciał tu spać, panie? - Jego szare oczy widziały w mroku równie dobrze jak w sali, dostrzegł więc wypieki pana Davy'ego, które zapewne były spowodowane nie tylko wysiłkiem fizycznym.

- Nie, sir, ale chciałbym odzyskać dokumenty mego wuja, które się tam znajdują.

- W takim razie będziesz musiał pomówić z sir Aleksem, panie - stwierdził Hugh. - Zdążyliśmy już zabrać część z tych papierów.

Usta Davy'ego obwisły, wargi mu drżały i przez chwilę nie był w stanie przemówić. Przerażony przeniósł wzrok z Leylanda na Meg, a potem w mrok korytarza.

- To bardzo niedobrze, sir Leyland. To prywatne dokumenty.

- Tak, wiem - odparł Hugh, obserwując, jak rumieniec Davy'ego znika. - Właśnie dlatego przenieśliśmy je w bezpieczne miejsce. Nie chcemy, żeby ktokolwiek wsadzał nos w sprawy sir Josepha, prawda? A te, które zostawiliśmy w komnacie, są przy tych ludziach całkiem bezpieczne.

- Cóż... naturalnie, ale...

Rozwścieczona Meg dała wreszcie upust swej irytacji.

- O co chodzi, Davy? To tylko rachunki i umowy, prawda? Mnie też się to nie podoba, ale musimy im udowodnić, że wszystko jest tak, jak być powinno. Mój ojciec nie miał nic do ukrycia, przecież dobrze wiesz.

- Zgadza się pan z tym, panie Moffat? - spytał Hugh.

-Z czym?

- Że sir Joseph nie miał nic do ukrycia.

- Cóż, tak, o ile wiem.

To ostrożne stwierdzenie sprowokowało Meg do zacieklej obrony ojca.

- O ile wiesz? Co ty mówisz, Davy? Oczywiście, że wiesz. Jak mógłbyś nie wiedzieć? To ty pomagałeś mu w interesach. Doskonale wiesz, co robił. To nie sekret, że wyruszał na wypadki rabunkowe, ale tu w grę wchodzi zdrada, a mój ojciec nigdy... - złapała go za rękaw - .. powiedz mu, dobrze?

Ze złością strącił dłoń Meg.

- Już to zrobiłem, słyszałaś przecież, ale są tam rzeczy, których potrzebuję. - Jego ostatnie słowo zabrzmiało niemal jak skowyt. Odwrócił się i odszedł, a trzaśnięcie drzwiami na dziedzińcu stajenny nadało nowy wymiar jego dziwnemu zachowaniu.

- Czy zawsze jest tak pobudliwy? - spytał Hugh zdumionej Meg.

Odwróciła energicznie głowę, żeby na niego nie patrzeć.

- Nie, zazwyczaj jest spokojny.

- O co więc w tym wszystkim chodzi, jak myślisz, pani?

- Mnie również to niepokoi. Może mogłabym powiedzieć ci więcej, gdybyśmy z siostrą zobaczyły dokumenty, które zabraliście. Zgubiliśmy kluczyk do jednej z kasetek.

- Och? Do której?

- Nie wiem do której. Davy powiedział...

- Tak? Co Davy powiedział?

- Nic. Muszę iść. - Zagarnęła dłonią fałdy spódnicy, po czym zatrzymała się, unosząc wzrok na poziom kłamry jego pasa. - Gdzie spałeś, panie, jeśli wolno spytać?

- Tutaj, w sali. Z pozostałymi ludźmi - odpowiedział bez troski.

- Cóż, na szczycie tych schodów jest komnata. - Wskazała na spiralną klatkę schodową w rogu pogrążonego w mroku korytarza. - To pokój gościnny nad spiżarnią i pokojem kredensowym z dwoma łózkami, garderobą i solidnym zamkiem w drzwiach. Mógłby się nadać dla ciebie, panie, i sir Aleksa. Jest blisko dużej sali. Każę posłać wam łóżka.

- Dziękuję. Mogę spytać, gdzie jest twoja komnata, pani?

- Nie, nie możesz, panie - rzuciła chłodno i ruszyła przed siebie.

- Muszę to wiedzieć.

- Chciałbyś wiedzieć za dużo! - Odeszła.

Roześmiany Hugh wrócił do sali.

- Co cię tak bawi, chłopcze? - spytał sir Alex. - Jedna z Walkirii, mam rację?

- Mała wiewiórka. Co za kobieta. Pewnego dnia...

- Pewnego dnia, Hugh, usidli cię, i to na dobre. Chodź ze mną. - Poszedł przed nim przodem do ławki oddalonej od środka sali, gdzie zbudowano otwarte palenisko na podwyższeniu z dużych głazów. Wymiatano właśnie stos białego popiołu drzewnego. Mężczyźni przyciągnęli także blok, by ściągnąć z krokwi gigantyczny świecznik w kształcie młyńskiego koła. Stare ogarki świec poznikały w ich kieszeniach mimo pilnującego ich nadzorcy, który czekał z wiadrem.

Hugh wciąż szczyrzył zęby w uśmiechu.

- Mogłoby mi się to nawet spodobać. Właśnie wpadłem na naszego przyjaciela, kupca winnego. Jest bardzo zmartwiony tym, że zabraliśmy część dokumentów sir Josepha. Okazało się też, że nasze damy wiedziały o braku klucza. Zastanawiałem się, czy nie powiedzieć pannie Meg, że otworzyliśmy kasetkę, ale postanowiłem tego nie robić.

- Lepiej poczekać i zobaczyć, co się wydarzy. Jak sądzę, zdobyliśmy dowody winy lairda. Mam jednak wrażenie, że kryje się za tym coś więcej, Hugh.

- Chodzi ci o jego kontakty?

- Nie, mam na myśli młodego Moffata. Próbuje coś ukryć, jestem tego pewien. I zamierza też przyprzeć damę do muru, jeśli prawidłowo odczytałem znaki.

- Ona nie da się złapać takim jak on.

- Cóż, ludzie robią różne dziwne rzeczy, kiedy czują się zagrożeni.

Niepewny kierunku, w jakim podążały myśli przyjaciela, Hugh zerknął na niego z ukosa.

- W porządku, musimy go obserwować. Może będzie próbował dostać się do kasetki, choć śpią tam nasi ludzie. Mam też dobrą wiadomość. Dostaliśmy komnatę do naszej wyłączonej dyspozycji.

- To krok naprzód. Dobra robota, Hugh.

- A więc gdzie spałeś tej nocy?

Choć pytał o to przyjaciel, sir Alex gwałtownie zmienił temat i powiedział:

- Umieściłem trzech ludzi w wieży, w której śpi lady Ebonny. Dziecko i niania są w komnacie niżej. Strażnicy mają się zmieniać co sześć godzin, przez całą dobę. To samo jeśli idzie o pannę Meg, Hugh. Dobrze?

- Dobrze. W końcu krok naprzód, przyjacielu, czyż nie?

- Niezupełnie. Miałeś rację, gdy mówiłeś, że wdowy są inne.

- Ciągły sprzeciw? I walka?

- sprzeczności. Niezłe wyzwanie... - Wstał. - Chodźmy. Trzeba wszystko posprawdzać. Spodziewam się, że goście przyjadą dzisiaj.

- Jeszcze jedno. Gdzie jest komnata panny Meg?

Alex spojrział z ojcowskim wyrzutem na przyjaciela.

- No, no! Jesteśmy tu od czterech dni, a ty chcesz powiedzieć, że jeszcze się tego nie dowiedziałeś? Na litość boską, chłopie, myliłem się. W tym tempie nie zostaniesz usidłony, a już z pewnością nie na stałe. - Uderzył go w ramię i odszedł wielkimi krokami, zanim Hugh zdołał odplącić pięknym za nadobne.

Od przybycia do zamku Kells ani przez chwilę nie próżnowali. W celu zebrania dowodów zdrady sir Josepha zbada-

li wszystkie konie i kuce, szukając znaków własnościowych na zadach i łopatkach. Odkryli, że angielskie kuce, które zostały porwane w trakcie wypadów i potyczek, mają znaki zamku Kells. Ku swojemu zdumieniu znaleźli także ukryte w zapasach żywności skrzynie wypełnione zbrojami i bronią sprowadzaną z Włoch i Hiszpanii, najlepszą, jaką można dostać za pieniądze. Nie było wprawdzie prawa zakazującego jej nabywania, ale dlaczego sir Joseph gromadził jej tak wiele? Dla kogo była przeznaczona, dla jego rodaków czy dla tego, kto więcej zapłaci? A przede wszystkim, kto pomagał mu ją sprowadzać?

W piwnicach zamku Kells znaleziono jeszcze jeden towar. Coś, czego w całym kraju brakowało od powodzi w . Ziarno. Sir Joseph miał go tyle, że mógł karmić całą Szkocję przez rok i dłużej, podczas gdy ludzie przymierali głodem, bili się o dzienną rację albo płacili za nią sto razy więcej niż była warta w normalnych czasach. Pozostawało więc wiele pytań do zadania i odpowiedzi do wysłuchania. Jedną z kwestii był stopień zaangażowania Davy'ego Moffata i dwóch kobiet, które zapewniały o swojej niewinności z zaskakującą regularnością.

Ebony, podobnie jak Meg, postanowiła ubierać się lepiej niż zazwyczaj, miała jednak ku temu dodatkowe powody. Ich natura była na tyle skomplikowana, że wybór odpowiedniej sukni przyszedł jej z niemałym trudem. Biddie pomyślała, że całe to niezdecydowanie jest żdziebko niepotrzebne. Oto skutek wrzenia ostatnich kilku dni, pomyślała. Westchnęła i jeszcze raz rozłożyła jedwabną suknię w kolorze śliwki z jaśniejszymi akcentami i ułożyła ją na łóżku.

- Teraz - powiedziała cierpliwie - którą tunikę pani włoży, w kolorze wina, mgły czy ciepłego różu?

Myśli Ebony ściagały jedna drugą po sobie tylko znanych szlakach.

- Mgły - powiedziała, patrząc na rozłożone stroje, ale sugerowała się raczej nazwą niż kolorem. Gdyby tylko mgła mogła zgęstnieć i ukryć to, co stało się na tym łóżku, wówczas byłaby w stanie dotrzymać swego postanowienia, że nie pozwoli sobie śnić na jawie. - To nie ma najmniejszego sensu - szepnęła, muskając palcami biały jedwabny welon.

- Powiedziałaś, pani...

- Nie, nie chodziło mi o tunikę.

- W takim razie o co? - spytała zdumiona Biddie.

- O myśli.

Jakoś by się z tym pogodziła, gdyby to wszystko było wyłącznie jego sprawką, nie dało się jednak zaprzeczyć, że brała w tym aktywny udział. Zgotowała mu wyjątkowo serdeczne powitanie i zażądała o wiele więcej, niż odważyłaby się przyznać. Czuła się winna, że wykorzystała go bardziej niż on ją, mimo jego gróźb i szantażu.

- Jakie myśli? - Biddie przeszła przez komnatę do okna, przy którym stała Ebony, wpatrzona w tafle połyskującej wody pokrytej drobnymi falami. - Chyba nie masz, pani, złych snów, teraz, kiedy Sam i ja nie śpimy tutaj? Zawsze możemy wrócić.

-Nie, Biddie. Nie mam złych snów. Po prostu bardzo obrazowe. - Tak łatwo byłoby powiedzieć: „wróćcie, nie mogę dobrze spać bez was”. Lecz obrazowe sny prześladowały ją, kusily, by przypomniała sobie dokładną trasę wędrówki dłoni nocnego kochanka po miejscach, których Robbie nigdy nie odważył się pieścić. Były tak wyraźne, że oddech w jej

plucach zamierał na myśl o władczych objęciach i pełnej zrozumienia ciszy, bo nie potrzebował słuchać, czego ona pragnie. Zniknął, zanim się obudziła. Tego też chciała. On, tak samo jak ona, nie pokaże po sobie niczego, nie obieca też, że zostawi ją w spokoju, tego była pewna. Jednak nie wolno jej dopuścić, by to wydarzyło się znowu. Musiała zastanowić się nad innymi możliwościami, skoro w tym momencie odrzuciła najbardziej oczywistą.

- Uczesz mi włosy, moja droga - powiedziała, biorąc welon, pod którym zamierzała schować szyję i kark. - Chcę, żeby wszystko dziś pozostało zakryte. Obejdę się bez oczu pana Davy'ego błędzących po moim ciele. - Czy Biddie domyśli się, że nie o te oczy jej chodzi? Odczyta jej poczucie winy i panikę. A on? Potraktuje zakryte włosy i szczelnie osłonięte ciało jak próbę odmowy i przyjdzie znów, choćby tylko po to, by udowodnić jej, że po trzech latach jej serce jest gotowe się zagoić. A potem odjedzie, nie oglądając się za siebie, a jej serce znowu zamarznie, tym razem na zawsze.

Unikanie sir Aleksa nie okazało się jednak trudne, bo przed przybyciem gości prace w zamku nabrały przyśpieszenia, co wymagało od Ebony użycia wszystkich umiejętności zarządzania. W pomieszczeniu na bieliznę złożyła dwa nacie czystych tunik dla paziów w wyciągnięte ręce Biddie i Sama, polecając im dostarczyć je do dormitorium za piekarnią.

Potem szambelan powrócił do sprawdzania listy:

- Komnata wartowników z trzema łózkami, milady?
- Będzie dla szeryfa, jego zastępcy i jeszcze dwóch mężczyzn. Dajcie dodatkowy materac na podłogę.
- A co z baronem Cardale'em?

- Umieścimy go na szczycie wschodniej wieży wraz z jego ludźmi.

- Ma kłopoty z kolanami, milady.

- Jakoś mu nie przeszkadzają w chodzeniu na dziwki, panie Morner. - Jednak gdy się skrzywił, ustąpiła. - No dobrze, może spać w komnacie obok skarbcza. We wschodniej wieży umieścimy za to panią Cairns z mężem.

Szambelan roześmiał się na tę drobną złośliwość. Chodziło o to, jaką odległość ta para będzie musiała przemierzać, by dotrzeć do wielkiej sali.

- Dobrze, pani. Został tylko strażnik leśny i jego pomocnik, kapitan Wishart i... - Przerwał, zauważywszy, że lady Ebony go nie słucha, bo jej uwagę zajął ktoś inny.

- Proszę nie oddawać mej komnaty, panie Morner, jeśli łaska - powiedział sir Alex. - Nie chciałbym jej stracić, zanim będę miał szansę z niej skorzystać.

Dochodząc do wniosku, że czas się usunąć, szambelan skłonił się.

- Oczywiście, że tego nie zrobię, sir. Proszę mi wybaczyć, milady.

Obecność sir Aleksa była ostatnią rzeczą, jakiej Ebony sobie życzyła, i nie miała zamiaru dopuścić, by myślał inaczej. Nie mogła też uciec niczym przestraszona mysz, bo dałaby mu tym samym wiele do myślenia.

- O co chodzi, sir? Muszę być w stałej gotowości, by w każdej chwili móc powitać gości.

- Przed obiadem? - Spojrzał na piętrzące się wokół stopy płótna, koce i futra, półki z kołdrami i kotarami, poduszki, liberie i zwoje wełnianych tkanin.

- Tak, bo niektórzy dotrą już przed południem, jeśli zatrzymali się na nocleg w drodze. Proszę mi wybaczyć.

- Zerknęła szybko na niego i skonstatowała, że prosty żołnierski strój zastąpił elegancki ubiór, w którym mógłby się śmiało pokazać na każdym dworze. Na szczęście, w odróżnieniu od wzbudzających drwiące uśmieški ekstrawagancji Davy'ego, tunika i spodnie sir Aleksa były w odcieniu indygo i choć nie rzucały się zbytnio w oczy, zostały skrojone z taką precyzją, że ułożona w fałdy, obszyta wypustkami i lamowana muszelkami wełniana tkanina układała się na imponującej sylwetce niemal bez zmarszczki. Kremowobiała lniana koszula ukazywała się w długim wycięciu na kształt litery V od szyi do pasa, a długie rękawy krótkiej układanej w fałdy tuniki związano w luźne węzły, by nie dotykały podłogi.

Zanim zdołała go wyminąć i dostać się do drzwi, położył dłoń na zapadce i zastawił jej drogę.

- Wszystko w porządku - powiedział. - Nie ma powodu do paniki. Muszę z tobą porozmawiać, pani, to wszystko.

Cofnęła się, nie patrząc mu w oczy, ale wiedziała, że mierzy wzrokiem szczegóły jej wypracowanego stroju, podobnie jak ona mierzyła go wzrokiem przed chwilą.

- Mam nadzieję, że będzie się pan streszczał. - Jego badawcze spojrzenie wytrąciło ją z równowagi. Drżała w obawie, że będzie mówił o tym, co powinno pozostać niewypowiedziane.

- Kim jest ta pani Cairns, o której przed chwilą wspomniałaś?

- To siostra pana Davy'ego. Wraz z mężem mieszka blisko niego, w Dumfries. On jest prawnikiem. - Powolutku wycofała się tyłem do przeciwnej ściany pokoju, tak że łopatkami dotykała półki.

- Nie mówiłaś, pani, że on ma siostrę.

- Nie pytałeś, panie.
- Pozostają blisko z sobą, poza tym, że mieszkają po sąsiedzku?
- Przecież są rodziną.
- A pan Davy Moffat mieszka sam?
- Dlaczego mnie o to indagujesz, panie? - rzuciła niezbyt uprzejmie. - Proszę spytać jego. Lubi mówić.

Uśmiechnął się, zupełnie jakby powiedziała o sobie więcej, niż zamierzała.

- Pewnie tak zrobię, ale proszę pozwolić sobie coś powiedzieć, zanim on skończy mówić to, czego omal nie powiedział wieczorem.

- Nie wiem, o co panu chodzi. Mówił różne rzeczy...
- Myślę, że wiesz, pani, a więc proszę mnie wysłuchać. Jeśli się oświadczy, a jestem pewien, że tak postąpi, nie przyjmiesz go, pani. Czy to jasne?

- Ależ co to za...
 - Chwileczkę, milady... Wiem, że nie planujesz powtórnego zamęścia, sama mi to mówiłaś, pani, ale sytuacja zmienia się z dnia na dzień, a ja chcę, żeby pan Davy Moffat zdał sobie sprawę, że nie będzie lairdem Kells do czasu pełnoletności twojego syna. Chcę zobaczyć, jak zareaguje, kiedy dostanie kosza.

Skierowała całą siłę lodowatego, twardego spojrzenia na sir Aleksa i zobaczyła, że jego oczy lśnią, zupełnie jakby toczyli pojedynek na miecze, nie na słowa.

- Wyraźnie widzę, że od naszej ostatniej rozmowy straciłeś, panie, resztki rozsądku. Kiedy zapragnę przyjąć czyjeś oświadczyzny, zrobię to bez niczyjej rady czy pozwolenia i w chwili, którą sama uznam za stosowną. Jestem wdową, sir, a nie panną, i już nikt nigdy nie będzie sprawował kon-

troli nad moim życiem. Ostatni, który to czynił, właśnie odszedł z tego świata, a ja nie śpieszę się z przyjęciem nowych kajdan.

- Rozumiem - stwierdził z nieskrywanym podziwem. - Niemniej jednak proszę mieć na uwadze to, co przed chwilą powiedziałem. Postaram się zrobić, co w mojej mocy, by pośpieszyć ci z pomocą, jeśli pan Davy będzie się naprzykrzał, ale nie mogę być wszędzie jednocześnie.

- W takim razie to oczywiste, jak mało wiesz, panie, o kobietach, bo w przeciwnym razie znalazłbyś sztuczki, które chowamy w rękawach dla mężczyzn, którzy się nam naprzykrzają. Niedawno poznałaś samą jedną z nich. Pamiętasz, panie? - Jednak kiedy szukała wiele mówiących zadrapań na jego policzku i szyi, uświadomiła sobie, że znikły, a kiedy powoli zbliżył się do niej, poczuła pustkę swych słów. Nie zrobiłaby tego nigdy więcej, bo przypomniała sobie, jak jej usta kołysały jego rany. Wciąż pamiętała smak jego skóry.

Jakby chcąc przetestować jej groźbę, posuwał się naprzód, aż między nimi pozostało niewiele wolnej przestrzeni. Jednak dotykał jej tylko wzrokiem.

- Czy walczysz ze mną, czy z sobą, pani? Jak to jest? Pełna lęków i sprzeczności... odrzuca to, czego pragnie rozum, a chce tego, czym gardzi ciało. Nienawidzisz wszystkiego, co przypomina o tym, jak być powinno. I myślisz, pani, że to nielojalne, prawda?

Niezdolna znów stanąć z nim twarzą w twarz, przerażona tym, co on może zrobić za chwilę, odwróciła się do niego plecami, szlochając z bólu, bo sens jego słów dotarł prosto do jej serca, raniąc swoją trafnością. Nakryła twarz dłońmi, żeby na niego nie patrzeć, chociaż ciało, które rozpałił ostatniej nocy, wciąż drżało z pożądania.

- Proszę mnie zostawić w spokoju, sir Aleksie - powiedziała cicho przez łyzy. - Nie masz prawa tego robić. Proszę przeprowadzić swoje dochodzenie i wyjechać. - Poczowała, jak jego ciepło wnika w jej plecy, a dłoń dotyka ramienia. Poczowała muśnięcie delikatnego płótna, jak zsuwało się z jej szyi i miękkość jego warg w wycięciu dekoltu. Stała jak zaczarowana, poddając się tej czulej napaści. Zamknęła oczy, nie chcąc na niego spojrzeć, i tak trwała, niezdolna się odsunąć.

- Cii, moja piękna - szepnął. - Jesteś jak ptak, który zdziaczał i znów trzeba go oswoić. Myślę, że zaczniesz sobie przypominać, jak to jest, prawda? W tym nie ma nielojalności, uwierz mi...

Ułagodzona i osłabiona jego magią, poczuła znowu wzbierający gniew. Chciała mu powiedzieć, jak bardzo się myli. Robbie nie dał jej niczego takiego, co by wspominała. Choć miły i delikatny, nigdy nie obdarzał tak prostymi, a zarazem przekonującymi pieszczotami, nigdy też nie spowodował, żeby czuła dojmującą pustkę i marzyła o tym, by ją wypełnił. Lecz przecież kochała go, a teraz odpowiada z przerażającą spontanicznością mężczyźnie, który nie ma skrupułów i sumienia, mężczyźnie, który już pokazał, że potrafi być bezwzględny.

Przygotowując się do odparcia jego argumentów, odwróciła się, ale zobaczyła tylko Sama i Biddie, którzy wracali po następane zadanie. Po sir Aleksie nie było śladu.

- Co się stało, pani? - spytała Biddie z niepokojem. - Czy to... - zerknęła na drzwi - ...czy to znów ten człowiek? - Wzięła chłopca z rękę i poprowadziła do półki. - Sam, kochanie, bądź grzecznym dzieckiem i odlicz dla mnie dwa-dzieścia koców, dobrze? A potem połóż je na skrzyni. - Wróciła do Ebony, przyciągnęła ją do siebie niczym matka

i poprowadziła do wysłanego poduszkami siedzenia w wykuszu okiennym. - Proszę mi powiedzieć, o co chodzi? Widziałam, jak na ciebie patrzy, pani. Czy zdenerwował cię, miłady?

- Powiedział, że nie wolno mi przyjąć oświadczyn pana Davy'ego, bo przeszkodziłoby mu to w jego śledztwie - odparła Ebony, oczywiście zatajając całą resztę. - Nigdy nie słyszałam podobnej impertynencji.

Wielkie oczy Biddie otworzyły się jeszcze szerzej.

- No cóż... A chcesz za niego wyjść, pani?

- Nie.

- To dobrze... ale sir... no, ten pan, jak mu tam, musi przestać myśleć o tobie, a zacząć myśleć o kimś innym. A gdybyśmy tak przedstawiły go... no wiesz, pani, komu?

- Masz na myśli Jennie? Biddie, jesteś cudowna. Kto jak kto, ale ona na pewno zawróci mu w głowie. Dopilnuję, żeby usiadł koło niej na wieczerzy.

W duchu Biddie była przekonana, że wymieniona głowa już stanowi trofeum zdobyte przez jej panią, ślady zostawione na owej głowie nie uszły bowiem jej uwagi. Pani Jennie Cairns mogła myśleć o sobie jak o boskim darze dla płci męskiej, ale przy niepokojącej urodzie lady Ebony, która nie pozwalała mężczyznom skupić się na pracy, gasła niczym ćma przy płomieniu. Prawie wszyscy mężczyźni założyli się o wynik pobytu sir Aleksa na zamku. Nie ucieszą się z przegranej, niemniej obowiązkiem Biddie było przede wszystkim zadowolić swoją panią. Miała nadzieję, że intryga się powiedzie.

- Proszę zapamiętać moje słowa - powiedziała Biddie. - Ona nie będzie potrzebowała żadnej zachęty, jak tylko zoba-

czy tych mężczyzn. Wyglądają o wiele lepiej niż ludzie lairda i są dwa razy sprawniejsi. Pomyśli, że jest w niebie.

Odziedziczona po szkockich przodkach zdolność przewidywania Biddie sprawdziła się już po paru minutach od hałaśliwego przybycia pana Richarda Cairnsa i jego ładniutkiej żony Jennie, z domu Moffat, która traktowała każde większe zgromadzenie jako okazję do podbojów miłosnych. Pod tym względem pogrzeb nie różnił się dla niej od ślubu. Ledwie zszedła z jej stępaka, a już jej lekko wybałuszone bladobłękitne oczy, widomy znak wszystkich Moffatów, szacowały niezaprzeczną męskość ludzi sir Aleksa. I czyniły to z biełością godną ladcownicy.

Zanim Meg do niej dotarła, jej ciężkie powieki opadły skromnie na tyle, by wyrazić stosowne współczucie dla kuzynki tak nagle pozbawionej ojca. Ich uścisk był wprawdzie serdeczny, ale nie świadczył o prawdziwej bliskości. Tak naprawdę Meg uważała, że Jennie jest płytka i sztuczna, i jako niezdolna do głębszej refleksji, z życia dostrzega jedynie blichtr i pozory

- Kochana Meg - zaczęła Jennie. - Biedny wuj Joseph! Powiedz mi, jak to się stało.

- Później, bo w pierw musisz przywitać się z.

- Och, droga Ebony! Wciąż niezamężna? Jak możesz to znieść?

- Bardzo dobrze, dziękuję. - Ebony rytualnie cmoknęła powietrze w okolicy jej lewego i prawego policzka. - Ty też dobrze wyglądasz.

Jennie uśmiechnęła się kokieteryjnie, a jej spojrzenie odewłało się od męża, który, mając czterdzieści pięć lat, był niemal dwukrotnie starszy od niej.

- Powinnaś znaleźć sobie kogoś takiego jak mój Richard - szepnęła. - Jest taki kochany! Pozwala mi robić, co mi się podoba, i nigdy niczego mi nie odmawia.

Meg dała Ebony sygnał, by powstrzymała się z oczywistą odpowiedzią.

- To świetnie - stwierdziła Ebony. - Sam, przywitaj się.

- Och! - zapiszczała Jennie. - Moje maleństwo! Jak on wyrósł. Za każdym razem, kiedy go widzę, robi się coraz bardziej podobny do swego biednego tatusia. Ma włosy Mof-fatów. - Poglądziła go, a potem się roześmiała, kiedy uchylił się przed pieśczołą, następnie spojrzała na brata. - Davy! Dlaczego na nas nie zaczekałeś? - Rzuciła się ku niemu otoczona obłokiem koloru morskiej zieleni i błękitu, lśniąca szafirami ozdabiającymi złotą siatkę, która podtrzymywała złociste włosy.

Zgubiwszy z oczu uciekającego Sama, Ebony rozglądała się po zatłoczonym dziedzińcu, mrużąc oczy przed ostrym słońcem w poszukiwaniu małej kropki czerwieni na tle błękitów, szarości i brązów. Ku swemu niebotycznemu zdumieniu zobaczyła ją po przeciwnej stronie dziedzińca za jucznymi końmi. Sam siedział bardzo z siebie zadowolony na ramionach swego bohatera, sir Aleksa, i obejmował go za szyję. Z dumą i radością na promiennej twarzy obserwował rozgardiasz z wysokości sześciu stóp. Obaj dowódcy stali ramię w ramię, bacznie obserwując hałaśliwe powitanie rodzeństwa. Ebony dostrzegła uniesienie brwi, półuśmiech i cichy komentarz świadczący o tym, że coś w tej scenie wydało im się zabawne.

Ona była mniej zadowolona. Nie wiedziała, co zrobić z rosnącym przywiązaniem Sama do mężczyzny, do którego miała tak wielki żal. Strach musnął ją i zniknął niczym nietoperz

nocą. Już zaczęła odwracać głowę, kiedy sir Alex ją zobaczył i przytrzymał wzrokiem, spokojny i nieruchomy. Powiedział coś do Sama, który przesłał jej ręką pocałunek, a ona była zmuszona zrewanżować się tym samym. Nie dało się unikać wrażenia, że obdarzyła nim obu jednocześnie. Zanim odwróciła się i zaczęła rozmawiać z Meg, dostrzegła ledwie dostrzegalny uśmiech triumfu na wargach sir Aleksa.

Sir Joseph na pewno bardzo by żałował, że nie było mu dane uczestniczyć we wspaniałym obiedzie, nad przygotowaniem którego Meg, Ebony i pracowita służba mozoliły się kilka dni. Wciąż napływali nowi goście, a sam posiłek pozostał w pamięci z powodu niestosownej wesołości, z powodu irytacji Ebony na flirt Jennie Cairns z mężczyzną, którego posadzono przy niej, i z powodu całkowitego zmonopolizowania przez Davy'ego swego szwagra, co przeczyło dobrym biesiadnym manierom. Wyglądało na to, że ich rozmowa nie mogła czekać na bardziej sprzyjający moment.

Kiedy zbliżyła się Meg, Ebony pomyślała, sądząc po niepokoju w jej wzroku, że zapewne tę właśnie kwestię poruszy, myliła się jednak.

- Ebbie, chodź. Musisz porozmawiać z Davym. - Pociągnęła ją do końca podium.

- To może być trudne. On i Richard prawie nie przestają mówić. Robią przerwy tylko po to, by coś zjeść. - Spozstrzegła, że Meg nie jest do śmiechu, a jej oczy przeszywają z wściekłością kuzynkę Jennie.

- On nie ma najmniejszego zamiaru działać przeciwko oskarżeniom stawianym memu ojcu. Jąka się, zupełnie jakby wierzył, że to prawda. Nalega, że musi się dostać do skrytki mego ojca i do sygnetu, zamiast usiąść z sir Alekssem i poroz-

mawiać bez ogródek. Naprawdę nie mogę się połapać, czy chce zyskać na czasie, czy nie wie, jak to rozwiązać. Znasz jego uczucia do ciebie, Eb.

- Myślisz, że to coś pomoże? Co mam mu powiedzieć, twoim zdaniem? Że dam mu sygnet? Nie rozumiem, co to miałyby zmienić.

- Spraw, żeby był chętniejszy do pomocy, to wszystko. Nie chce mi powiedzieć, dlaczego potrzebuje kasetki mego ojca. Przekonaj go, że my też musimy wiedzieć, jaka jest jej zawartość. Być może nie wpłyniemy na to, czy pozwolą nam tu zostać, ale jeśli król uwierzy we wszystko, co ci dwaj mu powiedzą, z pewnością wpłynie to na dziedzictwo Sama. - Nie musiała rozwodzić się nad własnym bólem, gdy jej ojciec zostanie napiętnowany jako zdrajca ojczyzny. Zamiast tego oczami pokazała Ebony dwóch kapitanów, którzy całą uwagę skupiali na zalotnej Jennie. - Mój Boże! Spójrz tylko na nią, Eb. Czy kiedykolwiek widziałas kogoś tak bezwstydnego? Jakby przybyła na wesele, nie na pogrzeb. Latawica!

Rozzłoszczona Ebony odwróciła wzrok.

- Porozmawiam z nim. Nie martw się. Imię sir Josepha musi zostać oczyszczone. Zostaw to mnie.

Było jeszcze tak wiele do zrobienia, że nie zdążyła odszukać Davy'ego przed wieczerzą, ale podczas składania i uprzątniania stołów sam podszedł do niej z prośbą o chwilę rozmowy.

- Naturalnie. Potrafisz, panie, czytać w myślach?

- Ależ skąd. - Wskazał drzwi nieopodal głównego stołu.

- Może tam przejdziemy, pani?

Gdy znaleźli się sami, Davy powiedział:

- Moja droga lady Ebony, może spocznie pani na chwilę? Tutaj, przy oknie? - Usiadł przy niej i oparł ramię o parapet,

palcami muskając jej ramię. - Wyglądasz, pani, na przemęczoną. To musi być dla ciebie ciężki czas. Nie sypiasz dobrze?

Pomyślała, że to dziwna uwaga, ale nie skomentowała tego.

- Dla Meg było to trudniejsze niż dla mnie. Ona bardzo martwi się o sprawy ojca. Ci ludzie chyba są przekonani o jego winie. Natrafił pan na jakieś dowody, które mogłyby go oczyścić? Rachunki ze sprzedaży? Coś w tym rodzaju?

Westchnął, spuścił oczy.

- Źle się stało, że przybyli tu pierwsi. Przy nich bardzo mi trudno udowodnić cokolwiek, lady Ebony. Usunęli część najważniejszych dokumentów, a klucz do kasetki zginął. Nie mogę się nawet do niej dostać, bo jest w pokoju, w którym zakwaterowano ludzi sir Aleksa, a przecież nie będę tam szperać, bo gdyby się zorientowali, czego szukam, zabraliby i to także. I jeszcze jego sygnet, który podobno jest w pani posiadaniu. Jeśli mam sfinalizować pewne sprawy, muszę podpisać rachunki i postawić na nich pieczęć sir Josepha.

Ebony zmarszczyła brwi.

- Nie rozumiem, jak ktokolwiek mógłby teraz, po jego śmierci, używać jego pieczęci. Jeśli sprzedaż koni nie została sfinalizowana, trzeba będzie poczekać. Chyba nie myślał pan o podrobieniu jego podpisu, prawda?

Pochylił się do przodu z uśmiechem, który w jego mniemaniu miał rozproszyć jej obawy.

- Oczywiście, że nie. Chcę tylko wszystkiego dopilnować. Jeśli w tych dokumentach jest coś, co go obciąża, mogę to usunąć albo wprowadzić zmiany w rachunkach, na przykład odbiorcami koni uczynić Szkotów, nie Anglików. - Jego uspokajający głos był irytujący, zupełnie jakby mówił do dziecka.

- Jeśli jest coś, co go obciąża, panie Davy? Co, na litość

boską, pan mówi? Czyżby pan wierzył, że sir Joseph sprzedawał konie moim rodakom?

Gwałtownie wypuścił powietrze z płuc, jakby tłumił całym w tej sytuacji niestosowny śmiech.

- Lady Ebony - powiedział, patrząc na jej uda zamiast w twarz - czy pomyślałaś, pani, jak to musi wyglądać w oczach tych ludzi? Angielka mieszkająca w szkockim domostwie, synowa wpływowego lairda, którego transakcje z angielskimi sąsiadami są przedmiotem dochodzenia. Z pewnością pomyśleli, że pani angielskie koneksje zostały wykorzystane przez mego stryja w jego... cóż, szczerze mówiąc. .. nieroztropnych kontaktach z ludźmi po tamtej stronie granicy. Sir Joseph nigdy nie przepuszczał okazji, kiedy dostrzegał korzyści dla swojej rodziny, prawda? Jak myślisz, pani, dlaczego tak mu zależało na małżeństwie jego jedyne go syna z Angielką, choć rajono tak wiele bogatych Szkotek z wpływowych rodów? Zresztą ty też na tym skorzystałaś, podczas gdy inni zostali z niczym.

- Jeśli nazywasz, panie, zamordowanie mego męża korzyścią - szepnęła chłodno - w takim razie rzeczywiście miałam szczęście. No i troszczono się o mnie do tego stopnia, że nie mam pojęcia, gdzie się podziewa moja matka, a sir Joseph nigdy nie przeprowadził żadnych poszukiwań w moim imieniu. Możesz, panie, nazywać to korzyściami, jeśli chcesz, ale jeśli myślisz, że teść wykorzystał moje angielskie koneksje, to się mylisz, sir. Nie zrobił tego.

- Jesteś tego pewna, pani?

- Jesteś, panie, pewien swoich oskarżeń?

- Tak, jestem. Pomagałem mu w interesach, a gdybym tylko miał dostęp do jego dokumentów i pieczęci, pokazałbym ci, pani, czym się zajmował.

- A więc też jesteś w to wmieszany, jak rozumiem?

- Ja tylko wykonywałem polecenia, bo cieszyłem się jego całkowitym zaufaniem i nie zadawałem żadnych pytań. Teraz zaś pragnę tylko jednego, a mianowicie dostarczyć Meg dowodów jego niewinności, lecz uda mi się to tylko wtedy, gdy mi pomożesz, pani. Chciałbym też dodać, że pomoc w tej sprawie leży w twoim interesie, bo jesteś, pani, Angielką.

Czy w tym, co mówił, mogło coś być? Czy sir Joseph rzeczywiście obnosił się ze swoimi koneksjami ze starym angielskim rodem Nevillestowe, by zdobyć zaufanie angielskich partnerów w interesach, a tym samym wpłatał synową w nielegalne działania? A może Robbie także był w to zamieszany, chociaż nigdy się do tego nie przyznał? Czy ich małżeństwo było jeszcze jedną cięciwą w jego łuku? Rzeczywiście, bardzo się o nią troszczono, skoro tkwi w tym bałaganie. A teraz będzie się musiała z niego sama wyplątać, co więcej - być może drogo za to zapłacić...

Poczuła się tak, jakby ściany zaczęły na nią napierać. Brakło jej tchu.

- Co chcesz, panie, żebyśmy zrobiła? Dała ci jego sygnet? Dotarła do jego skrytki? Myślę, że potrafię to zrobić.

- Dziękuję, ale jest coś więcej. Wczoraj wieczorem zasugerowałaś, pani, że powinienem pokierować tymi sprawami, a ja panią zapewniłem, że to uczynię. Mój szwagier również obiecał służyć swoją wiedzą. - Dotknął jej ramienia i uniósł róg białego delikatnego welonu, by zerknąć na szyję kryjącą się pod nim.

- Musisz, pani, wiedzieć, że czekałem z utęsknieniem, kiedy to usłyszę. Największym życzeniem sir Josepha było, bym to ja został tym, który zatroszczy się o ciebie i małego Sama. Myślę, że nigdy bardziej niż w tej chwili nie potrzebowałaś, pani, wpły-

wowego męża. Małżeństwo ze mną da tak ci potrzebne poczucie bezpieczeństwa, szczególnie gdy sprawy sir Josepha trafią do sądu. Naturalnie dopilnuję, by kuzynka Meg również była bezpieczna, dopóki nie znajdziemy dla niej męża. To się rozumie samo przez się. Mały Sam potrzebuje twardej ręki, opiekuna i bezpiecznego domu, zamiast tego zapomnianego przez Boga i ludzi miejsca. A ty, moja droga, potrzebujesz... mężczyzny. .. w łóżu. - Zaczął przesuwając ciepłymi palcami wzdłuż jej szyi, przyciągając jej twarz do wilgotnych ust i zamykając oczy w oczekiwaniu.

Gorączkowo wyliczając w myślach wszystkie powody, dla których może i dla których nie może przyjąć tej propozycji, próbowała trzymać go na dystans, jednak jej ręce trafiły na żelazny opór. Kamienny parapet wbijał się jej w plecy, uświadamiając, jak źle wybrała czas i miejsce na rozmowę o sir Josephie i jej bezpieczeństwie. Nie zdradziła jednak na szczęście, że jej sytuacja jest bardziej skomplikowana, niż Davy przypuszczał. Gdy sfinalizuje umowę z sir Alekssem, całkiem możliwe, że będzie musiała zajmować się kimś jeszcze poza sobą i Samem. Wówczas mogłaby być wdzięczna za jego ofertę ochrony, chociaż oszustwo i ból z tego powodu mogłyby okazać się zbyt dotkliwe. Dziecko z nieprawego łóża urodzone przez wdowę raczej nie pomogłoby jej w zapewnieniach, że pozostała wierna pamięci zmarłego męża, ale czy miałyby czelność utrzymywać, że to dziecko Davy'ego Moffata, gdyby zdecydowała się przyjąć jego oświadczenia? Obiecała pomóc Meg, ale pozostawało jeszcze ostrzeżenie sir Aleksa, które dodatkowo komplikowało sprawy. Argumenty przechylały się to na jedną, to na drugą stronę, a w dodatku zbudziła się w niej szczerza awersja do powtórnego małżeństwa.

Czuła na twarzy gorący oddech Davy'ego, jego dłoń już błędziła w okolicy jej kolana. Obróciła się i szarpnęła do tyłu, gotowa zażądać więcej czasu, kluczyć. Wszystko, tylko nie to.

- Proszę zaczekać! - zawołała. - Nie, sir! Nie to miałam na myśli. Jesteś, panie, w błędzie. Nie potrzebuję mężczyzny w moim łóżu. - Wyprostowała się jak struna, odsuwając się jak najdalej od jego natarczywej dłoni. Poprawiając spódnice, uświadomiła sobie, że jego napaść poniżyła ją bardziej niż układ z sir Aleksem. Davy okazywał mniej opanowania i miał mniej powodów, by zakładać, że ona chętnie przystanie na jego awanse.

- Co? - spytał, jakby budził się ze snu. - Nie to miałaś, panie, na myśli? Och, dajmy spokój tym fanaberiom. Oczywiście, że to właśnie...

- Proszę mi pozwolić mieć własne zdanie, sir! - krzyknęła gniewnie. - Jeśli mnie źle zrozumiałeś, panie, to twoja sprawa. Ja nie powiedziałam ani słowa o małżeństwie. Gdybyś uważnie słuchał, wiedziałbyś o tym, panie.

Wyglądał jak ktoś, kto otrzymał solidny cios w głowę i z trudem powraca do rzeczywistości.

- Nie? - spytał płaczliwie. - W takim razie co powiedziałaś, pani?

- Że powinien przejąć ster, a miałam na myśli rozwiązanie problemów Meg dotyczących jej ojca. Przecież jest twoją kuzynką. I proszę mi nie mówić, że w obecnej sytuacji skorzystam na małżeństwie z tobą, panie Davy, bo jest wręcz przeciwnie. Natomiast jeśli udowodnisz niewinność sir Josepha, znacznie polepszysz swoją pozycję, panie, by prosić o nagrodę, nieprawdaż? A poza tym żaden mężczyzna nie sięga po nagrodę przed wykonaniem zadania, sir. To fakt, który, zdaje się, umknął twojej uwadze.

Wciąż łakomie taksował ją wzrokiem.

- W grę wchodzi ktoś inny?

- Nie. Bez względu na to, co myślisz, sir, Sam i ja doskonale poradzimy sobie we dwoje. To Meg potrzebuje pomocy, a ja nie mam głowy do rozmów o małżeństwie, kiedy ona siedzi po szyję w oskarżeniach o zdradę. Jestem zaskoczona, że możesz myśleć inaczej. Wstyd, panie Davy.

- Chcesz, pani, powiedzieć, że zastanowisz się nad moją propozycją, jak tylko ta sprawa zostanie wyjaśniona?

- Jeśli rezultat będzie taki, jaki być powinien, rozważę ją. Nie mogłabym postąpić inaczej, sir. Proszę jednak nie traktować moich słów jako akceptacji.

- W takim razie jest ktoś inny, czyż tak?

Tym razem zawahała się, bo jej myśl trzymała się kurczowo cudownego marzenia, które pocieszało ją w samotne noce i odpływało o świcie. Miała ochotę skłamać i powiedzieć, że chodzi o Robbiego, ale był lepszy powód, na dodatek prawdziwy.

- Tak, chodzi o moją matkę. Teraz, kiedy sir Joseph nie może mi już przeszkodzić w podróży do Carlisle, zamierzam się dowiedzieć, co ją spotkało. Dopóki nie uporządkuję również tej sprawy, ponowne zamążpójście będzie musiało czekać. Byłyśmy sobie bardzo bliskie. Muszę ją odnaleźć.

- W tym też mogę ci, pani, pomóc, jeśli mi pozwolisz. - Davy wstał. - Mogę popytać. Prowadzę interesy również po tamtej stronie granicy.

Ebony była gotowa spytać, dlaczego nigdy dotąd jej tego nie zaproponował, ale założyła, że znajdował się pod wpływem sir Josepha, jak zresztą wszyscy.

- Dziękuję ci, panie. Będę potrzebowała wszelkiej pomocy. A teraz muszę wracać do gości.

- A pieczęć? Kasetka? Mogłabyś, pani...

Znajdujące się przed nimi drzwi otwały się gwałtownie. Z sali dobiegły krzyki i piski podniecenia, a ich oczom ukazał się Sam, ledwie widoczny między dwoma olbrzymimi wilczarzami, których różowe języki zwisały z pysków, a ogony wachlowały z radości. Trzymając się ich obroży, był wleczony tak szybko, jak tylko nogi mogły go unieść. Za nim pędziła zasapana Biddie, a nieco dalej Janet.

Ebony miała już sięgnąć do sakiewki, ale na widok synka ciągniętego przez dwa straszne wilczarze wszystko inne straciło jakiegokolwiek znaczenie. Było dla niej jasne, że krzyki niani i pokojówki były przez psy traktowane jako zachęta, bo komendy wydawali im zawsze mężczyźni o tubalnych głosach. Kiedy cała trójka znalazła się obok, złapała za szeroką skórzaną obrożę, ale była zbyt szeroka, a psy zbyt silne, by mogła je zatrzymać. Polecenie Davy'ego, by Sam puścił psy, pozostało bez echa, bo chłopiec był rozbawiony. Dopiero głośny okrzyk majordomusa sprawił, że wszyscy zamarli w bezruchu, a psy przysiadły płasko na podłodze tak nagle, że Sam padł przy nich z głuchym tąpnięciem. Nie był w stanie mówić ze śmiechu, natomiast Ebony wciąż drżała ze strachu.

W tym momencie pojawił się sir Alex, stanął tuż obok Ebony i powiedział:

- Potrzebuje twardej ręki, prawda? Z pewnością pod obecną opieką nie dzieje mu się krzywda. - Wysoko podniósł Sama, po czym przekazał go w objęcia Biddie. - Zmykaj, chłopcze! Panie Moffat, będzie pan tak dobry, by odprowadzić tych miłych ludzi do sali i dać im po kubku pańskiego najlepszego reńskiego, jeśli gdzieś znajdzie pan beczkę? Ach, Josh! - zawołał, kiedy pojawił się jego podwładny z dobrze ułożonymi chartami. - Zabierz stąd te bestie, dobrze?

Niechęć Davy'ego do zostawienia lady Ebony sam na sam z sir Aleksem była zrozumiała, bo nie udało mu się doprowadzić rozmowy do satysfakcjonującego końca, z drugiej strony nie chciał się spierać, choć jego niechętnie spojrzenie nie uszło niczyjej uwagi. Jednak sir Alex po swojemu rozwiązał jego dylemat.

- Lady Ebony zostanie na chwilę ze mną - oznajmił stanowczo, nie dopuszczając do jakiegokolwiek dyskusji.

- Słyszałeś, panie - zrugła go Ebony, jak tylko drzwi się zamknęły. - Byłeś tu przez cały czas i słyszałeś wszystko, prawda? Czy także tę małą scenkę zaaranżowałeś?

- Doskonale wycucie czasu, prawda? Chciałbym przypisać sobie tę zasługę, ale był to czysty zbieg okoliczności. Jednak nie pozwoliłbym ci, pani, oddać mu sygnetu. To byłoby bardzo niemądre.

- Sygnet jest mój i mogę z nim robić, co mi się podoba, przynajmniej na razie. A ty, sir, najwyraźniej uważasz, że podsłuchiwanie prywatnej rozmowy nie jest naganne.

W kąciakach jego ust pojawiły się dołeczki.

- Bardzo wzruszająca, serdeczna i interesująca rozmowa. Wyjątkowo zabawna. Dobrze sobie poradziłaś, pani, z trzymaniem go na dystans. - Oparł ramię o ścianę. - Zanim jednak stąd odejdziesz, kipiąc oburzeniem, proszę zadać sobie pytanie, dlaczego Davy'emu tak bardzo zależy na sygnecie. Przecież nie może go używać.

- Powiedział, że mógłby pomóc Meg, a to wszystko, na czym mi zależy. - Wbrew woli jej oczy napawały się jego widokiem, niewymuszonym wdziękiem, brązowymi włosami tak gęstymi jak niedźwiedzie futro, mocnym karkiem, kwadratową szczęką i twardymi konturami warg okolonych drobnymi zmarszczkami. Błękitne oczy odbijały resztki wie-

czornego światła jak dalekie lampy. Ten mężczyzna, bardziej niż jakikolwiek, pasował do niej, choć świadomość tego nie była pocieszająca. Zrobiła taki ruch, jakby chciała go zostawić, ale chwycił jej nadgarstek.

- Spokojnie, spokojnie! Oto kobieta, która działa, zanim pomyśli. Impulsywna, porywcza. Co jeszcze zamierzasz, pani, oddać, zanim Davy da ci spokój? Oddałabyś siebie temu idiotcie, gdybym cię przed nim nie ostrzegł. Nawet w tej sytuacji dałaś mu, pani, nadzieję. Targujesz się, by zatrzymać dziecko, pomóc rodzinie. - Potrząsnął jej ręką. - Znajdą się tacy, którzy zechcą to wykorzystać.

- Ty mi to mówisz, sir? - spytała drwiąco.

- Tak, bo jestem jedynym, któremu się to uda.

- Proszę nie mówić nic więcej - szepnęła, gwałtownie odwracając głowę.

Niewypowiedziane słowa tkwały się same w ciszy, zanim stwierdził:

- Jeszcze jedno. Cokolwiek by Moffat powiedział, że zrobi dla ciebie, pani, czy dla swojej kuzynki, nie wolno ci dawać mu niczego, ani pieczęci, ani kasety, jeśli wiesz, gdzie jej szukać. Musisz, pani, grać na zwłokę i nie martwić się. Cały czas go obserwujemy. Nie był niewinnym wykonawcą woli sir Josepha, co próbuje ci wmówić.

- Chcesz, panie, powiedzieć, że jest poważnie zamieszany w tę sprawę?

- To więcej niż prawdopodobne, ale najlepiej będzie, jeśli zachowasz to dla siebie, pani.

- Łatwo ci mówić, sir, a przecież Davy obiecał, że pomoże mi odnaleźć matkę. Nie będzie się w to angażował, jeśli nie zaoferuję mu czegoś w zamian.

- Naturalnie, proszę mu coś zaproponować, byle nie to, co

już obiecałaś mnie. To będzie należało do mnie, dopóki z tego nie zrezygnuję, moja pani.

Szarpnięciem uwolniła rękę.

- W takim razie radzę, żeby pan zamiast tego wziął to, co ma do zaoferowania pani Cairns. Wszyscy wiemy, że jej zainteresowanie sięga głębiej niż wierzch męskich spodni.

- Spokojnie, moja piękna... Będziesz trzymała Davy'ego Moffata na dystans, podobnie ja zrobię z jego siostrą. Jak to pani odpowiada?

- Proszę ją trzymać, gdzie pan chce! - sarknęła, odchodząc, a dźwięk jego śmiechu ścigał ją jak cień.

Rozdział szósty

Gdyby nie jedna zasadnicza sprawa, Meg i Ebony mogłyby potraktować dzień pogrzebu jako wydarzenie, które należy znieść z godnością, jak przystało na córkę i synową lairda, nawet jeśli związany z tym wysiłek doprowadził je do granic wytrzymałości. Nie chodziło tylko o dziwne wrażenie, które odczuły na widok ciała spuszczanego do ponurej rodzinnej krypty w wiejskim kościele. Równie nieprzyjemne było to, że pełne szacunku współczucie, okazywane przez gości podczas wędrowki na miejsce wiecznego spoczynku sir Josepha, tak szybko znikło po powrocie do zamku. Ebony i Meg zaczęły się zastanawiać, co musiałyby się stać, by poruszyć serca żałobników na dłużej niż godzinę czy dwie. Zdawały sobie wprawdzie sprawę, że gdyby był z nimi sir Joseph, na pewno przejawiałyby taką samą ochotę do ucztowania, ale cóż to za pociecha. To prawda, śmierć była częstym gościem, a nieboszczyk, zgodnie z obyczajem, powinien mieć wesołe pożegnanie, którym mógłby się chwalić przodkom, jednak przyjaciele zmarłego lairda nadali słowu „wesołość” zupełnie inne znaczenie.

Uroczystości rozpoczęły się cichą mszą w kaplicy zamko-

wej, południowy posiłek przebiegł bez zakłóceń, a napływ kolejnych gości potwierdzał przewidywania Meg, że każda gęba w Galloway pragnie skorzystać z szansy najedzenia się przy stole starego lairda.

Panie domu przyjęły gości serdecznie i aż do uroczystości pogrzebowych wszystko przebiegało jak należy, jednakże podczas stypy niektórzy z przyjaciół sir Josepha zaczęli się zachowywać w taki sposób, jakby to oni byli gospodarzami, nie Meg i Ebony. Polecali służbie przynosić kolejne dania, a kamerdynerowi odbijać kolejne beczki wina. Wytargali służącego za uszy za to, że nie był wystarczająco szybki, a pazia, bo stał niezdecydowany. Ponieważ sytuacja wyraźnie się zaostrzała, Ebony posłała Biddie i Sama do łóżka.

Hałas i burdy nasilały się. Usiłowania Davy'ego Moffata, by opanować sytuację, były ignorowane czy wręcz wyszydzane. Opowieści o łupieżczych wyprawach sir Josepha przypomniały zadawnione konflikty. Niektórzy mężczyźni, używając plugawego języka, znieważali się wzajemnie i prowokowali do rękoczynów, inni traktowali to jak dobrą zabawę. Ebony wiedziała, że dla sir Aleksa i pana Leylanda była to wymarzona sytuacja, zyskiwali bowiem mnóstwo cennych informacji. Udawali, że świetnie się bawią, a tak naprawdę każde słowo notowali w pamięci. A przede wszystkim zobaaczyła, jak dobrze udają, że nie mają o niczym pojęcia. Dla wysłanników króla musiało być to najłatwiejsze dochodzenie, jakie kiedykolwiek prowadzili, przy tym z pewnością najbardziej hałaśliwe.

Było dobrze po północy, kiedy Ebony i Meg odeszły od głównego stołu, by się naradzić, przekonane, że ich goście jeszcze przez jakiś czas nie ruszą się z miejsca.

- Zostawmy ich - powiedziała zdenerwowana i pobladła

ze zmęczenia Meg. - Zanim się to skończy, na pewno będzie jeszcze gorzej, a ja nie poproszę sir Aleksa o interwencję, choćby nie wiem co.

- Meg, za chwilę rozpocznie się bójka - ostrzegła Ebony. - Spójrz tylko na te wściekle gęby. Jeśli ich nie powstrzymamy, będą pić przez całą noc i wszystko zdemolują. Brat Walter wymknął się spać, więc nie mamy co liczyć na jego pomoc. Mówiliśmy, że wprowadzimy pewne zmiany. Jestem zdania, że trzeba zacząć teraz. Mam tego dość.

- A ja mam dość tej przeklętej kobiety. Ona jeszcze bardziej ich podjudza.

-Kto... Jennie?

Nie musiała pytać, bo od samego początku obserwowała bacznie, jak pani Cairns bezczelnie próbuje przyciągnąć uwagę mężczyzn, szczególnie sir Aleksa i pana Leylanda. Jej koszula i bogato zdobiona suknia zostały tak dobrane, by prowokacyjnie odsłonić sporą część nagich ramion, a przy każdym pochyleniu głęboką szczelinę między piersiami. Nie trzeba dodawać, że większość wieczoru spędziła w takiej właśnie pozycji. Ebony, podobnie jak Meg, miała dość nieustannego mizdrzenia się tej kobiety. Ich zrozumiała irytacja dodatkowo zwiększyła się z powodów, których żadna z nich nie potrafiła nazwać.

- Meg, nie chciałabym nadepnąć jej na odcisk, przynajmniej na razie. Zaczekajmy, aż uzyskamy wsparcie od Davy'ego i pana Richarda. Wiemy, jak ta mała lisica potrafi być mściwa.

Wcześniej opowiedziała Meg o wczorajszej rozmowie z Davym. Jak to przyrzekł im pomóc i jak ona w zamian obiecała, że rozważy jego propozycję. Ta obietnica była jednak jak przysłowiowa marchewka, którą macha się przed

osłem, by poszedł dalej. Nieco zmieniona wersja zakończenia nie została zbyt dobrze przyjęta przez Meg, której zależało na szybkim rozwiązaniu kwestii występków ojca, toteż nie widziała powodu do stwarzania dodatkowych komplikacji. To, że sir Alex podsłuchiwał rozmowę, Meg uznała za niezbyt istotne, natomiast to, że jej kruche plany znów zostały udaremnione przez wścibskich oficerów, było nie do przyjęcia. Ze złości zbierało się jej na płacz, natomiast rozgoryczenie Ebony nasiliło się do tego stopnia, że ostatniej nocy, po zajrzeniu do śpiącego Sama, zabarykadowała drzwi skrzynią i dwoma stołkami. Mimo straży postawionej u podnóża schodów, był ktoś, kogo by przepuścili. Nie spała spokojnie, bo niemądra wzmianka jej autorstwa o pani Cairns dzwoniła jej w uszach przy akompaniamencie zachwyconego śmiechu sir Aleksa.

Jednakże niepokój związany z prowokacją kuzynki Jen nie zszedł na drugi plan, kiedy w odległym kącie sali zobaczyły biały zawój Janet, który wynurzył się nad łusą głowę barona Cardale'a i zaraz zniknął, a rozpaczliwy krzyk pokojówki przebił się wysokimi tonami przez wrzawę. W wąskiej przestrzeni między podium a wyjściem dwa szamoczące się ciała pozostały niezauważone przez pijanych gości. Janet nigdy nie mogła liczyć na szacunek ze strony sir Josepha, który, choć krewny, wyznaczył jej podrzędną rolę pokojówki. Mimo to, dzięki wspólnej babce z lairdem, pozycja Janet na zamku była większa niż zwykłej służącej, w istocie bowiem, choć biedna jak mysz kościelna, należała do grona dam. Teraz jednak przyjaciele sir Josepha uznali, że skoro jego już nie ma, mogą robić z nią, co im się podoba. Dlatego właśnie jej cnota znalazła się w niebezpieczeństwie ze strony lubieżnego barona.

Niczym mściwe furie, Ebony i Meg pognały do niedobranej pary w samą porę, by oderwać dłoń barona od tuniki wrzeszczącej damy. Odciągnęły go do tyłu z taką gwałtownością, że padł na sitowie w spodniach rozpiętych do połowy i z brzuchem na wierzchu, który wyglądał jak świński pęcherz. Janet, która nigdy dotąd nie widziała tak wiele nagiego męskiego ciała, wydała zduszony okrzyk i osunęła się po obwieszanej arrasem ścianie na podłogę. Był to sygnał dla podпитыh gości, że dzieje się coś, co koniecznie powinni zobaczyć. Zaczęli krzyczeć, zachęcając barona do dalszej akcji.

Meg, która najmocniej odczuła emocje tego dnia, miała już dość i zaatakowała ich jak tygrysica.

- Wynocha stąd, wszyscy! - wrzeszczała. - No, jazda, wynoście się z mojej sali i marsz do komnat. To tak odpłacacie za gościnność, obrażając naszych domowników i zapominając o należytym uprzejmości wobec mnie i mojej siostry?! Jeśli tak ma wyglądać pomoc rodzinie Moffatów, doskonale obejdziemy się bez was. - Wzięła zydela na trzech nogach i rzuciła nim w tłum gapiących się mężczyzn. - Może i byliście przyjaciółmi mego ojca - wrzeszczała nadal - ale nie jesteście naszymi przyjaciółmi. Uważacie siebie za kulturalnych? Wynoście się... już!

W tym momencie pojawił Hugh Leyland i objął ją ramieniem, sir Alex zaś zdecydowanym tonem wyprosił gości z sali. W jego głosie było coś szczególnego, trzeźwiejsi natychmiast bowiem go posłuchali, depcząc w pośpiechu rozrzucone resztki jedzenia i kałuże piwa oraz wina. Tylko pijani w sztok nie ruszali się z miejsca, bełkocąc coś lub sapiąc i chrapiąc przez sen.

Ebony poprawiła ubranie Janet, zanim ta doszła do siebie,

po czym pozwoliła dwóm ludziom sir Aleksa przenieść ją na ławę. Podnosząc puchar z winem do warg Janet, zauważyła oznaki zaskoczenia, zazdrości i potępienia na twarzach mężczyzn na widok córki zmarłego lairda w objęciach Leylanda i sprawności ludzi króla, bez wyjątku całkowicie trzeźwych, którzy krzatali się jak pszczoły robotnice, precyzyjnie wypełniając polecenia Meg.

Ebony z furią odwróciła się do sir Aleksa.

- Kilka chwil wcześniej, sir, a można byłoby tego uniknąć! Myślałam, że możemy na was polegać, a jednak nie zapobiegliście tym oburzającym zdarzeniom. Byliście zbyt zajęci gromadzeniem dowodów, naturalnie. Musicie być bardzo zadowoleni, że sprawy tak się potoczyły. Macie za nic potrzeby tych, których gościnności tak skandalicznie nadużyliście.

Patrzył na nią spokojnie, bez cienia współczucia czy skruchy.

- Sytuacja była cały czas pod kontrolą - odparł szorstko - i wcale nie nadużyliśmy waszej gościnności. Jutro przekonasz się, pani, jak skutecznie zakończyliśmy sprawy, o wiele skuteczniej niż ty czy panna Moffat zdołałybyście to zrobić na własną rękę. Zignorowałyby was. Poza tym tak naprawdę nic się nie stało.

- W takim razie niech pan to powie Janet i pannie Meg! No i spójrzcie, panie, tylko na to miejsce! Więc co, nic się nie stało?

- Poproszę kobiety, żeby odprowadziły pannę Janet do komnaty. Jest tylko przestraszona. Wkrótce dojdzie do siebie. A co do panny Moffat, cóż... - odwrócił się, podziwiając szybkie postępy przyjaciela - ..myślę, że jest pod dobrą opieką. - Rzeczywiście, kiedy Janet dochodziła do siebie, jej

panią niósł przez salę Hugh Leyland, którego oczy starannie unikały wzroku Davy'ego.

Tego ostatniego ów widok najwyraźniej zirytował.

- Co tu się dzieje? - wrzasnął z pijackim zaśpiewem, rozpychając się przez tłum w kierunku sir Aleksa. - Gdzie ten bezczelny młodzik zabiera moją kuzynkę Meg? Czy wszyscy powariowali? Lady Ebony, proszę powiedzieć, co ją tak zdenerwowało, jeśli łaska. Czy ten człowiek za chwilę zabierze ciebie stąd tak samo jak Leyland zabiera Meg?

Wszczywanie kłótni po tym, co się wydarzyło, było dla Ebony niezrozumiałe i choć nie była tak zrozpaczona jak Meg, nie widziała powodu do troszczenia się o zranioną dumę kupca winnego.

- Proszę iść do łóżka, panie Davy - powiedziała cicho. - Jest późno i wołałabym spać niż kłócić się.

- Spać? Z nim? - zapytał Davy, odgarniając pasmo rzadkich blond włosów z oczu.

Ebony już zamierzała ostro ripostować, ale sir Alex okazał się szybszy.

- Tak, ze mną, człowieku. A myślisz, że z kim? Teraz wyśnij się stąd, by tę salę można było przygotować na noc.

Davy próbował spiorunować go wzrokiem, ale uznał, że ten wysiłek jest zbyt bolesny. Potem próbował skupić się na stopach Ebony.

- Rozumiem - powiedział. - Miałem rację, jest ktoś inny. Cóż, teraz wiem, na czym stoję. Życzę wam obojgu dobrej nocy. - Niepewnie ruszył do wyjścia.

Zbulwersowana szybkością, z jaką jej wysiłki ułagodzenia sytuacji zostały zniweczone, Ebony znalazła w sobie nowe pokłady energii, które pozwoliły jej napaść na sir Aleksa zarówno przez wzgląd na Meg, jak i na siebie.

- Ma pan pojęcie, jaką szkodę wyrządził pan tą głupią uwagą?! Może chciał pan, żeby zabrzmiała frywolnie, ale nie pora na takie żarty. Teraz Davy Moffat jest przekonany, że Meg i ja jesteśmy z wami w zмовie, jeśli nie gorzej. Liczyliśmy na jego pomoc, sir Aleksie, nie na jego wrogość, jak świetnie wiesz. Jutro musisz mu powiedzieć, panie, że to był żart.

Niestety sir Alex wciąż nie zamierzał okazać choćby odrobiny skruchy.

- Będziemy się martwić o zniweczone nadzieje pana Moffata w swoim czasie, pani. - Zdecydowanie wziął ją pod ramię. - Dzisiaj zajmijmy się tym, co jest naprawdę ważne. Odprowadzę cię do twojej komnaty, pani. Moi ludzie przywrócą tu porządek. Chodźmy - dodał, dostrzegając jej wahanie. - To był długi dzień. Czas do łóżka.

Nie tak wyobrażała sobie zakończenie tego dnia, bo sprawy skomplikowały się jeszcze bardziej, ale zmęczenie brało górę i nie miała ochoty przedłużać tej chwili bezużyteczną reprimendą. Nie wzięła jednak pod uwagę pani Cairns, która podeszła drobnymi kroczkami z drugiego końca sali, zbyt późno, żeby usłyszeć ożywioną wymianę zdań, nie mniej w sam raz, by zobaczyć, jak Leyland i Meg opuszczają salę. Stała obok Ebony, kierując na nich spojrzenie szklistych oczu i zsuwając suknię z ramion nieco bardziej.

- Muszę powiedzieć - szepnęła - że kuzynka Meg nie traci czasu, prawda? A ty wyglądasz na wyczerpaną, droga Ebony. Powinnaś natychmiast położyć się do łóżka. Dopilnuję służby, zapewniam cię. To miejsce zostanie uprzątnięte w mgnieniu oka. - Szybkie spojrzenie w kierunku sir Aleksa nie pozostawiło żadnych wątpliwości co do jej zamiarów.

Gdyby zarządca potrzebował pomocy w kierowaniu służ-

bą, Ebony zapanowałaby nad wyczerpaniem i została, ale znała go dobrze i wiedziała, że sobie poradzi. Wstrzymywała ją jedynie rozterka, wywołana tym kolejnym nieporozumieniem. Nie wiedziała - zatrzymać się i wyjaśnić, co przytrafiło się Meg, czy zostawić złośliwą Jennie, by dowiedziała się sama, jak w rzeczywistości wyglądają stosunki między córką sir Josepha i Leylandem. Meg go nie zносиła, Ebony jednak wiedziała, że wyjawienie Jennie tej prawdy nie przyniosłoby nic dobrego.

- Tak - odparła. - Zrób to, Jennie. Dobranoc. Śpij dobrze.

Nie wiedziała, jak udało jej się zachować spokojny głos. Czowała bolesną kulę w gardle. Nigdy przedtem nie doznała czegoś takiego, ale wiedziała, że ma to coś wspólnego z tą przeklętą kobietą, z mężczyzną, który tak nonszalancko potrafił publicznie mówić o jej cnocie, i ze świadomością, że nie będzie musiała barykadować drzwi. Dzisiejszej nocy nie przyjdą do niej barwne sny.

Po drodze do swej komnaty w wieży zajrzała do Sama. Oczarowana jego twarzą cherubina, stała przy łóżku z bólem matczynej miłości i dumą szarpiącymi ją za serce. Wcześniej opowiedział jej, że sir Alex przed pogrzebem znów trzymał go na rękach, a on mówił, jak nazywają się goście. Z gniewem uświadomiła sobie, jak sprytnie ten mężczyzna wykorzystuje niewinne dziecko, jak łatwo w końcu wykorzystają. Na dziedzińcu uderzyło ją dziwne podobieństwo rysów sir Aleksa i Sama, które wielu ludzi mogłoby skłonić do myślenia, że to ojciec z synem. Modliła się, by Sam znalazł w sobie dość sił, kiedy ludzie króla wyjadą.

Biddie potwierdziła sukces swego planu, polegającego na przedstawieniu pani Jennie Cairns sir Aleksowi. Już się przebrała do snu i naprawiała tunikę Sama przy świeczce.

- Zdziałało, prawda? - powiedziała, ssąc palec i marszcząc czoło. - Wyglądało na to, że go oczarowała. Prawdę mówiąc, oczarowała obydwóch. Na pewno pan Richard aż do świtu będzie w łóżu sam. - Znow na palcu wykwitła czerwona kropka i znow go possała. - Zadowolona pani, jak sądzę?

- Wręcz zachwycona.

- Czy mam przyjść pomóc się pani rozebrać?

- Nie, moja droga. Poradzę sobie sama. Idź już spać. Dobranoc.

- Dobranoc, milady. - Biddie pomyślała, że jej pani ma dziwną minę jak na kogoś, kto jest zachwycony.

Mimo krańcowego zmęczenia obrazy strasznego dnia i sieć problemów, która ją omotała, skutecznie odpędziły sen Ebony. Wiele razy życzyła sobie, żeby sir Joseph zniknął z jej życia, lecz okazało się, że jego śmierć oznaczała utratę bezpieczeństwa. Nie ponosiła odpowiedzialności za nadzieje Davy'ego Moffata oraz korupcję i śmierć jego wuja, lecz wszystko to obracało się przeciwko niej. Na domiar złego znalazła się w emocjonalnym grzęzawisku, do którego zresztą sama doprowadziła. Dlaczego jednak te wszystkie przykrości pojawiły się jednocześnie, a nie w małych dawkach, z którymi można by sobie poradzić? Ot, tajemne ścieżki losu. .. Czyżby zostało to zaaranżowane po to, by przetestować jej odwagę? Szkoda jednak, że nikt jej o tym nie uprzedził.

Kiedy obracała się niespokojnie po raz dwudziesty, a jej umysł wciąż chwycił okruchy minionego dnia, dłoń powędrowała na biodro, gdzie nie tak dawno spoczywała inna dłoń. Wtedy uświadomiła sobie, że jednak zasnęła i sen powrócił, by dzielić jej samotność, że nie miała pojęcia, jak

długo jej towarzyszył i że, jeśli nie będzie zadawała pytań, później nie będzie nic do wyjaśniania. W jakimś odległym, rześście oświetlonym czasie część jej istoty śpiewała z radości, zanim spowila ją ciemność, a wszystkie zmysły skupiły się na dłoni, która powoli, sennie wędrowała po gładkim biodrze i atłasowej piersi.

Ciało, które tak długo ograniczała i kontrolowała, natychmiast ożyło, drżało z pragnienia, cierpiało z powodu pustki. Był tu, pelen życia i chętny. Lgnął do niej i zagarniał ją pod siebie, a ona była gotowa i pragnęła, by ją wziął i zatopił swoim kochaniem. Pragnęła wchłonąć w siebie jego całego w gorącznie wyzwolenia, które swoją gwałtownością rozproszyło wszelkie obiekcje. Ograniczenia, które niósł dzień, znikły, a ona wtuliła się w niego w poszukiwaniu oparcia.

Sen snuł się tak, jak tego oczekiwała. Cudownie wargi na jej ustach wywoływały okrzyki pożądania. Jej usta domagały się uwagi, która usunie zamęt panujący w jej głowie. Ustaliła tempo, a on odpowiedział, przejmując kontrolę. Wsunął muskularne ramię pod jej plecy, by unieść ją energicznie z poduszek, podając jej piękne piersi ustom.

Ekstacyjny okrzyk zasygnalizował jej niecierpliwość. Rozchyliła nogi, a on znalazł się między nimi i wszedł w nią tak łatwo, jakby robił to co noc od lat, a równocześnie z pełnym napięciem podnieceniem pierwszej miłosnej uczty. Jej okrzyk nabrał innego znaczenia, kiedy chwyciła kochanka za nadgarstek, zbyt późno, by go powstrzymać, a zarazem na tyle mocno, by zasygnalizować swój lęk. To był jej pierwszy raz po ponad trzech latach, sen musiał się ziszczyć. Czy można zapomnieć, jak się to robi?

- Wszystko w porządku - szepnął, łamiąc zasadę milczenia. - Wiem... wiem. Już dobrze. - Odsunął jej dłoń i wsu-

nał się głębiej, otwierając ją powolutku i wywołując dreszcz rozkoszy. Jej idealne ciało musiało się nauczyć dawać i brać. Znów czekał, szukając jej warg, by wspólnym oddechem dopełnić jednoczenia ich ciał i umysłów, mądrze, po mistrzowsku, magicznie. Jego pocałunek powstrzymał ją i osłabił, uspokoił jej płuca, a wtedy zaczął się poruszać, powoli, rytmicznie, przypominając jej czułe uderzenia męskich łędźwi i zapierające dech drżące wtargnięcie, które wprowadziło w jej pustkę nowe pulsujące życie.

Próbowała zapamiętać i porównać. Zapewniała siebie, że jest tak, jak było kiedyś, ale każde powolne, silne pchnięcie mówiło jej, że to nieprawda i że nigdy nie było tak jak teraz, że porównywała chłopca do mężczyzny, ucznia do magika. Kiedy to sobie uświadomiła, wyrwał się z niej jęk i zatraciła się bez reszty, porwana tą zmysłową chwilą, o której nigdy nie myślała, że może być tak słodka.

Czuła masywny ciężar jego ciała, przygniatający ją na tyle mocno, że nie mogła uciec. Nie panując nad sobą, wiała się i miotała, a jej włosy przypominały wzburzone morze. W przeciwieństwie do niej, on wiedział, jak snuć miłość nawet w chwili ostatecznego zapamiętania. Krzyknęła, świadoma, że cała płonie i dygoce, aż wreszcie poddała się zachwycającemu uczuciu spełnienia.

Bez reszty zdumiona tym doznaniem, zaspokojona, ale i zdezorientowana, leżała w mocnym uścisku kochanka. Teraz nawet wyczerpanie i półsen nie mogły pozwolić jej na udawanie, że ten wspaniały mężczyzna to jej łagodny Robbie, który właśnie nauczył ją, jak przekracza się niebiańskie wrota. Nigdy nie kochali się w ten sposób. Nigdy przedtem nie docierała do tej ostatecznej krainy. To, co odkryła, było objawieniem i pochodziło od mężczyzny, który w nocy nie miał

imienia, a za dnia musiał pozostać jej wrogiem. I choć to on zamierzał zmusić ją do dotrzymania ich dziwnej umowy, to ona wykorzystywała go, by nakarmić swe tęsknoty i znów przywrócić sobie pełną kobiecość na koniec żałoby. Ku jej uldze nie wziął jej tak, jak się spodziewała, siłą, nie dbając o jej uczucia. Czekał cierpliwie, a potem ją poprowadził krok po kroku, jakby była dziewczicą.

Doświadczoną dziewczicą. Uśmiechnęła się na tę piramidalną sprzeczność.

- Jeszcze - szepnęła, impulsywnie. - Chcę jeszcze.

Wiedziała, czego się spodziewać, tylko nie tłumionego śmiechu, który usłyszała, gdy nocny przybysz wtulił twarz w jej włosy. Za późno przypomniała sobie o swoim przerażeniu, które ją ogarnęło, kiedy oznajmił jej, że posiadzie ją nie jeden raz, lecz tyle, ile będzie chciał. A teraz ona żądała więcej, korzystając z osłony ciemności, w której zwykle reguły tracą swą moc.

Wstyd kapitulacji palił ją żywym ogniem. Zaciśnęła dłoń i podciągnęła kolana, by zepchnąć kochanka z siebie. Były to jednak marne środki obrony, które nie miały szansy na sukces wobec błyskawicznego natarcia i żelaznego uścisku dłoni na jej nadgarstkach.

Tyle tylko wystarczyło, by odwrócić jej umysł od panującej między nimi wrogości. Jego wargi wiedziały najlepiej, jak uwodzić na sposoby, które były dla niej całkiem nowe i sprawiające niewysłowioną rozkosz. I nagle coś, niczym morze ognia, porwało ich z sobą, a ich okrzyki zabrzmiały jednocześnie. Płynęli w gorącej fali, która uniosła ich daleko i otuliła w końcu tak miękko jak jedwabny kokon. Ebony bez jednego słowa zapadła w sen.

Odległe pianie koguta wywołało uśmiech na jego twarzy, kiedy stał przy otwartym oknie, wyglądając na jezioro. Powietrze było chłodne i pachnące, woda jak ciemne lustro, różowy cień na wschodnim brzegu - widomy znak zmiany pogody. Zacisnął dłonie za głowę, oddychając głęboko i wystawiając nagą pierś na chłodne podmuchy. Mimo wysiłków, by skupić się na nadchodzącym dniu, wciąż wracał myślą do kobiety, która spała w łóżku. Czy ktokolwiek mógł przewidzieć taką serię zbiegów okoliczności? Stary człowiek wypadł z gry. Jego pobratymcy gotowi byli rozprawiać o jego dokonaniach jak przekupki. Jego bratanek sam się zapędził w ślepa uliczkę. Dwie samotne piękne kobiety.

Odwrocił głowę i zerknął na smukłą sylwetkę Ebony widoczną pod futrzanym okryciem. Czy kiedykolwiek była kobieta taka jak ta? Piękna, płomienna i lojalna, inteligentna, wrażliwa, impulsywna i dumna. Ile czasu potrzeba, by opuściło ją poczucie winy wywołane odkryciem, że go pragnie? Tak, pragnęła go, i było tak od początku, bo w przeciwnym razie nigdy by nie zaferowała mu swego ciała; świadomie czy nie.

Jednak tym razem było coś więcej niż jego sprytne pochwycenie okazji, coś więcej poza egoistycznym pragnieniem, by wykorzystać przewagę, ubić interes i odjechać, tak jak robił z wieloma innymi. Ta była inna, wyjątkowa. Dobrze się stało, że zaczekał tych kilka nocy. Pośpiech nie doprowadziłby do niczego. Nawet teraz powinien się spodziewać dalszego oporu. Ona robi wszystko, by udać, że to się w ogóle nie wydarzyło, lub też, jeśli się wydarzyło, że była temu niechętna. Co było oczywiście kłamstwem. Żadna kobieta nie była chętniejsza niż ona, wrażliwsza czy bardziej niedoświadczona. Czegokolwiek nauczył ją zmarły mąż, nie była

to na pewno sztuka miłości, bo Ebony pozostawała w uśpieniu aż do minionej nocy, kiedy potwierdziła nie tylko, że go pragnie, ale że może doświadczyć takiego samego finału jak mężczyzna. Chciała więcej. Po tym wszystkim błagała o więcej. Uśmiechnął się szerzej. Jemu też było za mało.

Równie zachęcająca była świadomość, że obie kobiety zerkają na niego i Leylanda przez większość wieczoru, kiedy żona prawnika atakowała ich, flirtując bez opamiętania. Lady Ebony powiedziała o niej w chwili nieuwagi, odkrywając zazdrość, której nie była nawet świadoma. To go rozbawiło. Cóż, rozpustna pani Cairns będzie dzisiaj cichsza, bo ostatniej nocy z Leylandem odprowadzili ją do pokoju Moffata, gdzie pewien młody rycerz aż rwał się do tego, by czynić zadość jej potrzebom tak długo, jak będzie sobie tego życzyła. Potem, w pełni zaspokojona, zapewne wróciła do pokoju, by zlec u boku męża.

Cichy dźwięk sprawił, że sięgnął po sztylet. Wartownicy pilnowali schodów, więc nie było potrzeby zamykania drzwi na zamek, chociaż może powinien był to zrobić. Otwarty się na tyle szeroko, by mała postać wśliznęła się do komnaty i zamknęła je cicho za sobą.

- Sam! - szepnął sir Alex, kładąc palec na ustach. - Ciii!

Chłopiec podszedł do niego na palcach tak naturalnie jak do swego ojca. Wpadł w jego objęcia i został uniesiony wysoko, by podziwiać komnatę z bardziej interesującego poziomu, a wszystkie myśli o matce ustąpiły myślom o jego bohaterze. Objął ramionami mocny kark, okraczył nogami biodro i oparł się o podtrzymujące go ramię. Był w siódmym niebie.

- Gdzie jest mama? - szepnął malec.

- Tam, śpi.

Sprawdził szybko, czy to prawda.

- Spałeś tutaj?

- Tak. Zdenerwowali ją ci hałaśliwi goście.

- Zawsze tak jest. Gdyby był tu dziadek, byłoby jeszcze gorzej.

-Tak?

- Tak. - Chłopiec pogłaskał skłonne do słuchania ucho, zachwycając się jego wielkością. - Cieszę się, że tu jesteś, nawet jeśli mama myśli inaczej.

Sir Alex uśmiechnął się na to nieodpowiadające rzeczywistości stwierdzenie.

- Wiesz, my, mężczyźni, musimy wiele się nauczyć o naszych matkach, prawda? Nie zawsze są takie złe, jakimi się wydają. Czasami udają niechęć i złość, by ukryć, co naprawdę czują.

- Dlaczego to robią?

- Ponieważ to, co czują naprawdę, jest trochę poplątane w środku. Tak jak ty czasami, prawda?

- To dlatego mama mówi mi, żebym uporządkował swoje sprawy?

- Właśnie. Tyle że dorośli mają więcej do uporządkowania, bo są więksi. Widzisz tę łódź?

Sam spojrział na jezioro.

- To na pewno Geordie.

- Kim on jest?

- To drwal dziadka. Każdej niedzieli przewozi rzeczy dla dziadka na drugą stronę jeziora. Na pewno teraz wraca do zamku.

- Z kim się spotyka? Może wiesz?

- Za daleko zobaczyć - stwierdził rezolutnie Sam.

- Lepiej będzie, jak się ubiorę i zejdę na dół. A ty...? - Mó-

więc to, odwrócił się w stronę łóżka i serce skoczyło mu na ten widok.

Ebony siedziała wyprostowana na poduszkach, obejmując dłońmi kolana, włosy spływały jej na jedno ramię jak czarna jedwabista chmura, a w oczach widniał przejmujący smutek. Wyciągnęła ramiona, kiedy zaczął nieść do niej dziecko.

- Samie Moffat - powiedziała, patrząc gniewnie nad jasną główką na sir Aleksa. - Co ty tu robisz?

- Rozmawiamy jak mężczyźni, mamó. - Mocno przytulił się do niej.

Meg, podobnie jak Ebony, wierzyła, że jak tylko będzie po pogrzebie, sytuacja zmieni się na lepsze albo przynajmniej się nie skomplikuje. Obie były w błędzie. Zanim dzień rozpoczął się na dobre, Davy Moffat, jego siostra Jennie Cairns i jej mąż Richard odjechali z zamku bez słowa pożegnania i byli teraz w drodze do Dumfries, zostawiając gospodarzy zdumionych tą nieuprzejmością. Niestety miało być jeszcze gorzej, bo przed wyjazdem złośliwe rodzeństwo przy pomocy kilku rozplotkowanych znajomych rozpuściło plotkę, że gniew panny Meg z powodu zachowania gości nie był tak wielki, by nie pozwolił jej przyjąć zalotów pana Leylanda. Tak, zaniósł ją do jej komnaty. Widziano ich. Słyszano też, jak sir Alex powiedział bez żadnych ogródek, że będzie spał z lady Ebony. To tyle, jeśli idzie o pogrążone w żalobie kobiety na zamku Kells.

- Czy to prawda, Ebbie? - spytała Meg. - Czy sir Alex rzeczywiście tak powiedział?

- Obawiam się - odparła Ebony, podając Samowi jabłko z miski - że stracił rozum, tak zresztą wszyscy. Powiedział tak, ale, na litość boską, nie zwracaj na to...

- Spał z mamą - wtrącił Sam, próbując przeciąć jabłko drewnianym mieczykiem.

- Nie bądź śmieszny! - zrugła go Meg. - I nie baw się podczas jedzenia.

- ..uwagi - zakończyła Ebony nieprzekonująco. Musi być jakiś sposób uwolnienia się z tego koszmaru, pomyślała, tylko . jaki? Nie był to ani czas, ani miejsce, by wyjaśnić Meg, co się stało. A może Sama należy upomnieć, chociaż widziała, że nie byłoby to w porządku wobec niego. Nie powinno się oszukiwać dzieci, a później oczekiwać, że same nie będą oszukiwały, jak kiedyś powiedziała jej matka. Szkoda, że jej tu nie ma.

Z całą zręcznością gracza odbiła piłeczkę.

- Natomiast pan Leyland zaniósł cię wczoraj do twojej komnaty. Z pewnością myśleli, że on...

- Co takiego, Eb? Pomyśleli, że on co?

- Został zaproszony.

- Czy tak właśnie myślisz?

- Oczywiście, że nie. Widziałam, co się stało. Słuchaj, kochanie, to nie ma sensu. Teraz atakujemy siebie nawzajem. Nie możemy dopuścić, byśmy przez tych utrapieńców straciły zaufanie do siebie, szczególnie gdy dobrze wiemy, że nie ma nic do wyjaśniania. Chodź, zjemy coś.

Meg z westchnieniem usiadła na ławie przy stole. Mężczyźni spokojnie krążyli po sali, z której zdołano już uprzątnąć wszystkie oznaki zamieszania, pozostał jedynie słodka wy smród niemytych ciał, wina, świec i nieswieżego jedzenia, które zmieszało się z sitowiem zaścielającym podłogę.

- To dlaczego wyjechali w ten sposób? - Zadumała się na moment. - Nie rozumiem, dlaczego moje zachowanie zostało ocenione gorzej niż zachowanie Jennie. Może pokłóciła się z Davym i Richardem i stąd ta rejterada? Problem polega

na tym, że straciliśmy nadzieję na pomoc z ich strony. Może zresztą nie byłaby ona wiele warta, sądząc po żalonym lamente Davy'ego. Nie posunęliśmy się ani krok dalej, jeśli idzie o udowadnianie niewinności ojca. Wciąż jesteśmy na początku. Dziękuję ci, Janet - powiedziała, biorąc kawałek gołębia w cieście.

Całkiem niestosowne użycie słowa „niewinność” uderzyło Ebony jak obuchem. Z całą jasnością ujrzała, jak pozostający przy życiu Moffatowie rzucali się w sieci zarzuconej przez królewskich oficerów. Sieć zamknęła się zwłaszcza nad nią, zagarniając więcej, niż oferowała na początku. I to ją należało za to winić.

Opuściła głowę i ukryła ją w dłoniach. Nie była tchórzem i bez wątpienia znajdzie sposób rozprawienia się ze snem, który zaczął się rozrastać i przekraczać granice nocy, ale oszukiwanie Meg, Sama i Biddie nie było w jej stylu. Zresztą nigdy w tym nie celowała.

- Przepraszam - szepnęła. - Wybacz mi. - Czowała się tak, jakby Robbie jej słuchał.

- Nie czujesz się dobrze, Ebbie? - spytała Meg. - Nie spałaś spokojnie?

Gdyby tylko wiedziała...

- Przepraszam. Nic mi nie jest. To sitowie cuchnie.

- Idź na górę i zdrzemnij się. Dopilnuję, żeby zamieciono sałę i zmieniono sitowie. Sprawami ojca zajmiemy się później.

Ebony udała się do swej komnaty, ale po chwili wymknęła się do wodospadu. Przy brzegu była mała łódka uwiązana do korzenia, a trochę wyżej ukryta sadzawka zapewniła jej odosobnienie, którego tak bardzo potrzebowała.

Rozbierając się powoli, patrzyła po sobie, szukając śladów świadczących o pełnej namiętności nocy, która, o czym wie-

działa z przerażającą pewnością, zmieniła jej życie na zawsze. Przyznanie się do tego było jak bolesna rana w sercu. Rozkosze objąć tego mężczyzny - jak rana zadana pamięci Robbiego. Każde wspomnienie cudownych chwil było niczym obracanie sztyletu w ciele, niewybaczalną zdradą wobec ojca jej syna.

Energicznie szorowała ciało mydlaną pianą, polewała głowę chłodną wodą i patrzyła na bańki płynące po kamieniach do jeziora. W każdej jednak widziała drobną twarzyczkę Sama, z oczami lśnącymi dumą i ramionami obejmującymi mężczyznę, któremu sprzedała się z takim zapalem, zapominając o skrupułach. Nieważne, jak burzyła wodę, ten obraz ją prześladował. Czuła, że powinna powiedzieć synowi, by nie ufał temu, kto zaczął ubóstwiać.

Wyskoczyła z wody i wykręciła włosy, niezdolna powstrzymać słodkich wspomnień, tak niedawnych i tak wyraźnych. .. Och, pamiętała każdy szczegół. Sir Alex ubrał się bez pośpiechu, świadomy, że jego ciało musi być źródłem zainteresowania zarówno dla niej, jak i dla Sama, chociaż starała się, żeby nie zobaczył, jak się mu przygląda. Jego członki były smukłe i umięśnione, widoczny w bladym świetle tors tak niepodobny do szczupłego torsu Robbiego, którego miłość co najwyżej przynosiła jej ukojenie. Żadne z nich nie powiedziało ani słowa i tylko Sam pomachał mu na pożegnanie, kiedy wychodził z komnaty, obiecując, że zobaczą się później. Natomiast dla Ebony było spojrzenie, które mówiło o wiele więcej niż słowa, spojrzenie, dające jasno do zrozumienia, że to jeszcze nie koniec.

Rozdział siódmy

Nie tylko Davy Moffat i jego siostra wyjechali w tak wielkim pośpiechu. Kiedy Ebony wróciła do zamku, na dziedzińcu stajennym roило się od jucznych koni, stępaków, wozów i mułów, których właściciele mętnie tłumaczyli się pogarszającą się pogodą i rozlicznymi obowiązkami. A przecież spodziewano się, że zostaną do połowy tygodnia.

Meg zęgnęła gości, ale nigdzie nie było śladu ani sir Aleksa, ani pana Leylanda. U jej boku stał brat Walter. Minę miał żalostną, policzki obwisły mu bardziej niż zwykle, twarz miał zaczerwienioną, nos opuchnięty. Uczulenie, dotąd nie tak dotkliwe, nasiliło się na skutek wymiany sitowia i pachnących ziół rozsypanych na podłodze sali. Janet także cierpiała, bo wśród odjeżdżających nie było widać barona Cardale'a.

- Nie rozumiem tego - powiedziała Meg do Ebony. - Zwłaszcza po tym, jak się zachowywali.

- Nie narzekaj. Przecież tego właśnie chciałyśmy, prawda? Kto zostaje?

- Około dziesięciu mężczyzn. Chcą wybrać się na polowanie.

- No tak, żeby zniechęcić ich do polowania, trzeba czegoś

więcej niż wysłannicy króla i oszczerstwa Davy'ego. - Nie było wątpliwości, że sir Alex miał na myśli ten exodus, kiedy ostatniej nocy mówił o zakończeniu spraw. Jednak mimo braku załogi do obrony zamku, odczuwałyby taką samą ulgę na widok wymarszu królewskiego oddziału. Tak zwana pomoc monarszych wysłanników nie była przecież tania. - Czas, żebyśmy pozbyły się ich wszystkich, jeśli chcesz znać moje zdanie - dodała w zadumie.

Gdy ostatni turkocący wóz znalazł się za bramą, Meg stwierdziła z niepokojem:

- Wiem, tego właśnie chcieliśmy, ale mam złe przeczucia. Gdybyś tylko widziała, jakie spojrzenia rzucali mi niektórzy z gości... Jakbym ich pobiła.

Ebony zachichotała.

- Rzuciłaś w nich zydlem, kochanie.

- Naprawdę? Och, Boże! Niewiele pamiętam, na koniec osłabłam z tych emocji... Ale co, rzut był celny? - spytała niecierpliwie.

- Nadzwyczaj celny.

- Świetnie! Mam nadzieję, że któryś z tych łapserdaków zarobił potężnego guza!

- Z pewnością. Może teraz powinniśmy czymś rzucić w tych dwóch? Postawili nas w bardzo trudnej sytuacji po ostatniej nocy, wbrew naszej woli narazili nas na okropną obmowę. Przez nich będziemy musiały bronić naszej reputacji. - Zobaczyła, jak brat Walter, Janet i Biddie wchodzą po kamiennych schodach prowadzących do sali na pierwszym piętrze. - Meg, co Geordie Boyd przewozi łodzią na drugą stronę jeziora co niedziela?

- Niczego nie przewozi. Czemu pytasz?

- Co więc robi?

- Zabiera pieniądze ojca ze sprzedaży i składek i Bóg wie czego jeszcze. Zawsze mawiał, że bezpieczniej jest wozić je łodzią niż łądem, bo żadni zbójcy go nie napadną.

- Skąd je zabiera?

- Z chaty jednego z dzierżawców, gdzie są dostarczane.

- Ciekawe... W takim razie, skoro sir Joseph nie żyje, kto posłał tam Boyda dzisiejszego ranka?

- Nikt. Dlaczego pytasz, Eb?

- Bo widziałam, jak wczesnym rankiem wracał łodzią do zamku.

- Co? Ja go nie posyłałam.

- W takim razie kto?

- No właśnie, kto... Pewnie jest teraz w drewnitni. Chodźmy tam.

Rozebrany do pasa Geordie ciął drewno na opał. Gdy zbliżyły się do niego, uniósł głowę. Atrakcyjną twarz miał pokrytą ciemnym zarostem, a potężne mięśnie ramion przeżyły się pod opaloną skórą. Niedawno ukończył dwadzieścia lat. Niezdolny ukryć tego, że Meg mu się podoba, uśmiechnął się na jej widok, potem ostrożnie oparł siekiere o pień.

- Pani Ebony, panna Meg - powitał je.

- Geordie, kto posłał cię rankiem na jezioro? - Meg nie bawiła się w żadne grzeczności, tylko od razu przystąpiła do rzeczy.

W jego oczach pojawiły się iskierki rozbawienia.

- No proszę. Już druga osoba chce wiedzieć, gdzie byłem. Czy coś się szykuje?

- Kto jeszcze chciał to wiedzieć, Geordie? - nalegała Ebony.

- Pan Leyland. Powiedziałem mu, że zostałem na noc u mojej dziewczyny i właśnie od niej wracałem.

- A to nie była prawda?

- Niezupełnie. Pan Moffat nie chciał, bym o tym komukolwiek mówił. - Geordie nie był biegły w sztuce podstępu.

Meg podjęła powoli, tonem słodkim jak miód:

- Jednak nam powiesz, Geordie, bo byłeś wiernym sługą mego ojca. To pan Moffat posłał cię po odbiór pieniędzy sir Josepha?

- Nie, pani. Powiedział, że sam to zrobi po drodze do domu. Tym razem miałem zabrać rzeczy, nie przywozić.

- Jakie rzeczy?

- Och, cały ładunek, pani. Zbroje, wory z ziarnem. Omal nie zatopiłem łodzi.

- Zbroje? Jesteś pewien?

- Były zapakowane, ale zbroję i broń z łatwością poznam po dotyku, nawet przez worki. Jest w magazynie na ziarno. Jutro muszę przewieźć kolejny ładunek.

- Ziarno też?

- Tak. Pan Moffat weźmie za nie dobrą cenę, pani. Jest warta dziesięć razy tyle co niedawno. Wziąłem worek dla mojej matki. Dzisiaj na wieczrę upiecze chleb. - Mrugnął do nich, dumny ze swej przebiegłości.

- Kto teraz ma klucze do magazynu, Geordie? - spytała Ebony.

- Zarządca majątku, milady. Ma polecenie otwarcia go jutro rano, żebym mógł zabrać ładunek.

- Rozumiem. Czy ktoś poza zarządcą pomaga ci w tym?

- Nie - odparł z dumą. - Nie potrzebuję nikogo innego, pani. Potrafię wszystko przenieść i przewieźć na miejsce. Przecież to ja przywoziłem do zamku większość.

- Chwileczkę - wtrąciła Ebony. - Coś mi umknęło, Geordie. Ty przywoziłeś broń i ziarno? Skąd?

- Ach! - Wzruszył ramionami. - Myślałem, że teraz, kiedy

nie ma sir Josepha, mogę wam powiedzieć. To zbroje i broń, którą pan Moffat przywoził na statkach z Włoch i Hiszpanii. Dostarcza je na odległy brzeg jeziora i zostawia u Raya, szkutnika, a ja zabieram je stamtąd i przywożę do zamku, gdzie są w tajemnicy przechowywane. Sir Joseph sprzedawał je swoim znajomym, a czasami pan Moffat zabierał towar w swoim wozie, by go przekazać w drodze do domu.

Ebony zmarszczyła brwi, patrząc na Meg.

- Więc towar jest przywożony z Dumfries do zamku Kells, a potem część drogi odbywa z powrotem. Ciekawe, dlaczego pan Moffat nie trzyma go w swoich piwnicach.

- Pewnie brak mu miejsca, ma przecież wino i tak dalej, miłady. Poza tym powiedział, że lepiej trzymać wszystko na zamku, bo sir Joseph, który sprzedaje broń, sam jest wojownikiem.

- Wiesz, komu ją sprzedawał... sprzedał? - spytała Meg.

- Nie! - odparł skonsternowany Geordie. - Ja dostarczam i zabieram, nic więcej. Pan Moffat przywozi wino i ziarno. Większość musiałem nosić na własnych plecach.

- Tak, ale ziarno od kilku lat jest równie cenne jak złoto - zauważyła Meg. - Skąd ono pochodzi, jak myślisz?

- Przywiózł je statkami z zagranicy, gdzie nie było powodzi, a potem zostało złożone w piwnicach sir Josepha i czekało, aż ceny pójdą w górę. Kupili je ci, których było na to stać. - Wyszczrzył zęby w uśmiechu, prawdziwe ucieleśnienie niewinności. - Z twojego ojca, pani, był sprytny pan.

- A ja - powiedziała Meg jakby do siebie - nie zadałam sobie trudu, by sprawdzić, ile mamy zboża ani spytać, skąd pochodzi i dokąd jest przekazywane. Powinnam była to zrobić.

- To praca zarządcy, pani. On prowadzi rachunki.

- A więc on i pan Moffat musieli robić to razem, tak przypuszczam.

- Cóż, nie wiem, czy pani ojciec miał z tym wiele do czynienia, kiedy przychodziło do słów i liczb. Nie czytał i nie pisał lepiej niż ja. To dlatego powierzył wszystko panu Mofatowi.

- Co takiego?! - krzyknęła Ebony.

Dla Meg słowa Geordiego nie były rewelacją, chociaż dotąd skutecznie ukrywała edukacyjne braki ojca przed szwagierką. Przy drwalu nie zamierzała jednak tego roztrząsać.

- Dziękujemy ci, Geordie. Cieszę się, że szczęśliwie dotarłeś do zamku od swej dziewczyny. - Uśmiechnęła się do niego słodko. - I mam nadzieję, że chleb będzie twojej matce smakował. Dopilnuję, żeby dostała więcej ziarna.

- Dziękuję, pani. - Wrócił do rąbania drewna, nie patrząc za oddalającymi się Ebony i Meg.

Zatrzymały się przy ciepłej kuchennej ścianie w pobliżu drewnutni.

- No dobrze. - Meg nerwowo bawiła się warkoczem. - Wiem, że musi to być dla ciebie szok, ale on nie chciał, żeby ktokolwiek się o tym dowiedział. To dlatego nie chciał zatrudnić nauczyciela dla Sama, a wcześniej dla Robbiego czy dla mnie. Twierdził, że umiejętność pisania i czytania nie jest ważna, ale myślę, że to nie była cała prawda.

- Meg, przecież wielu ludzi nie umie czytać ani pisać. Natomiast ma to ogromne znaczenie dla naszej sprawy, ponieważ stawia w innym świetle udział Davy'ego. To on musiał przygotowywać umowy kupna-sprzedaży twego ojca. Musimy znaleźć dokumenty. Być może twój ojciec nie miał pojęcia, na czym kładzie swą pieczęć. Boże, jak łatwo można było go oszukać! A jeśli Davy wplątał go w nielegalne interesy? Meg, gdzie jest ta kasetka?

- W jego komnacie, tam, gdzie śpią mężczyźni.

- W takim razie musimy ich stamtąd wykurzyć i przejrzeć papiery.

Łatwo powiedzieć, trudniej zrobić. Dwudziestu czterech mężczyzn, którzy pełnili nocną straż, spało tu w ciągu dnia. Ani Ebony, ani Meg nie miały najmniejszej ochoty zrzucić ciżby gołosów z łóżek i wyganiać z komnaty. Pragnąc zrehabilitować się w oczach Meg po niepowodzeniu z zapewnieniem współpracy Davy'ego, Ebony wzięła byka za rogi i ruszyła na poszukiwanie pana Leylanda, nigdzie go jednak nie mogła znaleźć.

Pobiegła po kamiennych schodach wznoszących się spiralnie na zamkowe szańce, w nadziei, że spojrzy na zamek z lotu ptaka. Wynurzyła się z małych drzwi i stanęła na szczycie muru wybrukowanego szerokim chodnikiem. Stąd z jednej strony można było obserwować jezioro, z drugiej - łąd. Pod nią, na dziedzińcu, widać było pokryte słomą dachy warsztatu kowala, a tuż przy nich miecznika. Wielki chart czekał na zewnątrz, leniwie machając ogonem.

Przyciśnięta plecami do muru, patrzyła, jak sir Alex wychodzi z warsztatu, pochylając ciemną głowę, by lepiej się przyjrzeć mieczowi trzymanemu w ręce. Obok niego szedł miecznik. Najwyraźniej rozmawiali o wadze i proporcjach broni. Sir Alex zakreślił nią w powietrzu kilka solidnych łuków, skutkiem czego chart gwałtownie uskokzył, żeby uniknąć ciosu, a kilku mężczyzn przystanęło i zaczęło się przyglądać z niekłamanym podziwem. Sir Alex znikł pod strzechą, trzymając dłoń na ramieniu miecznika, a Ebony opadła na blankę, czekając, aż nogi odzyskają siły, a serce powróci do normalnego rytmu.

Po raz pierwszy widziała go z bronią w ręku, co wywołało

dziwne pomieszanie jawy i snu. Oto mężczyzna, który przyszedł do jej łóżka ostatniej nocy. Nagi pogański bóg, który przemierzył jej komnatę. Czują opiekun, który trzymał w ramionach jej dziecko, rozdierając smutkiem matczyne serce. Pod każdym względem wspaniały, fizycznie doskonały, wyjątkowy kochanek, a zarazem wróg, cyniczny łajdak, który bezwzględnie wykorzystał najpotężniejszy kobiecy strach - strach o dziecko - by dostać to, na co miał ochotę. Jakby tego było mało, przybył tu, by oczernić jej rodzinę w oczach króla, pozbawić majątku ją i Meg, zagrozić bezpieczeństwu Sama. Nie mogła sobie pozwolić na słuchanie głosu swego serca, które zaczęło powoli tajać.

Zapominając o swej misji, wyjęła z sakiewki grzebień z kości słoniowej i zaczęła rozplątywać wilgotne włosy, łowiąc uchem stukanie młotów, okrzyki mężczyzn i dalekie rżenie konia. Sam dzisiejszego ranka bawił się z synami wójta. Mieli przyglądać się mężczyznom wyruszającym na polowanie i aż do wieczora w zamku będzie cicho.

W pierwszym odruchu chciała odejść, kiedy sir Alex wszedł na szanice. Zgodnie z wcześniejszym postanowieniem miała schodzić mu z drogi za wszelką cenę, ale teraz pomyślała, że może będzie w stanie im pomóc w sprawie kasety, skoro nie udało się z panem Leylandem. W tych okolicznościach bieg przez szanice na oczach zgromadzonych na dziedzińcu na pewno wywołałby plotki. A więc nie przerywała czesania, ignorując fakt, że nagle zabrakło jej tchu.

- Słyszałem, że szuka pani Leylanda - powiedział, opierając się o szczyt muru. - Ładny stąd widok. W powietrzu czuje się deszcz. - Wiaterek od jeziora zburzył mu włosy.

- A odrobina spokoju byłaby miła. Proszę zostawić mnie samą, sir.

Popatrzył na nią. Jego oczy śmiały mu się na widok rumieńca, który zabarwił jej policzki, gdy zdała sobie sprawę, że jej słowa są opryskliwe.

- Samotność? - szepnął. - Na pewno tego chcesz, pani? Nie odniosłem takiego wrażenia.

Miała nadzieję, że nie będzie nawiązywał do ich kruche- go sojuszu, wydawało jej się bowiem, że rozumiał jego natu- rę. Niestosowny komentarz doprowadził ją do szału i boles- nie rozczarował. W mgnieniu oka zmieniła zdanie i ruszyła w kierunku drzwi, które prowadziły do wieży, biegnąc jak łania przez las, za szybko nawet dla sir Aleksa. Na złama- nie karku zbiegła schodami na niższy poziom, potem przez małe sklepione przejście i po drewnianej podłodze wzdłuż następnej komnaty, w dół po schodach, korytarzem i znów w górę schodami, przygniatając brata Waltera do drzwi ka- plicy.

- Milady...? Co to! - krzyknął oszołomiony.

Po chwili sir Alex również wcisnął go w drzwi.

- Którędy? - spytał.

- Tam! - Kapelan wskazał schody.

Prowadziły one do ogrodu. Meg i ogrodnik stali właśnie na ścieżce pogrążeni w rozmowie, gdy pędząca Ebony omal nie przewróciła ich na ziemię.

Meg zawołała:

- Ebbie! Dokąd biegniesz?

Nie zatrzymała się jednak celem wyjaśnienia, tylko znikła za rogiem, a rozpuszczone włosy powiewały niczym czar- ny żagiel.

Zobaczywszy sir Aleksa, Meg w lot pojęła, w czym rzecz, i postanowiła się dołączyć. Prosty rachunek, dwie przeciw- ko jednemu. Ramię w ramię na ścieżce wojennej. Ruszyła za

Ebony, ale natychmiast zatrzymało ją potężne ciało, a muskularne ramiona porwały w powietrze.

- Puść mnie ty wielki... póglówku! - wrzeszczała, wijąc się jak piskorz. - Postaw mnie!

Hugh Leyland, trzymając ją mocno, usunął się zrecznie z drogi sir Aleksa i krzyknął za nim:

- Do wodospadu!

Ebony miała ograniczony wybór, bo płytki stawek miał strome brzegi pozarastane paprociami. Ponieważ na lądzie nie miała dokąd iść, dała trzy ogromne susy po głazach na brzegu jeziora, a czwarty doprowadził ją do małej łódki przywiązanej do korzenia drzewa. Gdy skoczyła na nią, zachybotła się gwałtownie, aż Ebony uderzyła się o ławeczkę i wylądowała boleśnie na siedzeniu, z nogami zadartymi niestosownie ku górze. Przez jej suknię przesiąkała wilgoć, podczas gdy wściekłość, szok, panika i oburzenie wywołane postępowaniem sir Aleksa ogarnęły jej umysł i ciało.

Pochylił się nad łódką, obserwując szamotaninę Ebony, potem odwiązał sznur, wszedł do środka, usiadł na siedzeniu, na którym trzymała nogi, odepchnął się od brzegu, umieścił wiosła w dulkach i popłynęli. Ebony czuła pociągnięcia wiosel i kołysanie, słyszała stukanie i skrzypienie wiosel, szmer wody, zobaczyła masywne uda sir Aleksa, barki i szerokie ramiona pochylone w rytmicznym ruchu, a także profil, gdy spojrział w bok, manewrując łódką od brzegu. Wyglądało na to, że w tym też jest dobry.

- Idź stąd! - wrzasnęła. - Zostaw mnie w spokoju, niech cię diabli! - Nie mogła wgramolić się na ławeczkę, gdyż całą wolną przestrzeń zajmował sir Alex, który unieruchomił nogi Ebony. Nie zwracając na to uwagi, wiosłował, jakby jej tu nie było, i szybko oddalał się od brzegu.

Dogłębnie upokorzona i wściekła, przypuściła słowny atak na każdy aspekt wyglądu królewskiego oficera, charakter, intencje, czyny i występki, znane i wyobrażone, jego zdolności do czynienia łajdactw i braki w szlachealnych dziedzinach, co, mówiąc delikatnie, stawało się coraz bardziej chaotyczne, w miarę jak odległość od zamku się zwiększała. Gdyby ktokolwiek inny obrzucił go choć częścią obelg, którymi obdarowała go bezradna u jego stóp Ebony, najpewniej by go zabił. Ona jednak nie dbała o nic. A on, zrozumiałwszy w końcu, jak cienka jest granica między smutkiem a wyleczeniem, pozwolił, by wymyślała mu dalej. Wreszcie głos odmówił jej posłuszeństwa. Byli wtedy już na środku jeziora, skąd rysował się złowrogi kontur zamku na tle burzowego nieba, a na brzegu widać było jakieś niezidentyfikowane zwierzę czekające na powrót swego pana.

Odłożywszy wiosła, sir Alex pomógł Ebony wyprostować się, wyciągając ją z wody znajdującej się na dnie łodzi i sadzając mokrą pupą na ławeczce naprzeciwko niego. Zdjął skórzany kaftan i okrył nim jej ramiona, nie reagując na pełne jadu opinie o jego zapachu, dotyku, podejrzanym pochodzeniu, za to zauważając chropawość głosu, wyczerpanego napadem intensywnych uczuć.

- Nienawidzę cię, panie! - krzyknęła resztką sił, po czym zamilkła na moment, by dojść do siebie. Czuła jednak niepokój i piekący ból nowych pragnień, które przedtem nie miały miejsca w jej niespełnionym życiu.

Oparł ręce na kolanach i poświęcił jej całą uwagę, kiedy wylewała z siebie rozpacz dotyczącą niemożności udzielenia pomocy Meg i złość z powodu jego ingerencji w oświadczenia Davy'ego Moflfata. Milczał, dopóki nie oskarżyła go o to,

że wykorzystał Sama jako źródło informacji. Dopiero wtedy zaczął się bronić. -

- Och, nie - powiedział, sprawiając, że podskoczyła na dźwięk jego głosu. - Och, nie moja mała. Nie musisz wciągać w to dziecka. W najmniejszym stopniu nie ucierpiał, odpowiadając na kilka nieszkodliwych pytań. Był bardzo dumny, kiedy mi objaśniał, kim są poszczególni ludzie i poprawiał, gdy się myliłem.

- Skąd, panie, możesz wiedzieć, w jaki sposób myśli sześciolatek? - wychrypiąła. - Co w ogóle wiesz o dzieciach? Czy widzisz się z dziećmi, któreś spłodził?

To pytanie bardzo go zaskoczyło.

- Nie... w każdym razie niezbyt często. - Przeniósł wzrok na ciemniejszą taflę wody. - Nie dość często.

- W takim razie proszę nie posługiwać się moim dzieckiem jak pionkiem w swoich grach dla dorosłych. Jest za mały, by zrozumieć, że nagi mężczyzna w moim pokoju to... - Przytknęła dłoń do warg. Wiedziała, że zwała na niego całą odpowiedzialność, choć sama była współwinna, a on pozwala jej na to, by uspokoić jej wyrzuty sumienia.

- Oczerniłeś mnie, panie nie tylko w oczach Sama, ale także w oczach naszych gości - szepnęła. - Prosiłam, byś wyjaśnił Davy'emu, że był to niestosowny żart, lecz puściłeś to mimo uszu, a teraz on obwieścił wszem i wobec, że jestem rozpustnicą. I Meg też. Jakim cudem zdołamy bez jego pomocy oczyścić imię sir Josepha? A czy pomoże mi odnaleźć moją matkę tak jak obiecał? Och, po co pytam, przecież doskonale znasz odpowiedź! To przez twoje haniebne postępowanie przepadły nasze wszystkie nadzieje! - krzyknęła z rozpaczą.

- Moja biedna mama...

- Opowiedz mi o niej - poprosił cicho. - Co się stało?

Z wahaniem wyjawiała całą historię. Choć minęły dwa lata całkowitego milczenia, wciąż nie potrafiła uwierzyć w śmierć matki, lecz niewiedza była gorsza od najczarniejszej prawdy. Lady Jean odwiedziła Ebony tylko raz od jej wejścia do rodziny Moffatów, zajeżdżając na krótko na urodziny i chrzciny Sama. Od tamtej pory przysłała wiele listów i prezentów, kocyki dla dziecka, srebrną grzechotkę, chodzik mający ułatwić mu pierwsze kroki. Jednak po napadzie i zniknięciu lady Jean, wszelki śluch o niej zaginął. Jej ostatni list był pełen smutku z powodu śmierci Robbiego. Pisała w nim, że przyjedzie z wizytą tak szybko, jak będzie mogła, lecz nigdy się nie zjawiała.

- A co ty myślisz o jej zniknięciu? - spytał łagodnie. - Wierzysz, że żyje?

- Tak... Może ktoś ją więzi przez te wszystkie lata? Może jest chora? Wciąż jednak żyje. Musi żyć. Jestem pewna, że wiedziałabym, gdyby ona...

- Ciii, dziecinko. Dość już. Wracamy do zamku. - Otworzył skózaną sakwę przy pasie, coś z niej wyciągnął i podał jej. - Proszę, należy do ciebie. Schowaj go do sakiewki.

- Co to jest?

Położył klucz do komnaty na jej wyciągniętej dłoni.

- Korzystaj z niego wedle życzenia. Umowa już nie obowiązuje.

Poczuła głuche dudnienie w piersi na widok trudnego do odczytania przesłania płynącego z jego przenikliwych błękitnych oczu.

- Chcesz, panie, powiedzieć...?

- Tak, jesteś wolna i bezpieczna. Nie musisz się już niczego obawiać.

-A Sam?

- Nie zabierzemy go. Nie potrzebuję zakładnika.

Próba czytania w jego oczach nie była łatwa. Najbardziej osobiste przesłania sir Alex przekazywał bez słów i niemal niedostrzegalnie. Mężczyźni bywali źli, oficjalni albo kryli się za żartami, ale w błękitnych oczach pojawiło się coś innego. Nie potrafiła odgadnąć, czy to litość, czy czułość, czy po prostu koniec zainteresowania jej osobą, co symbolizował zwrot klucza.

Umieściła go w sakiewce, zaskoczona, że sir Alex zmienił zdanie. Wiele razy przecież zapewniał, że jej zobowiązania nie będą krótkotrwałe. Widać raz mu wystarczył.

- Dziękuję. Czy to zostanie między nami? Sekret? Wolalbym, żeby Meg o niczym nie wiedziała...

Czułość, jeśli to była czułość, już znikła, a on ponownie chwycił za wiosła.

- To sprawa między tobą a nią. Mężczyźni, którzy trzymają straż na twoich schodach, nie są ślepi i głusi. Wiedzą, kto przychodzi i odchodzi, a mały Sam...

- Tak... W porządku, nie musisz, panie, mówić nic więcej. Prosiłam tylko o to, żebyś się tym nie chwalił, ale jak rozumiem, wymagam zbyt wiele. Podboje miłosne są dla ciebie, jak mniemam, niewyczerpanym źródłem przechwałek, żartów i wesołości.

Jego uśmiech zdawał się potwierdzać jej obawy, że ich historia jest dla sir Aleksa tylko jednym z licznych epizodów, a urok nowości już minął. Może to oznacza, że królewski oddział wkrótce wyruszy do Newcastle?

- Kolejnym źródłem rozbawienia, moja pani, będzie atak na zamek - powiedział pogodnie, mocno pracując wiosłami. - Prawdopodobnie nastąpi w ciągu najbliższych kilku dni, a więc jeśli planowałaś podróż do Carlisle, to radziłbym

na jakiś czas się wstrzymać. Będiesz, pani, bezpieczniejsza za murami niż na drodze.

- Atak? Mówisz, panie, poważnie?

- Śmiertelnie poważnie.

- Kto nas napadnie?

- Och. - Znów wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Zdaje się, że wiemy, kto będzie za tym stał. Trwają przygotowania do obrony. Proszę się nie niepokoić. Będiesz, pani, całkiem bezpieczna, jeśli zostaniesz w zamku.

- A więc pana dochodzenie dobiegło końca?

- Z pewnością mamy jaśniejszy obraz sytuacji niż przed dwoma dniami. Kiedy wrócimy do zamku, proszę dołączyć do nas wraz ze szwagierką i przejrzymy dokumenty w kasecie. Może będziecie mogły rzucić nieco światła na kilka niejasnych kwestii.

- Zapominasz, panie, że próbujemy udowodnić jedno, a wy coś wręcz przeciwnego. W jaki sposób to spotkanie miałoby nam pomóc?

- Znów wyciągasz pochopne wnioski. To jedna z twoich słabości. Nie odprawiłbym Moffata tak szybko, gdybym nie był przekonany, że nie będziesz miała z niego najmniejszego pożytku. Doskonale wiedziałem, że nie ma zamiaru ci pomóc, tylko zaszkodzić. Podczas gdy on bawił tutaj, posłałem ludzi, aby przeszukali jego dom w Dumfries. Rzucili też okiem na jego piwnice. Ciekawe będzie posłuchać, co znaleźli, ale równie ciekawe, co zrobi, kiedy to odkryje... Przecież oboje chcemy poznać prawdę, czyż nie? Mój oficerski żołd jest zawsze taki sam, nie dostaję więcej za udowodnienie, że ktoś jest zdrajcą niż za udowodnienie jego niewinności.

Zaczynała dostrzegać nowe jego cechy, a prawdę mówiąc, zalety. No tak, grubo przesadziła, mówiąc to, co powiedzia-

ła w chwili gniewu. Z kolei on nazwał ją popędliwą, teraz dostrzegł kolejną słabość, ale czy równie pochopnie nie wyciągnął pewnych wniosków?

Wielkie stopy w długich skórzanych butach po obu stronach jej stóp mocno napierały na żebrowanie łodzi, sprawiając, że jej myśli wbrew woli pobiegły do bardziej miękkiego i cieplejszego miejsca, gdzie ich nogi nie były tak odległe, a on prowadził ją i kierował nad podziw umiejętnie.

Powoli, starając się, by tego nie dostrzegł, pobiegła wzrokiem nad kolana, gdzie dostrzegła wypukłość...

Gdy wreszcie uniosła głowę, zobaczyła, że wpatruje się w nią, czytając w jej myślach. Kiedy jednak próbowała odczytać jego myśli, uświadomiła sobie, że wyszła z wprawy. Przez resztę drogi nic nie mówili, pogrążeni w zadumie. W końcu, kiedy zbliżyli się do brzegu, przerwała milczenie:

- Skąd wiedziałeś, panie, gdzie mnie znaleźć? Czy ktoś ci powiedział?

Wciągnął wiosła i pochylił się ku niej, mówiąc powoli:

- Nie zamykam oczu, kiedy wymachuję mieczem, dziecinko. Muszę widzieć, co robię. - Jego odpowiedź była jak najbardziej sensowna, jednak ona odniosła wrażenie, że nawiązał do czegoś całkiem innego.

W przepelnionych wściekłością poleceniach Meg kryło się coś więcej niż to, że uniemożliwiono jej pomoc Ebony w ucieczce przed sir Aleksem. Był tam też strach. Na szczęście jej szwagierka nie była świadkiem tego, jak pan Leyland próbował się do niej zbliżyć, nie była także ostatniej nocy przy drzwiach jej komnaty, kiedy ją pocałował. Biorąc pod uwagę zdenerwowanie całym dniem, tanto potknięcie dało się jednak usprawiedliwić, natomiast z jej rozmowy z Ebony

tego ranka wynikało, jak ważne jest, by ich zachowanie było teraz bez zarzutu i żeby wszyscy tak to postrzegali. Najmniejsze nawet ocieplenie stosunków, nie mówiąc o kapitulacji, mogłoby być potraktowane jako zdrada ich sprawy, jako osłabienie determinacji w dążeniu do udowodnienia lojalności sir Josepha wobec króla. Nie można zrobić czegoś takiego, bratając się z wrogiem. To dlatego Ebony uciekała przed sir Alekssem. Nie zamierzała uśpić swojej czujności, Meg też do tego nie dopuści.

Siła uścisku Leylanda i pewny siebie zamaszty krok podsyły jej strach, że jej niewinność, o której zapewniała zaledwie przed godziną, wkrótce zostanie poddana próbie. Walczyła w milczeniu, używając całej swojej siły przeciwko mężczyźnie, który, jakby o tym nie wiedziała, nigdy dotąd nie zetknął się z kobiecym oporem. Jednak wszystkie jej zabiegi okazywały się nieskuteczne, a nie zamierzała krzyczeć jak dziewczka z pralni. W końcu została rzucona na splechac trawy przy zewnętrznym murze zamku, gdzie krzaki żółtego ostu tworzyły osłonę tak kłującą jak ona.

Po raz pierwszy w życiu poczuła na sobie ciężar mężczyzny i żelazną siłę jego nóg oplatających jej nogi. Uparcie zaciskając powieki, próbowała uniknąć jego groźnej bliskości.

- Panie Leyland - wydyszała - to niegodne ciebie i... obraża mnie. Nie wykorzystywałbyś, panie, mnie w ten sposób, gdyby mój ojciec żył. - Przygwoździł jej ramiona, zdołała jednak jedną dłoń przesunąć do jego nadgarstka, choć palce miała za krótkie, by go objąć. - Wiem, co musiałeś sobie myśleć... po ostatniej nocy... że jestem chętna... ale nie jestem. Byłam zdenerwowana. Byłam wdzięczna, że mi pomogłeś, ale twój pocałunek nic dla mnie nie znaczył. Pro-

szę... proszę mnie puścić! - Kiedy otworzyła oczy, odkryła, że jego twarz jest śmiertelnie poważna.

- Spokojnie, mała złośnico. Niczego takiego nie pomyślałem. Nie chciałem obrazić cię tym małym pocałunkiem, a potrafię rozpoznać, kiedy kobiecie na mnie zależy.

W jej głosie wezbrała panika. Co jak co, ale na pewno nie chciała pokazać, że jej na nim zależy.

- Nic do ciebie nie czuję, panie, jak i do nikogo. Dopiero co straciłam ojca. Myślisz, że nie mam nic innego do roboty? Jesteś arogancki... i uosabiasz, wszystko to, czego nienawidzę u mężczyzn, sir.

- A co najbardziej u nich lubisz?

- Dystans. W pańskim przypadku parę mil. Proszę ze mnie zejść!

- Zrobię to - uśmiechnął się - za opłatą.

Odwróciła głowę, by uniknąć jego oczu, które z pewnością potrafiłyby odgadnąć, kiedy kobieta kłamie, jak również kiedy mężczyzna jej się podoba. Nie dopuści do tego, by się dowiedział, że pół nocy leżała bezsennie, bo pozwoliła mu się pocałować. Wyrzucała sobie głupotę i skandaliczną bezwolność w ramionach tego zarozumialca. Cóż, w ogóle się nie opierała... Za żadną cenę nie odwoziliaby go przed powrotem do kuzynki Jennie, ale nie ośmieliłaby się też udawać przed sobą, że wpadła mu w oko bardziej niż połowa młodych kobiet w Szkocji. Była pewna, że nie pierwszy raz tak oczarował kobietę jednym pocałunkiem.

- Panie Leyland, dla ciebie to niewątpliwie zabawna gra, ale ja jestem cnotliwa i rozdawanie łask tak swobodnie, jak robicie to ty czy moja kuzynka Jennie, nie wchodzi w grę. Pogardzam jej zachowaniem.

- Ja też, pani.

Była pewna, że się z niej naigrawa, a jej ból był tym większy, że nie mogła ufać własnemu sercu.

- Oczywiście wierzę ci, panie. A teraz proszę pozwolić mi odejść, proszę...

- Proszę mi później przypomnieć, żebym opowiedział ci, pani, dlaczego pani Jennie pognała stąd z samego rana jak giez do krowiego placka. Teraz jednak wolałbym porozmawiać o kimś, kto jest mi bliższy. Dla mnie to nie jest tylko zabawna gra. To wcale nie jest gra, Meg.

- W takim razie proszę położyć rękę na sercu i powiedzieć mi, że nigdy dotąd nie wymusił pan pocałunku od panny.

- Proszę w takim razie puścić moją rękę.

- Oto ona.

- Z ręką na sercu przysięgam, że nigdy dotąd nie wymusiłem pocałunku od żadnej panny. Wymieniałem pocałunki i nigdy mi nie odmawiano, ale też do tej chwili nie pytałem o pozwolenie.

- W takim razie dlaczego ja? Bo jestem córką lairda?

- Bo to jedyny sposób, w jaki mogę go dostać, chyba że znów zaniosę cię całą we łzach do twojej komnaty. I ponieważ nie wierzę, że mogłoby się to zdarzyć dwie noce z rzędu, a ja nie chcę czekać ani chwili dłużej. I ponieważ jesteś najpiękniejszą, o opalowych oczach, władczą, złośliwą, kipiącą z wściekłości małą jędzą, jaką kiedykolwiek w życiu widziałem. Jestem zadurzony, Meg Moffat. Zadurzony. Spytaj kogokolwiek, czy kiedyś widział mnie w takim stanie. Oczarowany, tak. Zajęty kimś, być może, ale nigdy zadurzony. I nie, nie zamierzam cię zniewolić. Proszę tylko o pocałunek, żeby nie zwariować, to wszystko.

- I myślisz, panie, że to najlepszy sposób, by się do tego zabrać, tak?

- Jedyńy sposób, dziewczyno. Czy mogłabyś przez chwilę się nie ruszać?

- Nie, nie mogłabym!

- Widzisz więc. Wiedziałem o tym. A więc?

- Więc co?

- Więc teraz pozwolisz mi dokończyć to, co przerwaliśmy ostatniej nocy.

- Panie Leyland, jesteś tutaj tylko dlatego, że załatwiasz sprawę w imieniu króla. Nie jestem twoją przyjaciółką, a ty moim przyjacielem, i nigdy nim nie będziesz. Za dzień czy dwa odjedziesz na zawsze, zadurzony czy nie, a jedyne, co jestem skłonna dać ci za to, że wątpisz w lojalność mego ojca wobec króla Roberta, to elementarna gościnność, skoro przy tym jesteśmy. To i tak więcej, niż zasługujesz, i więcej, niż dostałbyś, gdyby on tu był osobiście. Jeśli chcesz, panie, skraść mi pocałunek, nie mogę cię powstrzymać, ale proszę nie oczekiwać, że padnę ci do stóp i będę błagać o więcej, bo nie będę. Teraz, jeśli to jedyńy sposób, byś pozwolił mi odejść i zająć się moimi sprawami, proszę się pośpieszyć, bo w przeciwnym razie zadam panu parę niewygodnych pytań.

- Okrutna dziewczica.

- Proszę zostawić moje dziewictwo w spokoju, jeśli łaska.

- To będzie trudne, ale spróbuje.

Wesoły uśmiech Leylanda omal nie zmiękczył jej kolan, a oczy same jej się zamknęły, całkiem wbrew jej zamiarom. Jego pocałunek ostatniej nocy był jej pierwszym miłosnym pocałunkiem. Wcześniej co poniektórzy przyjaciele jej ojca zazwyczaj przedłużali zwyczajowego całusa przy powitaniu czy pożegnaniu w nadziei, że przypadną jej do gustu. Jednakże jego usta były inne. Szerokie i ładnie wykrojone, stanowcze i męskie. Po doświadczeniu ostatniej nocy żalowała,

ze złość nie pozwoliła jej cieszyć się ich zuchwałością. Co za strata, pomyślała później. Czy spróbuje ponownie?

Tym razem jego pocałunek był jak mignięcie nieba. Czują i pełen życia, z cudowną lekkością nakłaniał do odpowiedzi, choćby pełnej wahania i nieporadnej. Meg spodziewała się, że ich nosy zderzą się albo że będzie musiała wstrzymywać oddech, lecz nagle uświadomiła sobie, że w ogóle zapomniała o oddychaniu. Jego usta sprawiły, że coś zadrżało w niej. Uniosła ramiona i uczepliła się go kurczowo, smakując podniecający ucisk. Nie była to cena, którą spodziewała się zapłacić, bo pierwszy pocałunek przeszedł płynnie w następny, a ona wcale nie wzdragała się przed jego wyjątkową długością, skoro kosztowało ją to tak niewiele.

Ujął jej twarz, a Meg tak długo, jak jego wargi dotykały jej warg, nie opierała się, ale potem przesunął rękę niżej i niżej... To ją ocuciło. Przerażona złapała Leylanda za nadgarstek.

- Nie! - wydyszała, czując ciepło rozchodzące się po całym ciele. - To nie... - Głos jej drżał.

- Nie - powiedział łagodnie. - Nie godziliśmy się na to? Szkoda. - Jego usta czule bawiły się jej ustami. - Czyżby to była łza? Ciii. Nie zrobię ci krzywdy, słodka Meg. Chcesz, żebym przestał?

Ocierając łzę, kiwnęła głową.

- Rękę też mam zabrać?

Poczuła nagły chłód, wywołany poczuciem winy.

- Proszę pomóc mi wstać, panie Leyland. Muszę wracać. - Po tych słowach zamilkła, co było dość niezwykle jak na kogoś, komu nigdy nie brak słów. Starła się też nie patrzeć na niego, kiedy pomagał jej stanąć na nogi, choć czynił to z o wiele większą dwornością niż wcześniej pomagał jej stracić równowagę. Nie chciała spojrzeć na mężczyznę,

przez którego rozstała się ze swoimi zasadami i który wiedział o tym. Mogła się domyślić triumfu, który na pewno odbijał się na jego twarzy.

Obawiała się, że będzie mówił bez przerwy i chełpił się albo żartował z niej, ale ku jej uldze po prostu milczał, a niespodziewana cisza całkowicie przytłumiła jej ciekawość, co stało się z kuzynką Jennie.

- Nie chcę, aby ktokolwiek o tym wiedział, a zwłaszcza lady Ebony - powiedziała Meg, patrząc na małą łódkę daleko na jeziorze. - Byłaby na mnie wściekła.

- Jesteś tego pewna, pani?

- Całkowicie. Wdowa po moim bracie jest o wiele silniejsza niż ja.

- W takim razie ode mnie nic nie usłyszysz, obiecuję.

- Dziękuję. - Odchodząc, pomyślała, że jeśli właśnie tego brakowało Ebony po śmierci Robbiego, to nic dziwnego, że czuła się samotna.

Zarówno Ebony, jak i Meg nie były w stanie aż do wieczery spotkać się z Aleksem i Leylandem, by porozmawiać o zawartości kasetki. Dopiero pod wieczór ich zapłakane twarze znów przybrały normalny wygląd. Meg wyjaśniła szwagierce, że płakała, bo jeden z młodych łabędzi został porwany przez wydrę, ale była zawstydzona swoim kłamstwem i zszokowana wyglądem Ebony.

- Co się stało? - spytała, zamykając drzwi komnaty za Biddie i Samem. - Czy ci się narzucał?

- Nie, naturalnie że nie - odparła Ebony, próbując obrócić wszystko w żart. - W łódce? Meg... Nic się nie stało. Chciał porozmawiać, a ja nie chciałam, to wszystko.

- A więc nie rozmawiałaś z nim.

- Tak, rozmawiałam, ale ta rozmowa zdenerwowała mnie. Nienawidzę tego człowieka. Chciałabym, żeby stąd wreszcie wyjechali.

Skonsternowana Meg przestała naciskać. Bała się, że Ebony będzie potem wyciągać informacje od niej. Ich późniejsze spotkanie z dwoma wstrętnymi osobnikami było jednak zdecydowanie mało entuzjastyczne, i mimo zaskakujących odkryć, dających powód do świętowania, porzuciły ich towarzystwo tak szybko, jak się dało. Poszły szukać spokoju w komnacie Meg.

Jak tylko do niej dotarły, objęły się, tłumiąc łzy ulgi.

- To Davy - powiedziała Meg. - Przekłęta, podstępna, nieuczciwa gadzina. Jak mógł zrobić to mojemu ojcu, wykorzystać jego nieświadomość, fałszować podpis i poczynąć sobie swobodnie z jego pieczęcią? Jak mógł? I pomyśleć, że chciałam, żebyś za niego wyszła, Eb! Tak mi przykro, kochanie. Dzięki Bogu, że tego nie zrobiłaś.

Gdy tylko Meg wyjaśniła, że sir Joseph nie umiał się podpisać i nie był w stanie przeczytać tego, na czym jego bratunek stawiał pieczęć Moffatów, obraz stał się jasny. Oczywiście też stała się potrzeba Davy'ego, aby przejąć pieczęć, którą miała Ebony i bez której nie mógł doprowadzić transakcji do końca. Podczas dochodzenia w sprawie cennych kuców galloway, które było powodem ich przyjazdu, odkryto rachunki za ziarno, broje i broń, które Davy, a nie sir Joseph, sprzedawał każdemu, kto mógł za nie zapłacić. Szkotom i Anglikom. On i zarządca majątku zabierali zyski, o których sir Joseph myślał, że idą do jego skarbcza, z transakcji, które wspomagają wojny króla Szkocji.

Jedno z pytań, które jeszcze nie doczekało się odpowiedzi, dotyczyło pochodzenia dóbr, które znajdowały się w piw-

nicach zamku Kells. Davy Moffat miał licencję jedynie na handel winem, nie miał też żadnych statków handlowych, jak sądził Geordie Boyd. Czyżby przemycał towar? A może w grę wchodziło piractwo? Sir Joseph był zachłanny i bezlitosny i za bardzo ufał bratankowi. Był zbyt naiwny, by zdać sobie sprawę, że jego piwnice są wykorzystywane, żeby odsunąć podejrzenie od Davy'ego. Okazał się zbyt niekompetentny, by stwierdzić, że niektóre z jego koni są sprzedawane po niewłaściwej stronie granicy, ale nie był zdrajcą. Jednakże urządzał wyprawy łupieżcze przez granice i przyprowadzał konie, z których niektóre zostały wcześniej zabrane jego sąsiadom przez Anglików. Co więcej, zamiast zwracać je prawowitym szkockim właścicielom, sir Joseph żądał pełnej opłaty. To właśnie ta nieżyczliwość wobec sąsiadów najbardziej rozsierdziła jego tak zwanych przyjaciół, którzy na stybie ujawnili swoje niezadowolenie/Sir Alex oświadczył, że on i jego ludzie pozostaną w zamku trochę dłużej. Wprawdzie sir Joseph wymknął się karze, ale konie muszą zostać zwrócone właścicielom i użyte przeciw wrogowi, a występki Davy'ego Moffata zostaną zbadane do końca. Był pewien, że zostało jeszcze coś do odkrycia.

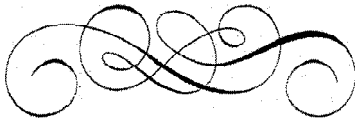
Ebony i Meg nie wiedziały, jak zniosą przedłużający się pobyt królewskich oficerów. Wobec tego brzemienia zgodziły się, że groźba utraty zamku wydaje się mniej ważna.

Gdy wszystko pograżyło się już w ciemności i ciszy, Ebony siedziała, patrząc na śpiącego Sama, ponownie analizując prawdziwe motywy Davy'ego Moffata, który tak desperacko chciał, by za niego wyszła, nie mówiąc o jego wścikłości, kiedy powiedziała, że tego nie zrobi. Słowa sir Aleksa o spodzie-

wanym napadzie zaczęły nabierać sensu. Davy Moffat nie był takim nowicjuszem w wojaczce, za jakiego chciał uchodzić.

Skinąwszy głową strażnikom na schodach, weszła do swej komnaty i zagrzechotała kluczem, zupełnie jakby zamykała drzwi. Dopuszczała się tego drobnego oszustwa ze względu na Sama. Nawet jeśli tego dnia poruszono inne sprawy, jeden duży problem został rozwiązany. Poczowała ulgę, pustkę i... dręczący brak odpowiedzi na pytanie, dlaczego zainteresowanie sir Aleksa tak szybko ostygło. Czy miało to coś wspólnego z jej pragnieniem, by zachować swoje sny w sekrecie, udawać, że ich bohater był anonimowy albo, co gorsza, że to Robbie? Pewnie sir Aleks uważał, że całe to udawanie jest zarówno głupie, jak i niepotrzebne, w przeciwnym razie nie zostałby do świtu i nie ryzykował, że ktoś go zobaczy. Delikatnie żartując, próbował o tym rozmawiać, a ona, jak wariatka, wciąż nękana poczuciem winy, udawała, że to sen. A może była to duma?

- Robbie? - szepnęła, nie było jednak odpowiedzi, tylko odgłos deszczu uderzającego o okiennice i pamięć jej krzyków, kiedy ciało odpowiadało na napór słodkich pieśczoł. Jak mogła udawać, że Robbie ma z tym coś wspólnego, skoro to porównanie było kompletnie pozbawione sensu? I jak mogła iść teraz do sir Aleksa i oddać mu się, skoro uznał, że co za dużo, to niezdrowo? Poza tym w końcu weźmie swoich ludzi i odjedzie, a ryzykowanie ciąży byłoby czystym szaleństwem. Jednak w samotności nocy była przepelniona czujną tęsknotą, która sprawiła, że zaczęła się zastanawiać, czy szaleństwo nie byłoby lepsze od życia wypełnionego pustką nie do zniesienia, pustką, w której miłość do Robbiego straciła jakiegokolwiek znaczenie.



Rozdział ósmy

Komnata gościnna nad spizarnią stała się teraz kwaterą główną królewskiego oddziału. W zaciszu i wygodzie układano tu plany, co było miłą odmianą po wrzosowiskach czy leśnych ostępach. Sir Alex leżał na łóżku z rękami złożonymi pod głową. Był całkiem ubrany, jedynie buty zostawił na podłodze. Gapił się na sklepienie, nie dając swemu przyjacielowi i powiernikowi żadnej wskazówki, czy słyszał jakże mądre, a zarazem absolutnie niechciane rady dotyczące jego życia intymnego. Kończący się dzień był bogaty w wydarzenia.

- Słyszałeś choć słowo z tego, co powiedziałem? - spytał Hugh, rozprostowując nogi na futrzanej narzucie.

- Większość - odparł Alex. - Swoją drogą, jak to się stało, że tak dobrze znasz się na wdowach?

- Nieważne. Rzecz w tym, byś się nie spodziewał, że ona na tym etapie podejmie racjonalne decyzje. Jak myślisz, dlaczego rano tak przed tobą uciekała? Bo nie potrafi sobie wytłumaczyć, co czuje.

- Mówiłem już, dlaczego przede mną uciekała, ale mnie nie słuchałeś - powiedział Alex z nutą irytacji w głosie. -

Nie dlatego, że nie chciała rozmawiać, tylko dlatego, że wspomniałem o ostatniej nocy. Najwyraźniej nie jest w stanie zmusić się do tego, by przyznać, co się dzieje.

- A więc po co o tym wspomniałeś, głupcze?

- Bo pomyślałam, że mogłaby w końcu, po... - Urwał gwałtownie.

- Po tym, jak ci się oddała?

-Tak.

- A w łodzi rozmawiała?

- Nie o tym. W ciągu dnia, jak tylko mnie zobaczy, nie dopuszcza mnie do siebie. Nawet mnie nie lubi. Zupełnie jakby on wciąż jej towarzyszył, obserwując ją i powstrzymując.

- Poczucie winy - zawyrokował Hugh.

- Na litość boską, człowieku, przecież minęły trzy lata! Chodzi o coś więcej. Jestem pewien. Może to miejsce. Wszędzie wspomnienia. Ludzie, którzy jej go przypominają. Czas, żeby stąd wyjechała. Potrzebuje drugiego dziecka.

Hugh dyskretnie uniósł brwi.

- Cóż, akurat w tym chyba może liczyć na twoją pomoc.

- Problem polega na tym, Hugh, że nie będzie chciała mojego dziecka, dopóki nie przekonam jej, by przestała rozpałmiętywać przeszłość. W ciemnościach mnie akceptuje, ale za dnia jestem dla niej zagrożeniem. Jak my wszyscy.

- Nawet teraz, kiedy znaleźliśmy winnego?

- Ona oszukuje swoją szwagierkę. Nie wierzy, że panna Meg pochwali to, na co sobie pozwoliła. Są sobie bliskie, ale mają fałszywe pojęcie o sobie nawzajem, a lady Ebony obawia się, by nie zorientowano się, że czuje sympatię do mężczyzny, który w imieniu króla zamierza pozbawić je dachu nad głową. Wiesz tak samo dobrze jak ja, że król nie pozwoli Angielce zatrzymać zamku, nawet jeśli jest opiekunką mło-

dego lairda. Ona wierzy, że mógłby jej na to pozwolić, ale tak się nie stanie. To za bardzo ryzykowne. Chyba żeby poślubiła Szkota.

- I teraz wchodzisz ty? - Gdy Alex milczał uparcie, Hugh niemal zawołał: - Alex?

- Słucham.

- Małżeństwo?

- Trzymałem dzieciaka tego ranka, tak blisko, jak trzymałem ją, i to dało mi do myślenia.

- Chodzi o Nicholasa?

- Jest mniej więcej w tym samym wieku. Czas, bym znów go zobaczył.

- Zobaczysz go w drodze do Newcastle.

- Wcześniej. On potrzebuje matki, a ja żony. - Jak sprężyna podskoczył w łóżku i usiadł, głowę ukrył w dłoniach. - Pragnę jej - powiedział ochryple. - Chcę jej. Boże, jak ja jej pragnę, Hugh.

Przyjaciel również się wyprostował, zdumiony tym niecodziennym widokiem.

- Jesteś zakochany - skonstatował. - Na wszystkich świętych, człowieku, jesteś zakochany. Cóż, teraz jest nas dwóch. Wreszcie nas dopadło. Zasłużyliśmy na to, jak przypuszczam.

-Ty też?

- A jakże. Mam bzika na punkcie Meg. To poważna sprawa. Musisz zacząć, działać. Chodzi o coś więcej niż stan twojego serca. Jeśli ona nie akceptuje cię za dnia, powinieneś kontynuować wasze nocne spotkania, aż będzie w stanie to zrobić. Trzeba postępować ostrożnie, pamiętaj. Te sprawy zajmują czas, Alex, a my nie możemy zostać tu na zawsze.

- Zamierzałem czekać, aż ona wykona następny ruch.

- A niech to, gdzie się podział twój rozsądek? Nie mo-

zemy sobie pozwolić na długie czekanie. Ona jest dumna. Ma zamęt w głowie i boi się, zwłaszcza że może zostać sama z dzieckiem z nieślubnego łoża. A ty chcesz, żeby ona przybiegła do ciebie. Zapomnij o tym, przyjacielu. Nie zrobi tego za tysiąc lat, jeśli nie jest w stanie przyznać, że żywi do ciebie cieplejsze uczucia. Musisz cały czas okazywać jej, że ją rozumiesz, nawet jeśli tak nie jest, i że zależy ci na niej.

- Tak. Masz rację.

- A więc o czym mówiła w łodzi?

Uśmiechając się z zakłopotaniem, Alex przejechał dłonią po twarzy, zupełnie jakby budził się ze snu.

- To nie były komplementy, przyjacielu. Poza tym bardzo martwi się o matkę. Może będziemy musieli się za nią rozzejrzeć.

- Tylko tego nam brakowało. - Hugh podszedł do okna, a jego bystre oczy przepatrywały pograżający się w mroku dziedziniec. - A zanim wyruszymy na poszukiwanie, co stanie się na zamku Kells? Napad nie nastąpi dziś, jak przypuszczam.

- Nie, dopóki wszyscy goście nie wyjadą. Może jutro. Przyjrzałem się z jeziora linii wybrzeża i zauważyłem przesmyk, którego stąd nie widać. Prowadzi do ściany skalnej. Ją też obejrzałem i odkryłem, że to właśnie tamtędy towar dociera do zamku, a później znika z piwnic pod wielką salą. Tam jest tunel, Hugh.

- No, no! A więc tam zaatakują, by zabrać resztę uzbrojenia. Im wcześniej, tym lepiej.

- Dobrze, ale nie możemy zabrać klucza zarządcy przed świtem, dopóki Geordie Boyd nie zabierze ładunku, bo w przeciwnym razie domyśli się, że o tym wiemy. A więc o brzasku wysłamy pół tuzina ludzi na kraniec jeziora do

chaty skutnika. Jak tylko Boyd ruszy w drogę powrotną, zabiorą uzbrojenie i przywiozą je tu z powrotem. Potem aresztujemy Richiego MacNairna, zarządcę, a o zmierzchu do piwnic zejdą nasi chłopcy, którzy przechwycą każdego, kto wejdzie do tunelu.

- Dobrze. Jedna trzecia będzie czekała od strony jeziora przy zatoczce, by wyłapać resztę, a jedna trzecia będzie stała na straży. Dwóch na jednego, tak myślę.

- Tak. Nie byłbym zaskoczony, gdyby się okazało, że ten Moffat o szurzej twarzy ma coś wspólnego ze śmiercią swego wuja. Nie mogę uwierzyć, że ktoś o takim doświadczeniu jak sir Joseph wszedł do płonącego budynku. To wszystko jest bardzo dziwne.

- Myślisz, że Moffat chce przejąć zamek?

- Ożenić się z matką i prawną opiekunką nowego lairda, korzystać ze wszystkich opłat i czynszów od dzierżawców, jak też z własności lady Ebony. Byłby bardzo bogaty.

- Dopóki Sam nie osiągnie pełnoletności.

- Jeśli osiągnie pełnoletność.

- A więc obawiasz się o jego życie...

- Jeśli wpadnie w szpony Moffata, z pewnością młodo umrze.

-No tak...

- Ale zostawmy to na razie. Nie zapomnij oddzielić od stada tych dwóch kłaczy, które należą do barona. Może zabrać je rano, gdy będzie odjeżdżał.

- Dobrze. A dzisiaj?

- Dzisiaj czuwamy. A co miałeś na myśli?

Hugh uśmiechnął się szeroko.

- Coś bardziej przytulnego.

Alex padł na plecy.

- Rozumiem, że bez ostu?

Uśmiech znikł, a Hugh nagle zrobił się czujny.

-Widziałeś?

- Oczywiście, że widziałem. Byłem na jeziorze i obserwo-
wałem brzeg. Domyślam się, że panna Meg tak samo boi się
zdemaskowania jak lady Ebony. To ci dopiero parka.

- Drugiej takiej nie znajdziesz - komicznie jęknął Hugh. -
Myślałem, że nie mam szans zrobić takich postępów jak ty.

Zacznijmy od tego, pomyślał Alex, że nie zaproponowano
ci takiej umowy jak mnie.

- Nawiasem mówiąc - zauważył - mały Sam nie jest już
potencjalnym zakładnikiem.

- Och? Czy to ma coś wspólnego z tym, co odkryliśmy
w kasecie?

- Częściowo. Może też przyczynić się do poprawy naszych
stosunków z naszymi damami.

- Och, jak najbardziej powinniśmy pracować nad po-
prawą naszych stosunków z naszymi damami, przyjacielu -
stwierdził Hugh pompatycznie, nadając swym słowom swo-
isty sens. - Mógłbyś kontynuować, biorąc pod uwagę to, co
ci powiedziałem przed paroma minutami.

Nietrudno przewidzieć, że rozpoczęła się zażarta walka
między królewskimi oficerami. Zapasy zostały przerwane
dopiero przez wejście Josha, którego słowa sprawiły, że po-
czuli się jak jego wnukowie, nie jak dowódcy.

- Czy to wszystko, co macie do roboty? Myślałem, że ma-
my przygotowywać się do odparcia napadu.

Następnego ranka była niedziela. Myśli o tym, jak wyplą-
tać się z tej najnowszej fazy życia, musiały spaść u Ebony na
drugie miejsce, bo pacjenci potrzebowali jej opieki. Dolegli-

wość brata Waltera, o której myślał jak o zwykłym katarze, doprowadziła do tego, że podczas porannych modłów w kaplicy niemal stracił głos. Ebony postanowiła zaaplikować mu skuteczniejszą kurację niż napary z nawłoci. Janet była cała rozgorączkowana po krępującym epizodzie na stypie, a teraz baron Cardale prosił ją o wybaczenie z tak żalną szczerością, że nie wiedziała, co o tym myśleć. Ani Ebony, ani Meg nie chciały jej niczego podpowiadać, zanim nie dowiedzą się czegoś więcej. Tu był potrzebny środek uspokajający.

We wschodniej wieży garstka rannych mężczyzn szybko dochodziła do zdrowia. Niektórzy byli nawet w tak dobrym stanie, że mogli powrócić do swych obowiązków, naturalnie pod nadzorem. Brat Walter czuł się jednak na tyle źle, że nie był w stanie się nimi zajmować. Ebony wzięła to zadanie na siebie, o co żaden z mężczyzn nie miał pretensji. To właśnie ód pacjentów usłyszała szokującą historię o tym, co przydarzyło się pani Jennie Cairns nocą po stypie i jak została poprowadzona siłą z powrotem do wschodniej wieży przez wzburzonego męża, który najwyraźniej został poinformowany przez Leylanda o miejscu pobytu małżonki. Kobięce piski i męskie oskarżenia dobiegały ze szczytu spiralnych schodów, a zaledwie dwie godziny po nich nastąpił hałaśliwy, odjazd. Jeśli idzie o to, kto zainicjował przygodę pani Cairns, odpowiedź była literalnie taka, jakiej Ebony mogła się spodziewać.

Poszła prosto do Meg, by wyjaśnić jej przyczyny urazy Moffatów, za co one najpewniej nigdy nie uzyskają przebaczenia. Ich zmowa z ludźmi króla zostanie potraktowana ja-; ko pewnik i nastąpi jakaś forma rewanżu. Meg zgodziła się z tym. Chociaż nie czuły żadnego współczucia dla kuzynki Jennie, która wreszcie dostała za swoje, uznały, że typo-

wo męski sposób, w jaki zneutralizowano kłopotliwą damę, ujawnił przerażającą bezwzględność królewskich oficerów, którym, jak widać, przechodzenie od idealnej dworności do brutalności nie sprawiało najmniejszych trudności. Zdecydowały, że zachowają te informacje dla siebie, co pozwoli im utrzymać w ciągu dnia zwykły chłód w stosunkach z sir Alekssem i panem Leylandem.

Jeśli zaś chodzi o Sama, to Ebony postanowiła z nim porozmawiać, chociażby po to, by uniknąć kolejnej przypadkowej uwagi w rodzaju tej, którą wygłosił wczoraj, a którą Meg litościwie złożyła na karb dziecięcej paplaniny. Jej wyrzuty zaskoczyły go, bo sztuka kłamania była czymś, czego nigdy go nie uczono.

- Nie byłem śmieszny, prawda, mamó? - spytał, kiedy Ebony poruszyła delikatny temat braku ojców. Wcześniej poskarżył się jej, że dwaj synowie wójta żartowali z niego, że ma tylko jednego rodzica, a on nie wiedział, co ma im odpowiedzieć.

W Ebony zamarło serce i w głowie rozdzwoniły się alarmowe dzwonki.

- Nie powiedziałeś im, że sir Alex był... był ze mną... w mojej komnacie, prawda?

- Nie, zapomniałem. A powinienem?

- Absolutnie nie! - Usadowiła go na poduszkach w wykuszu okiennym i przytuliła. - Synku, niektóre sprawy są bardzo prywatne i nie mówimy o nich innym ludziom. Nie dlatego, że są złe, ale musimy jedynie wybierać te, o których chcemy, by inni wiedzieli. Dlatego czasami im mówimy, a czasami o czymś nie mówimy, jeśli ta sprawa w ogóle ich nie dotyczy. Rozumiesz?

- Tak mi się wydaje, ale nie wiem, co odpowiedzieć Bar-

neyowi i Tomowi, kiedy mówią, że nie mam taty. Miałem tatę, prawda?

- Miałeś, kochanie. Był dobrym człowiekiem i bardzo nas kochał, a my kochaliśmy jego, ale nie chciałby, żebyś całe życie nie miał ojca i nie sądzę... - Przerwała w połowie zdania, nagle świadoma tego, co miała zamiar powiedzieć i pomyśleć po raz pierwszy w życiu.

- Czego nie sądzisz, mamó?

- Nie sądzę, by chciał, żebym nie miała męża - podjęła ostrożnie. - Widzisz, kobiety, które mieszkają w zamkach, muszą mieć mężów, chyba że są bardzo utytułowane. A więc kiedy Tom i Barney znów będą ci dokuczać, możesz im powiedzieć, że jak tylko znajdę dla ciebie dobrego ojca, znów będziemy pełną rodziną, jak dawniej. I żeby zachowywali się jak należy, jeśli w przyszłości chcą pracować na zamku. - Przytuliła go mocno, a jego twarzyczka rozpromieniła się w zachwycie.

- Będzie taki jak sir Alex? - spytał bez tchu. - Chciałbym, żeby był moim ojcem.

- Cóż, wątpię w to, kochanie. On ma specjalne obowiązki wobec króla i nie mieszka w jednym miejscu. Minie trochę czasu, zanim on czy pan Hugh będą chcieli się osiedlić i założyć rodzinę.

- To dlatego przyszedł do ciebie na górę, żeby cię pocieszyć po pogrzebie dziadka? Bo nie ma żony, którą mógłby pocieszać?

To przypomina, pomyślała Ebony, stąpienie po kruchym lodzie.

- Tak, pewnie dlatego.

- A więc to samo robił pan Hugh z cicią Meg wczoraj? Pocieszał ją?

- Co takiego? - Spojrzała na czubek jego głowy, gdzie jas-

ne włosy kręciły mu się jak u ojca. Pogładziła je palcem. - O czym ty mówisz, Samie Moffat?

Podskoczył i ukląkł na poduszce, zmęczony uściskami.

- Tutaj. - Wyciągnął szyję.

- Nie wychylaj się!

- Dobrze, nie będę... Oni leżeli na trawie, tam, przy murze. Tom, Barney i ja popędziliśmy za tobą, kiedy zobaczyliśmy, jak biegniesz, ale zanim dotarliśmy do furki w murze, byłaś na jeziorze. Wtedy zobaczyliśmy, że pan Hugh leży na cioci Meg i pomyśleliśmy, że lepiej im nie przeszkadzać, więc po cichu się wycofaliśmy.

- Och, Sam, kochanie! - szepnęła Ebony, marszcząc brwi. - To na pewno nie była ciocia Meg. Oni nie są najlepszymi przyjaciółmi.

- Wczoraj byli, mamó. A to była ciocia Meg, bo widziałem jej śliczne czerwone buciki. Nie jestem śmieszny - zapewnił ją. - Tom i Barney widzieli to samo.

Musiła wziąć kilka głębokich oddechów, zanim udało jej się doprowadzić głos do normalnego stanu.

- Posłuchaj, kochanie, to jedna z tych sytuacji, kiedy nie wolno ci mówić o tym, co widziałeś. Nie zawsze rozumiemy powody takich zachowań, a więc nic nie mówimy, bo to nie nasza sprawa. Nie byłoby w porządku wobec cioci Meg, gdyby czuła, że nie może nic zrobić tak, by wszyscy o tym nie wiedzieli, prawda? A więc nie będę próbowała tłumaczyć, co mogła robić, bo nie wiem. Zostawmy to i zatrzymajmy dla siebie, dobrze?

- Tak, mamó. Nie myślę, że Tom i Barney będą o tym mówić. Powiedzieli, że setki razy widzieli mężczyzn i służące, jak się całowali. - Zszedł z okna, już mniej zainteresowany tematem.

Jednak zainteresowanie Ebony nie osłabło.

- Nie pytaj też o to pana Leylanda - ostrzegła.
- Nie, mamu. Nie pytałbym żadnego z ludzi króla. Powieździeli mi, żebym nigdy nie rozmawiał o tym, co robią.
- To dobrze, kochanie.
- Mogę iść na dwór? Pan Josh ma mi pokazać, jak zdejmować skórę z jelenia.

Żałując, że pan Josh nie udziela jej ukochanemu synowi lekcji w jakimś bardziej budującym temacie, Ebony przelknęła dezaprobatę i próbowała dzielić entuzjazm syna. Zresztą kto mógł przewidzieć, co może mu się w życiu przydać.

- Czy Biddie tam będzie? - spytała, przewidując negatywną odpowiedź.

- Tak - zawołał Sam od drzwi. - Zawsze jest przy mnie, kiedy jestem z panem Joshem. Lubią się.

Dobry Boże, pomyślała, wpatrzona w zamykające się drzwi. Go, u licha, porobiło się ze wszystkimi w ciągu tego ostatniego tygodnia. Czy to wiosna?

Siedziała w oknie przez długi czas po odejściu Sama, gorączkowo myśląc o zaskakującej rewelacji, która z pewnością nie była wytworem dziecięcej wyobraźni. Trzej chłopcy nie mogli się mylić, bo ładne czerwone buciki Meg były częstym tematem żartów na zamku. No i rzeczywiście była na ścieżce, kiedy Ebony przebiegła obok niej. Później zauważyła na twarzy szwagierki ślady łez, a w jej zachowaniu pewną powściągliwość, zwłaszcza wobec pana Leylanda, na którego w ogóle starała się nie patrzeć.

Gdyby właśnie nie wygłosiła Samowi wykładu o cnotach pilnowania własnego nosa, mogłaby przeprowadzić dyskretne dochodzenie, ale po namyśle uznała, że tego nie zrobi. Jeśli Meg będzie chciała, to sama jej o tym powie.

Rankiem następnego dnia nowa wiedza Ebony o stanie serca Meg została wzbogacona, i to z pierwszej ręki. Kiedy ostatni goście wyjechali z dziedzińca stajennego obładowani beczkami z winem i dziczyzną, nikt nie wiedział, czy Janet popłakuje ze smutku, czy z ulgi. Nikt nie miał odwagi jej spytać w obawie, że usłyszy coś nieoczekiwanego. Natomiast zainteresowanie Meg baronem Cardale'em wynikało z tego, że zabierał dwie klacze sir Josepha, a nikt z nią o tym wcześniej nie rozmawiał. Ebony pomyślała, że oburzenie Meg, choć zawsze była impulsywna, tym razem przekroczyło najbardziej tolerancyjną normę. Cóż, pewnie znajdowała ulgę w niby skrywanej krytyce pana Leylanda. Brzmiało to jednak na tyle głośno i nieprzyjemnie, że wszyscy zwrócili głowy w ich kierunku. Krytyka okazała się więc publiczna.

Hugh wytrzymał atak, ale potem wyglądało na to, że nagle się nim zmęczył. Chwycił Meg za ramię i wprowadził do zamku bez najmniejszego protestu z jej strony, a przecież właśnie protestu można byłoby się po niej spodziewać.

- Dokąd on ją zabiera? - spytała Ebony, otwierając szeroko oczy. Zrobiła taki ruch, jakby chciała udać się za nimi, ale sir Alex mocno pochwycił jej ramię. - Puść mnie! - szarpała się.

- Zostaw ich samych. On wie, co robi.

- Nie wie! A ona jest moją przyjaciółką. Nie jest...

- Nic jej nie będzie, a oni nie podziękują ci za to, że biegasz za nimi jak kwoka. Chodźmy. - Rozluźnił uścisk, ale wiedziała, że ją złapie, jeśli się poruszy.

- Wiesz o czymś, o czym ja nie wiem! - zaatakowała. - Prawda?

Był najwidoczniej rozbawiony. Jego błękitne oczy były

jak okna do jego umysłu, tym razem wystarczająco jasne, by przejrzała go na wylot.

- Po prostu ich zostaw - powiedział.

Była już pewna, że sir Alex wiedział.

- A dlaczego baron Cardale zabiera te klacze? Kto mu na to pozwolił?

- Hugh, bo należą do barona. Na zadach mają wypalone jego znaki.

- Skąd więc znalazły się tutaj? - Znała odpowiedź. Kucyk Sama miał na boku literę L, chociaż pochodził ze stada zamku Kells. Nie ośmieliła się powiedzieć nic więcej, bo przyglądano się im. Odeszła, wołając na Sama i Biddie, by dołączyli do niej.

Sam ociągał się, licząc na to, że znajdzie sojusznika w sir Aleksie.

- Dokąd idziemy? - spytał, przestępując z nogi na nogę w kałuży.

- Zobaczyć łabędzie i ich młode. Pytałeś mnie o nie wczoraj, pamiętasz?

- Mamo, ale sir Alex powiedział, że będę mógł się przyglądać podkuwaniu mego kuczka.

Jego ideał interweniował.

- Idź z matką, Sam. Poszukam cię, jak kowal będzie gotowy do pracy.

Nim ich spojrzenia się spotkały, całe rozbawienie znikło i teraz wyraz jego twarzy był typowy dla rodzica cieszącego się zachwytem dziecka. Ebony nie byłaby w stanie rozmyślnie zgasić go zgryźliwymi słowami. Widziała ich szepczących do siebie w tajemnym porozumieniu. Ostatnia noc była tak pusta i tak pełna dręczących wspomnień jak poprzednia, a teraz jej ciało aż wyło z tęsknoty za kochankiem,

który nawiedzał ją w ciemności. W jej głowie panował nieopisany zamęt.

- Przepraszam - szepnęła.

Otworzył oczy szerzej.

- Za co? - spytał.

- Za to, że wczoraj obrzuciłam cię obelgami. Byłam... - Omiatała wzrokiem otoczenie w poszukiwaniu odpowiedniego słowa, ale nie potrafiła go znaleźć.

- Zdenerwowana? Już o tym zapomniałem, pani. Nie wracajmy do tego.

- Dziękuję. Biddie przyprowadzi Sama. Nie ma potrzeby, byś go szukał.

Skinął głową, ale pozostał na miejscu, patrząc, jak całą trójką przeszli przez dziedziniec stajenny.

Po upewnieniu się, że rodzina łabędzi jest w komplecie, Ebony udała się do Meg. Mimo tego wszystkiego, co powiedziała na ten temat Samowi, nie mogła się powstrzymać od wtrącenia w jej sprawy. Liczyła na to, że się dowie, co się stało po awanturze na dziedzińcu stajennym, lecz mogła darować sobie te zabiegi.

- Nic - odparła Meg pogodnie. - Zupełnie nic. Nie chciał, żeby ktokolwiek słyszał naszą rozmowę, to wszystko.

- A o czym rozmawialiście?

- Że konie należały do barona Cardale'a.

- Najwyraźniej i tak wszyscy o tym wiedzieli. Mam rację, prawda?

- Och... - Meg wzruszyła ramionami - Nie wiem. Będę szczęśliwa, kiedy ci dwaj odjadą, a my znów będziemy paniami w swoim domu. - Wzięła do ręki słoik balsamu i popatrzyła na etykietkę. - W wiosce jest kobieta z okropną wysypką, ale nie mogę do niej pójść, bo powiedziano nam,

żebyśmy zostały w zamku. Będę musiała znaleźć kogoś, kto jej to dostarczy.

To wszystko, co miała do powiedzenia, ten pokaz nonszalicji był jednak przykrywką wewnętrznego wrzenia. Pan Leyland był na nią zły, że zaatakowała go publicznie, i potraktował ją ostrzej niż ktokolwiek kiedykolwiek przedtem. To, że się bronił, nie usprawiedliwiała go. Na domiar złego, żeby pokazać jej, kto tu rządzi, pocałował ją znów w ciemnym korytarzu; tym razem bez cienia delikatności. Chodziło nie tylko o pocałunek, bo potrafił tak obejmować kobietę, że czuła się podniecająco bezbronna. Był doświadczony i za bardzo pewny siebie, a przede wszystkim nie był mężczyzną, którego jej ojciec by zaaprobował. Tak powtarzała sobie bez końca.

Niemniej kiedy przy resztkach dziennego światła ona i Ebony usiadły przy szyciu, Meg była dziwnie zamyślona. Tak bardzo, że jedna z uwag szwagierki pozostała bez odpowiedzi, a kiedy Ebony spytała, jaki dzień tygodnia będzie jutro, odparła:

- Tak, kochanie.

Ponieważ Meg, Biddie i Sam spali w komnatach wychodzących na duży dziedziniec, to oni przyszli do Ebony następnego ranka z nowinami, że nocą doszło do napadu na zamek i nie mogli spać z powodu hałasu, co niezupełnie było prawdą, niemniej dodawało dramatyzmu.

Owijając się wełnianą kapą, Ebony przyjęła na swym łóżku nie tylko Sama, ale też Biddie, Meg i Janet, nie zostawiając już miejsca dla szambelana Mornera, który, robiąc porządku w komnacie, powiedział:

- Dobrze zaplanowany. Byli świetnie przygotowani. Trzeba im to przyznać. Znają się na rzeczy.

- Są jacyś ranni? - spytała Meg. - Jeńcy? Kto to był? Miejscowi?

- Garstka zabitych - odparł bez emocji. - Ofiary to napastnicy, nie ludzie sir Aleksa. Kilku złapano. Nie ma żadnych szkód. Naturalnie kilka ran.

- Dobrze zaplanowanych ran - powiedziała cicho Ebony.

- Było jednak mnóstwo hałasu - dodała Janet.

- Nie są stąd - powiedział szambelan - ale dokładnie wiedzieli, czego szukają i jak się do tego dostać.

- Zbroje? - spytała Ebony.

- Zbroje i broń, pani. Wrócili z pustymi rękami tak szybko, jak zdołali wiosłować.

- Przybyli od strony jeziora, czy tak?

- Łodzią. Wygląda na to, że Richie MacNairn podkradał na boku. Jego też wzięli pod klucz.

- Nasz zarządca? - zdziwiła się Janet. - Och, to taki miły człowiek.

Nie powiedziała nic więcej na jego obronę, widząc zmarszczone brwi Meg. Kiedy temat został w pełni omówiony, Ebony musiała odpowiedzieć na niekończące się pytania Sama. Przespał hałas na dziedzińcu i nie mógł zrozumieć, jak po trzech latach koszmarów sennych przegapił takie epokowe wydarzenie.

- Sir Alex ich zatrzymał, prawda, mamó? Mam rację, Biddie?

- Uspokój się i włóż coś na siebie, jeśli chcesz zobaczyć nowe żrebaki.

Sam zachichotał i popędził do drzwi, które otworzyły się na oścież, zanim sięgnął do klamki. Został porwany w objęcia sir Aleksa, co sprawiło mu ogromną radość.

Na wpół uduszony dławiącym uściskiem małych ramion, sir Alex udawał, że jest bardzo niezadowolony.

- Dokąd pędzisz, golasie? - zaskrzeczał. - Czyżbyś zamierzał najpierw mnie udusić? Dzień dobry, panno Biddie. Pani. - Chwilę niósł Sama na jednym ręku. - Słyszałaś, pani, o napadzie?

Jednakże euforia Sama jeszcze się nie wyczerpała.

- Walczyłeś z nimi wszystkimi, sir Aleksie? - spytał, siadając prosto i przyglądając mu się nos w nos. - To dlatego nie przyszedłeś pocieszać mamy? Mam rację?

Wahanie sir Aleksa było dobrze ukryte, jego spojrzenie na Ebony przelotne.

- Tak, chłopcze. Przez ostatnich parę nocy byłem bardzo zajęty. Czuwałem nad bezpieczeństwem zamku.

- No tak, ale teraz jesteśmy bezpieczni i możesz przyjść, panie, i znów ją pocieszyć, jeśli chcesz. Drzwi...

- Sam! - szepnęła przerażona Ebony.

- ...nie są zamknięte, wiesz. To na wypadek, gdybym chciał do niej przyjść, ale nie robię tego, bo już nie męczą mnie koszmary, a więc możesz zająć moje miejsce. Czy to nie miłe z mojej strony?

- Sam, na litość boską!

- Co, mamó?

Biddie jak zawsze przyszła na ratunek.

- Czas się ubierać - powiedziała stanowczo. - Zostaw sir Aleksa, Sam, i chodź ze mną. - Wzięła go na ręce i posadziła na biodrze. - Zasznurowuję pani suknię, milady, proszę tylko mnie zawołać.

- Tak, Biddie. Dziękuję.

Sir Alex zamknął drzwi za nimi i oparł się o nie plecami. Dopiero teraz zauważyła, że nie może ustać prosto i z trudem się porusza. Powoli podszedł do niszy okiennej i usiadł, opierając ramiona o uda i zwieszając nisko głowę, zupełnie

jakby zasypiał. Jego wyczerpanie nie było jednak spowodowane wyłącznie długotrwałym brakiem snu. Zaniepokojona Ebony wstała z łóżka, dokładnie owijając się kapą, i szybko podeszła do niego.

- Pozwól mi to zdjąć, dobrze. - Ściągnęła skórzany kaftan z jednej ręki, odsłaniając cięcie od ramienia do łokcia i plamę krwi, którą ukrył przed Samem i Biddie.

Był zbyt zmęczony, by się spierać. Zdejmowała mu jedną rzecz po drugiej, obnażając górną połowę ciała. Wreszcie zobaczyła paskudną ranę, z której wciąż sączyła się krew. Plecy i ramiona miał sine od ciosów. Włosy opadały mu w ciemnych strąkach na czoło, a na karku widać było czerwone obtarcie - ślad po chustce. Ebony zastanawiała się, dlaczego zamiast watowanej kamizeli nie włożył na kurtę czegoś lepiej chroniącego przed ciosami.

- Dobry Boże - szepnęła. - Dlaczego nic nie powiedziałaś? - Czyżby napastnicy rzeczywiście byli tak dobrze przygotowani, jak mówił pan Morner?

Woda przyniesiona przez szambelana była jeszcze ciepła, więc Ebony zabrała się do czyszczenia rany. Sir Alex nie protestował, nie wykazał też większego zainteresowania. Siedział z głową opartą o ścianę, z przymkniętymi oczami, a jego umysł był otepiały.

Otarła jego twarz z potu, potem szyję, po kolei uniosła ramiona, by zmyć trud nocy, podczas której chronił również ją i Sama.

- Nie powinnaś... - zaczął wreszcie protestować.

Gdy uciszyła go, nie sprzeciwiał się więcej. Nie miała pojęcia, jak wiele przyjemności będzie czerpać z dotykania jego ciała. Czula perwersyjny dreszczyk i satysfakcję, że na parę chwil ich role się odwróciły. Kiedy on był w swoim mrocz-

nym świetle, ona była niewidoczną pocieszycielką, cicho dostarczając ulgi i przyjemności im obojgu.

Odurzona swoją najnowszą funkcją, pociągnęła go delikatnie na nogi, szepcząc zachęcająco i kierując w stronę łóżka, na które przy jej pomocy wdrapał się i padł. Ruch spowodował, że jej zaimprovizowany przydzwiewek rozchylił się i opadł na podłogę, nie widziała jednak powodu by przejmować się swoją nagością, przecież sir Alex był nieprzytomny. Po chwili, dbając, by nie urazić jego rany ostrożnie położyła się na jego piersi i zaczęła pieścić go delikatnie. Obserwowała, jak opalona skóra porusza się pod jej palcami i odpowiada na delikatne pocałunki. Miał stanowcze usta, podobnie jak oczy otoczone małutkimi zmarszczkami w kącikach. Ciekawe, jak wiele kobiet leżało w jego ramionach i całowało go w te same miejsca co ona. Jego szyja była delikatna i ciepła, a ramiona chłodniejsze, więc wzięła kapę i przykryła go, spijając z jego warg ostatni ukradkowy pocałunek.

Potem zabrała się do składania jego rzeczy. Odłożyła na bok kurtę wymagającą reperacji. Wyplukała koszulę poplamioną krwią. Kiedy wykonywała te prozaiczne zajęcia, poczuła wielkie zadowolenie, którego nie potrafiła wyjaśnić. Zaledwie przed tygodniem chciała go zabić, a gdyby to się nie udało, sprzedać mu siebie za bezpieczeństwo Sama. Teraz spał w jej łóżku, a ona była gotowa oddać mu się bez żadnych warunków. Za kilka dni jednak odjedzie, a ona...

Zaabsorbowana, nie zdawała sobie sprawy, że para błękitnych oczu obserwuje ją spod przymkniętych powiek. Nie mogła także dostrzec uśmiechu, który na chwilę rozchylił wargi sir Aleksa.

Atmosfera stonowanej satysfakcji zapanowała w zamku, kiedy wyniki napadu zostały oszacowane, rany opatrzone, walka przeanalizowana, a jeńcy przesłuchani. Było ich czterech. Najemnicy wysłani przez Davy'ego Moffata, na którego żołdzie byli od paru lat. Nie był to w żadnym wypadku zwykły atak rozbójniczy. Ani Ebony, ani Meg nie zdołały odkryć nic więcej poza tym, że napastnicy byli liczniejsi, niż się spodziewano, i bardzo zdeterminowani.

Sir Aleks i pan Leyland, obaj lekko ranni, pojawiali się tylko podczas posiłków. Ebony i Meg domyślały się, kto opatrzył ich rany, chociaż wysłannicy króla mieli własnego medyka. Sir Alex ani słowem nie okazał Ebony wdzięczności, co bardzo jej odpowiadało. Z zapadnięciem nocy pragnęła go jednak tak bardzo, a jej pewność była tak zachwiana, że po wyjściu Biddie z komnaty czekała przy otwartym oknie, zamiast udać się do pustego już, niestety, łóżka.

Wystawiła twarz na chłodne powietrze napływające znad jeziora i nasłuchiwała przenikliwego pisku nietoperzy. Daleko na horyzoncie wierzchołki gór znanych w Galloway jako Rhinns of Kells powoli znikwały na tle ciemniejącego nieba. Noc będzie spokojna. Rana sir Aleksa zmusi go do pozostania we własnym łóżku.

Drzwi otworzyły się tak cicho, że nie słyszała niczego, dopóki ciemna sylwetka nie znalazła się w środku, zamykając je za sobą. Tak bardzo czekała na niego, że jej serce wydało powitalny okrzyk. Nocny przybysz zrzucił kamizelę, a potem wziął Ebony w objęcia tak żarliwie, jakby i on od wielu godzin o tym myślał. Radość, która ją ogarnęła, przyćmiła wszelkie lęki, pogrążając ją w pocałunkach.

Przy obopólnej zgodzie zwykła dotychczas cisza została wreszcie przełamana. W przerwach między poszukiwania-

mi prowadzonymi przez złaknione usta i dłonie padły chatyczne słowa:

-Dlaczego ty... Potrzebuję cię... kochaj mnie... Chcę... Myślałem... to straszne udawanie... ukochana...

Po raz pierwszy usłyszała od niego czule słowo poza „moja dziecinko”, na co jej serce podskoczyło.

- Tak dawno tego nie słyszałam - wyszeptła, kiedy ich usta się minęły. - Powiedz to jeszcze raz.

- Mogę zrobić coś lepszego. - Gdy zrzucił koszulę, w półmroku zobaczyła połysk jego skóry. Pieszczotliwie dotknęła muskularnego ramienia, a potem oparła się o niego, tracąc równowagę, kiedy jego dłonie zaczęły dotykać jej piersi i wypłatywać ją z okrycia. Gdy przytulili się do siebie, ich ciała wypełniła ożywcza energia, która sprawiła, że wyruszyli na poszukiwanie nowych doznań. - Moja czarnowłosa syrena - wyszeptał. - Moja piękna. Moja najdroższa. Pokaż mi się. Pozwól, niech ci się przyjrzę.

Gdy byli już nadzy, wziął jej piersi w usta i delikatnie wędrował po ich cudownej pełni, ona zaś topniała z każdą pieszczotą. Jej jęk przeszedł w krzyk pożądania, kiedy jego dłonie ześliznęły się niżej, by ją unieść. Kiedy znalazła się w łóżku, była gotowa dać mu wszystko i tyleż samo wziąć od niego.

Leżąc pod nim, uświadomiła sobie, że znowu brakuje jej czegoś więcej niż czułych słów. Daleka od spełnienia, wiedziała, że jest uwodziona. Spadała w otchłań, gdzie poza czas, gdzie każdy ruch, choć sam w sobie celowy i skończony, mógł pójść inną drogą. Podczas gdy jej usta były zaabsorbowane igraniem z jego wargami na różne sposoby, cudowne dłonie obdarzały jej ciało najbardziej intymnymi pieszczotami. Niecierpliwie próbowała go wprowadzić w siebie, ale

ujął jej nadgarstek i przytrzymał, ponownie przenosząc uwagę na piersi, gryząc je delikatnie, aż zaczęła krzykiem domagać się spełnienia.

- Alex - jęczała. - Proszę... teraz!

Zaśmiał się jak pyszny zdobywca i wszedł w nią z płynną precyzją, która nie wymagała pomocy z jej strony.

- Widzisz, kochanie - powiedział. - Spróbujemy sprawić, by to trwało? A może...?

Jego żartobliwe pytanie natychmiast otrzymało odpowiedź. Huczący potok doznań przebiegł przez nią całą. Krzyknęła, rzucona w miłosne odmęty, zagubiona w ich wirujących głębiach. Przyłgnęła do ramion Aleksa, wołając, by kontynuował i nigdy nie przestawał, ale było za późno. Usłyszała jego jęk, gdy sama eksplodowała, po czym wypełniło ją słodkie poczucie spełnienia. Oszołomiona, pieściła kark kochanka, z trudem chwytając powietrze.

- Zrobimy, co? - spytała.

- Będę musiał znaleźć jakiś sposób, żebyś nie była tak szybka.

Rozkoszowała się każdą chwilą, świadoma, że, tak jak Robbiego, straci także Aleksa i pozostaną jej tylko wspomnienia. Przytuliła się do niego mocniej, przypominając sobie poranny obrazek. Alex we śnie, jego kształt i postać, jego zapach i smak, jego wyczerpanie, inne niż to, które obserwowowała teraz.

- Jak twoja rana? - spytała - Boli cię?

Przyciągnął ją bliżej.

- Nie na tyle, by się tym przejmować, ale zauważyłaś coś innego, moja pani?

- Tak - uśmiechnęła się. - Rozmawiamy.

- to cię już nie niepokoi? - Nie przestawał jej gładzić.

- Wiem, że to głupie, ale... - Urwała.

- Mów dalej.

- Alex, są powody, dla których to nie powinno było się zdarzyć. Prawdę mówiąc, myślę, że jestem szalona, skoro w ogóle pozwoliłam, by do tego doszło. Rozmowa o tym w pełnym świetle dnia byłaby dla mnie niemożliwa. Rozumiesz?

- Tak, rozumiem, co mówisz, chociaż trudno będzie to zachować w sekrecie przed twoją siostrą. I wcale nie jesteś szalona, po prostu okoliczności były niezwykle.

Milczała przez chwilę. Cóż, okoliczności, jak je określił, zostały wykorzystane do końca. I to ona przegra, nie on.

- W dalszym ciągu myślę, że to, co robimy, jest nierozsądne - powiedziała w końcu.

- Gdybym to zostawił tobie, moja piękna, nigdy by do tego nie doszło, prawda? Nie traktuj siebie zbyt surowo. Po tym, jak złożyłaś mi ofertę, zamierzałem dostać się do twego łóżka w taki czy inny sposób.

- Z pewnością nie jesteś na tyle zdesperowany, że musiałeś zaakceptować ofertę złożoną w takiej chwili i wskutek takiego nieporozumienia...

Uniósł się nad nią, delikatnie odgarnął jedwabiste włosy z jej twarzy.

- Nie byłem wcale zdesperowany, ale oferta to jedna sprawa, a akceptacja to całkiem co innego, jak dobrze wiesz. Odrzucałaś propozycje, lecz całkiem niedawno jedną przyjęłaś z zupełnie niewłaściwych powodów. I ty, i ja potrafimy uzasadnić przyjęcie różnych ofert, nawet jeśli wydają się dziwne z perspektywy czasu.

- W takim razie co byś zrobił, gdybym nie okazała się na tyle szalona, by się z tobą targować?

Uśmiechnął się.

- Poszukałbym jakiegoś innego sposobu rozwiązania tego problemu. Zajęłoby to tylko nieco więcej czasu, to wszystko.

- Jesteś arogancki, sir.

- Tak, najdroższa. Taką już mam pracę. Gdybym nie był pewien, że osiągnę sukces, nie byłbym dobry w tym, co robię od lat.

Była urażona. Wcale nie pochlebiała jej jego zbyt pewność siebie, przekonanie, że dostałby to, co chronił przez tak długi czas. Odwróciła głowę i powiedziała w ciemność:

- W takim razie musisz sobie gratulować, bo z wielką ła-twością dokonałeś tego szczególnego podboju. Wszystko wpadło ci w ręce, prawda? Zwłaszcza ja.

Miała nadzieję, że weźmie te słowa do siebie i zapewni: „Będzie dobrze, Ebony”. Wszystko byłoby zresztą lepsze niż jej cynizm. On jednak pozostawił jej słowa bez komentarza, natomiast jego dłoń i usta rozpoczęły kolejną uwodzicielską wędrówkę po jej ciele, a jej ostatnie racjonalne myśli dotyczyły tego, że tak czy inaczej ona i Sam muszą stąd wyjechać, zanim szkoda stanie się nieodwracalna.

Rozdział dziewiąty

Z każdym dniem obawy Ebony narastały. Jej kapitulacja z pewnością przyniesie fatalne skutki, o których sir Alex nigdy się nie dowie ani się nimi nie przejmie, bo za dziewięć miesięcy będzie wiele mil stąd. Plan ucieczki z zamku Kells i ukrycia się gdzieś do jego wyjazdu wydawał się jedynym rozsądnym działaniem, jakie należało podjąć, od kiedy noce wymknęły się spod jej kontroli. Oszukiwanie Meg również nie stawało się łatwiejsze. Bid-die już wyciągnęła dyskretne wnioski i pozostawało jedynie sprawą czasu, zanim bystry, a zarazem naiwny Sam coś rozpowie wszem i wobec.

Stosunki między nią a sir Alekssem za dnia ustabilizowały się. Były chłodne, sprowadzały się do unikania siebie nawzajem. Nigdy nie nawiązali nawet słowem do żarliwych nocnych spotkań. Nie musieli też reagować na komentarze, bo wychodził od niej przed świtem i widzieli go jedynie strażnicy. Akurat tego dnia Ebony udała się do warzywnika po zioła, które w książce z przepisami odnotowano jako skuteczne w wywoływaniu miesiączki. Z naręczem serdecznika, który zwykle brat Walter ordynował sir Josephowi na uspo-

kojenie po silnych atakach szału, Ebony ruszyła na powrót do zamku, ale zdążyła dojść tylko do grządki z koperkiem i pietruszką, gdyż napotkała Meg, która trzymała w ręku jakiś list.

- Dla kogo to? - zdumiała się Meg, patrząc na długie pędy serdecznika w rękach Ebony. - Komu twarz poczerwieniała z wściekłości tym razem?

- Nikomu.

- W takim razie...? - Zapadła chwila niezręcznego milczenia. Nie sposób powiedzieć, czy na twarzy Ebony było wypisane poczucie winy, czy też Meg nie mogła odnaleźć żadnego sensownego powodu, dla którego ktoś miałby potrzebować tego właśnie lekarstwa. Była jednak bystra i z pewnością знаła się na codziennych sprawach. - Ebbie? - wyszeptwała. - Eb, co się dzieje?

Ebony nagle zaschło w ustach.

- Chodźmy tutaj. - Po chwili usiadły w wiklinowej altanie, w której dwie nakrapiane brązowo kaczki uwiły gniazdo tuż obok ławeczki. Ebony opowiedziała szwagierce całą historię, nie ukrywając niczego, nawet swoich dręczących, poplątanych uczuć. - Przepraszam - powiedziała na koniec. - Nigdy nie zamierzałam cię oszukiwać. Mogę sobie pomóc tylko w jeden sposób, to znaczy zastosować radykalne środki... - zerknęła na zioła leżące u jej stóp - ...i zniknąć stąd na czas jakiś, dopóki ludzie króla stąd nie wyjadą.

- Ebbie... nie!

- To nie może dalej trwać, Meg. Minęło już sporo dni, odkąd sir Alex po raz pierwszy przyszedł do mego łóżka. Mogłam zamknąć drzwi na klucz, wiem, ale... - Jej głos wyrażał nieskrywaną tęsknotę, na co Meg uspokajającym gestem po-

głaskała jej dłoń. - Pragnę go, tak bardzo go pragnę... potrzebuję...

- Wiem... To było dla ciebie takie trudne.

- Nie mam wytłumaczenia. Przepraszam, Meg. Nie chciałam, żeby do tego doszło, a teraz zżera mnie to niczym głód. Muszę na jakiś czas pojechać z Samem w góry do jednego z naszych domów. Wymknę się z kilkorgiem służby i wystarczającą ilością jedzenia na tydzień, a ty przyślesz mi więcej gdyby ludzie sir Aleksa do tego czasu nie wyjechali.

Meg, na której twarzy wykwitł rumieniec wstydu, zaczęła ostrożnie:

- Myślę, że powinnam pojechać z tobą, Ebbie.

- Och, kochanie. Och... kochanie! Ty też? Chodzi o pana Leylanda?

Meg wbiła wzrok w trzymany w rękę złożony pergamin, powachlowała nim zaczerwienioną twarz i kiwnęła głową.

- Cóż... tak...

- Ty jednak nie... on nie... ?

- Nie, nie zaszliśmy tak daleko. Wyobrażam sobie jednak jak musisz się czuć, Eb. To uzależnia, prawda? Tak trudno było trzymać to przed tobą w sekrecie. Byłam pewna, że będziesz na mnie wściekła. To, że dowiedziałam się o twoim problemie, przyniosło mi w pewnym sensie ulgę. Nie mogę jednak uwierzyć, że robią to z innego powodu niż dla zabicia czasu. Myślę, że zawsze tak postępują, gdzie tylko rzuci ich los, a ja nie zamierzam brać udziału w zasiedlaniu Szkocji ich bękartami. Och! - zerknęła na smutny profil Ebony, zawstydzona swoją niezręcznością. - Wybacz mi, Eb. Nie miałam na myśli.

Gdyby Ebony potrzebowała kogoś, kto wypowiedziałby

jej lęki na głos, nie znalazłaby nikogo, kto byłby tak brutalnie szczerzy jak Meg. Wolałaby jednak, żeby jej przypadek był pod jakimś względem wyjątkowy.

- Masz rację, kochanie. To na pewno nic dla nich nie znaczy. Bez względu na nasze uczucia do nich nie możemy pozwolić, by to trwało. Co trzymasz w ręku?

- Och. - Meg spojrzała na zaimprovizowany wachlarz.
- Ktoś to przyniósł przed godziną. Rzuć okiem, proszę. Na pewno wyrazi współczucia z powodu śmierci ojca.

Ebony wzięła pergamin i wygładziła zagięcia na kolanie.

- To list z Dumfries - powiedziała. - Od kuzynki Jennie. Dobry Boże!

- Nie wiedziałam, że ona umie pisać.

- Pan Richard umie. To jego pismo. Mówi nam, pyta nas, och... Boże! - Pergamin gwałtownie zadrżał w jej dłoni.

- Co takiego? - spytała Meg. - Co on pisze, Eb?

- Sądzą, że znaleźli... och... moją matkę, Meg. Oni... on wie gdzie... co za niewyraźne pismo... gdzie ona może być. Mówi, że Jennie słyszała... o Boże... mama jest bardzo chora. Może umiera...

- Jennie czy twoja matka?

- I że wciąż pyta o mnie. Pisze, że może uda mu się mnie do niej zawieźć. Och, Meg. - Opuściła rękę z listem. - Muszę jechać. To doskonały powód, by opuścić Kells. Muszę natychmiast dostać się do Dumfries.

- Przecież lady Jean mieszkała w Carlisle, kochanie. To znacznie dalej, w Anglii.

- Wiem, ale oni mają wiadomości o niej, nie widzisz?

Meg widziała jednak to, czego Ebony nie dostrzegła.

- To pułapka, Ebbie. Nie wolno ci się na to nabrać. Wiesz, o co w tym wszystkim chodzi. To zemsta za to, co się tu sta-

ło i zemsta za to, że odrzuciłaś oświadczyzny Davy'ego. Jenie to suka.

- Nie obchodzi mnie to, Meg! Tak długo nie miałam żadnych wieści o matce i nie mogę pozwolić, by ta pozostała bez odpowiedzi. A jeśli to prawda?

Bystra Meg nie potrzebowała nikogo, kto zwróciłby jej uwagę, że jej droga szwagierka nie widzi tej sprawy jasno. Nagle rozbudzone nadzieje sprawiły, że ignorowała fakt i nie baczyła na własne bezpieczeństwo. Rozpaczliwie chciała przywrócić to, co było kiedyś podstawą jej życia. Jej postępowanie było zrozumiałe, niemniej graniczyło z szaleństwem, a Meg, chociaż robiła wszystko co w jej mocy, nie umiała podać na tyle mocnych argumentów, by się jej przeciwstawić.

Po powrocie na zamek natychmiast rozpoczęły przygotowania, zapewniwszy sobie pomoc jednego z chłopców stajennych przy siodłaniu koni, przygotowaniu juczych kuców i przeniesieniu koszy. Nie pomyślały jednak, że chłopak, od tak dawna lojalny wobec nich, obecnie był jednym z najzarliwszych wielbicieli sir Aleksa. Kiedy więc Janet, w odpowiedzi na pukanie do drzwi komnaty Meg, otworzyła je, ze zdumieniem zobaczyła w progu królewskich oficerów. Ich wejście nie spotkało się z uznaniem.

Meg i Ebony z popatrzyły na nich z widoczną niechęcią.

- Co to za pilna sprawa? - spytała Meg sir Aleksa i pana Leylanda. - Jesteśmy zajęte.

- Zdaje się, że dostały panie wiadomość z Dumfries - zaczął sir Alex, rozglądając się po komnacie. - Mogę zobaczyć list, pani?

- Nie - powiedziała szybko Ebony. - Był adresowany do mnie. To prywatna korespondencja.

Dwie kobiety i dwaj mężczyźni, których tak wiele łączyło i dzieliło zarazem, patrzyli na siebie z wrogiim podziwem. One w starych sukniach, oni w myśliwskich strojach, jakby wracali z polowania, co w pewnym sensie było prawdą. Roztaczali wokół siebie zapach lasu i ogniska, włosy mieli potargane, buty uwalane błotem.

- Skoro to przesyłka z Dumfries, trudno uznać ją za prywatną, pani - zauważył Hugh. - Przepraszam, ale musimy poznać jej zawartość. Chodzi o wasze bezpieczeństwo.

Ebony wiedziała, że jeżeli się ugnie przed tą kolejną przeszkodą, ci dwaj zniweczą każdy plan, jaki uda jej się obmyślić.

- Tym razem poradzimy sobie same, dziękuję. Otrzymałam wiadomości o mojej matce i zamierzam je sprawdzić. To wszystko. - Rzuciła stos koców do kosza i wzięła kolejny tobolek.

- Zakładam, że to list od pana Davy'ego Moffata - powiedział sir Alex.

- Nie, od pani Cairns. A ściśle biorąc, od jej męża. Jestem pewna, że on jest...

- Nie, nie jest! Nie możesz, pani, jechać. To podstęp. Nie widzisz tego?

- Nie, nie widzę. Tak czy inaczej, informacja zawarta w liście to wszystko, czym dysponuję.

- Tak, a oni o tym wiedzą. - Podeszedł do niej. - Bardzo proszę, porozmawiajmy o tym racjonalnie, dobrze? Chyba nie wierzysz w to, co on napisał.

Zagrożona, wyczerpana, spięta do granic możliwości, Ebony zatraciła wszelkie pozory spokoju. Jej zachrypnięty głos łamał się z frustracji.

- Sir Aleksie! - krzyknęła. - Aż do teraz nie miałam o niej

żadnych wieści, nie wiedziałam, czy żyje, czy... i nie znalazłam nikogo, kto chciałby mi pomóc w jej odszukaniu. Nie dbam o to, czy ma to dla ciebie, panie, sens, czy też nie, po prostu nie mam wyboru. Pojadę do Dumfries, a jeśli będzie trzeba, również do Carlisle.

- W takim razie pojedę z tobą, pani - oznajmił, odwracając się do Leylanda. - Wezmę dwudziestu ludzi, Hugh. Lady Ebony będzie potrzebowała swego stępaka, ale żadnych jucznych koni. Panno Meg, Sam i jego piastunka zostaną tu z panią.

- Nie! - zawołała Ebony. - Mój syn pojedzie ze mną! Nie będzie...

- Będzie! - krzyknął sir Alex. - Zastanów się, kobieto. Nie możesz narażać dziecka na niebezpieczeństwo dla swoich samolubnych powodów. Musisz zrozumieć, że będzie bezpieczniejszy tutaj z ciotką, Leylandem i Joshem niż przemierzając kraj, by trafić prosto w łapy Moffata.

- Nie zrobiliby mu krzywdy!

- Oczywiście, że by zrobili! Cały kłopot wziął się właśnie z tego. Davy Moffat zamierzał, poślubiając cię, przejąć kontrolę nad Samem i jego majątkiem, dopóki twój syn jest jeszcze dzieckiem. - Kiedy nie odpowiedziała, ciągnął nieco łagodniejszym tonem: - Chłopiec zostanie tutaj, gdzie będzie pod dobrą opieką, natomiast ja pojedę z tobą, by zapewnić ci ochronę. Jeśli to pułapka, a tak na pewno jest, najpierw będą musieli pokonać mnie i naszych ludzi. No i, oczywiście, rozpoczniemy poszukiwania twojej matki, a jako królewski oficer do specjalnych poruczeń na pewno przydam się i w tym względzie. Wyruszymy o brzasku. Możesz, pani rozpakować kosz, bo konie juczne są za wolne. Proszę zapakować to, czego będziesz potrzebowała, do tej skórzanej

torby. Nic więcej. - Spojrzał na Meg: - Będziesz całkowicie bezpieczna pod opieką Leylanda i naszych ludzi, panienko. Daję na to moje słowo. Ufam, że nie masz nic przeciwko temu, by zaopiekować się Samem?

- Och, skądże. - Podała mu list. - Lepiej go weź, panie.

- Świetnie. Będziemy cię informować o tym, co się dzieje. Mamy swoje sposoby przekazywania informacji.

- Dziękuję.

Skinął głową, ale nim wyszedł, musiał uchylić się przed pociskiem, który przeleciał tuż obok jego głowy. Z kamienną twarzą podniósł mosiężny lichtarz i podał go Meg. Żaden z mężczyzn nie odezwał się ani słowem, dopóki nie wyszli z komnaty.

Wtedy wściekłość Ebony wybuchła na dobre. Podniosła starannie spakowany kosz i z furją cisnęła nim w drzwi. Wychodzący goście nie mieli żadnych wątpliwości, że umknęli w ostatniej chwili. „Apodyktyczni”, „arogancy”, „wścibscy” i „nieokrzesani”, to najłagodniejsze z określeń, które dosięgły ich uszu przez grube drewno. Nie usłyszeli jednak dalszych lamentów Ebony, pełnych urazy i strachu.

- Nie chciałam, żeby ze mną jechał - utyskiwała. - Chodziło właśnie o to, by pojechać samej i uchronić się przed...

- Tak, kochanie - pocieszała ją Meg. - Ciii, wiem, ale nie mamy wyboru. Pomyśl tylko, co jest najważniejsze: odnaleźć lady Jean, chronić Sama czy chronić swoją cnotę. Z tym ostatnim poradzisz sobie sama. Czy nie zdołasz trzymać go na dystans? Przecież w drodze nie będziecie spali razem.

Ebony wytarła twarz, potem kopnęła drugi kosz.

- Tak, Meg. Nawet jeśli będę musiała czuwać przez całą noc, nie pozwolę, by mnie tak wykorzystywał. - Jednak tym słowo brakowało przekonania. Wiedziała o tym. Wykorzy-

stywał? Pozwalała się wykorzystywać? Po pełnych miłości słowach, po gorączce namiętności, te pojęcia zupełnie odmieniły swój sens. - Nie, Meg, nie taka jest prawda. Jeśli już ktoś kogoś wykorzystuje, to ja jego. - Usiadła na łożu z baldachimem. - Wiem, że to zaczęło się od umowy, która przerodziła się w groźbę, ale chciałam tego tak bardzo jak on i chcę nadal. I jestem przekonana, że on o tym wie. W jego ramionach staję się kimś innym. - Ze smutkiem nasyconym złością obróciła na palcu ślubny pierścień. - On przywraca mnie do życia. Myślę o nim bez przerwy. Wiem, że źle robię, Meg. Wiem, że to złe, ale...

Szwagierka usiadła przy niej i objęła ją ramieniem.

- Nie, kochanie. To nie jest złe. Jeśli chodzi ci o Robbiego, przypomnij sobie, że zawsze chciał twego szczęścia. Czy nie tak?

- Tak, tak mi się zdaje.

- Wiem, że tak było, i na pewno by nie chciał, żebyś trwała w nieustającym smutku. Tęskniłaś za jego miłością, kiedy odszedł, potem za miłością jako taką, za ukojeniem, lecz teraz, kiedy ją znalazłaś, nie możesz sobie wybaczyć, że sprawia ci to radość. Niepotrzebnie, Eb. Uwierz mi, nie ranisz nikogo. Bardzo się cieszę, że tak się stało. Naprawdę.

- Mówisz to, co chciałam usłyszeć. Niech Bóg cię błogosławi. Jednak skutki tego są poważne. Miłość wiąże się z pewnymi zagrożeniami, a ja nie śmiem ich ignorować. Ludzie króla nie osiadają nigdzie na stałe, a ja nie znam planów Aleksa, i tych, które dotyczą jego, i tych, jakie ma wobec mnie. Nie znam też jego uczuć, chociaż możesz mieć rację, że tylko umiła sobie czas. On i Leyland... Co gorsza nie zdążę teraz zrobić tego napanu jak należy.

- Nie musisz, kochanie. Zostało trochę tego, który brat

Walter dawał ojcu na apopleksję, pamiętasz? Możesz go wziąć. Kiedy się spodziewasz okresu?

- Mniej więcej za tydzień, co mi przypomina, że powinienam zabrać trochę szmatek. Och, Meg, szkoda, że nie jdziemy razem.

- On ma rację co do Sama, wiesz o tym, a skoro masz odnaleźć lady Jean, będziesz potrzebowała wojskowej ochrony, bo czasy są, jakie są. Sam będzie tu bezpieczny, nie martw się. Jeśli chcesz, Janet i ja będziemy spały w twojej komnacie, żeby rano mógł wejść na górę po poranną porcję pieszczot. Otułę go do snu każdej nocy i będę opowiadała mu bajki.

- Dziękuję, moja kochana. Czy jednak ty będziesz bezpieczna?

Meg zaprezentowała tajemniczy uśmiech.

- Ebbie, do tej pory jakoś mi się to udawało i mogę to robić jeszcze przez jakiś czas, wierz mi. To może być dość trudne dla pana Leylanda, ale jeśli sir Alex powie mi, żeby zachowywał się jak należy, zrobi to. Teraz musimy być dzielne i spakować cię na nowo. Zejdę do kuchni i dopilnuję szykowania jedzenia na drogę. Będziesz też potrzebowała pieniędzy. Chodźmy, kochanie. Nie ma czasu. - Meg znów była w swojej najlepszej formie, a Ebony odpowiadało, że ktoś wydaje jej polecenia, przynajmniej na razie.

Pożegnanie Ebony z Samem było najtrudniejsze, ale ku jej uldze malec nie wydawał się zasmucony tym, że na jakiś czas rozstanie się z matką, a wesołe machanie ręką z szerokich ramion Josha było ostatnim, co zobaczyła przez mgłę łąz, kiedy wzięli zakręt drogi. Tej nocy spała sama, lecz syn przyszedł do niej o brzasku po porcję pieszczot. Przyglądał

się jej przygotowaniom i ostrzegł przed skrzatami, które grają w ciemnych lasach i są kompletnie nieprzewidywalne.

- Ale nie martw się, mamusiu - stwierdził na koniec - będzie z tobą sir Alex i on cię obroni.

Ebony wciąż nie uporządkowała swoich pomieszanych uczuć wobec towarzyszącego jej mężczyzny. Choć odczuła ulgę, że może liczyć na jego ochronę, wzrastał jej niepokój o długofalowe skutki wyprawy. Nie miała złudzeń. Przy dużej liczbie chętnych nawet w najlepszych gospodach kilkoro gości zajmowało jeden pokój, niezależnie od płci, o czym niedoświadczona w tych sprawach Meg nie miała pojęcia. Jej umysł zajmowały też inne troski. Nie wiedziała, czego może się spodziewać po kuzynce Jennie, nie była pewna, czy jej informacje są prawdziwe, obawiała się zasadzki, martwiła o stan zdrowia matki. Chochliki Sama w porównaniu z tym wszystkim wydawały się niewielkim utrapieniem.

Lekki nocny deszczyk odświeżył surowy krajobraz i na białych majowych kwiatach zabłyśły niczym brylanty krople wody. Czosnek i wczesne kampanule zarastały pełne drzew brzegi jeziora, gdzie czaple polowały na ryby, brodząc po kolana w wodzie. Wiewiórki i gronostaje przebiegały przez drogę, a odległe stada jeleni unosiły lby, obserwując grupę konnych.

Przy tej okazji Alex i jego ludzie ujawnili królewskie znaki, prezentując je z dumą na przodzie watowanych kamizeli. Wspięty na tylnych łapach królewski lew Szkocji, czerwony na złotym polu, otoczonym bordiurą zdobioną liliami w każdym musiał wzbudzić szacunek i respekt. Na głowach żołnierzy lśniły stalowe hełmy, każda sprzączka, łańcuch i nit błyszcząły w porannym słońcu. Świetnie utrzymane konie prezentowały się znakomicie. Kary stępek Ebony zo-

stał idealnie wyszczotkowany. Nie dosiadała go od miesięcy, więc ostre tempo narzucone przez sir Aleksa wymagało od niej pełnej koncentracji na nierównym terenie. Rozumiała powody jazdy bez koni juczych, niemniej szesnaście mil do New Galloway wydawało jej się więcej niż setką, a godzinny odpoczynek niewiele dłuższy niż pięć minut.

Nie mieli szans, by dotrzeć do Dumfries tego dnia, ale powinni zjawić się u Cairnsów nazajutrz przed południem, jeśli przenocują przy Urr Water. Okolica, choć wciąż gęsto zalesiona, była bardziej przyjazna dla podróżników, mniej surowa i żyźniejsza. Po raz pierwszy Ebony miała okazję zobaczyć, z jaką łatwością królewscy żołnierze przystosowują się do życia na powietrzu i funkcjonują równie wygodnie jak na zamku, organizując jedzenie, dach nad głową i zapewniając bezpieczeństwo bez potrzeby wydania choć jednego polecenia. Dostała miejsce przy ognisku, pieczonego królika, ser i chleb, a kiedy zapadła noc, posłanie na wrzosach pod płóciennym dachem. Była zbyt zmęczona, by zauważyć dziury i przetarcia.

Kiedy się obudziła, mężczyźni już pluskali się w rzece, golili się, naciągali długie buty, zwijali posłania, pochłaniali wielkie kęsy chleba, które popijali piwem, chrupali jabłka, suszone rodzynki, orzechy i plastry zimnego bekonu. Sir Alex przyniósł jej jedzenie, a potem oznajmił, że opracował plan, któremu Ebony musi się podporządkować.

Wcześniej obmyśliła własny plan, ale zdradzanie się z tym nie miało teraz sensu, uprzejmie więc wysłuchała, co sir Alex miał do powiedzenia.

- Wjedziesz, pani, do Dumfries tylko z jednym stajennym w charakterze eskorty. Zostawię panią samą mniej wię-

cej dwie mile przed miastem, żeby nie mogli się zorientować jaką naprawdę siłą dysponujesz. Ruszymy inną drogą i zanim się spostrzeżesz, otoczmy dom Cairnsów. Będziemy obserwować, co się dzieje. Nic ci nie grozi. Domyślam się, co proponują, proszę więc się nie niepokoić i nie ulegać jakimkolwiek żądaniom. Będzie ci, pani, towarzyszył Perkin. Może wygląda na niewydarzonego, ale proszę mi wierzyć, to pozory. Dopilnuje koni i bagaży i da nam znać, co się dzieje. Możesz mu, pani, zaufać.

- A tobie, sir?
- Mnie też możesz zaufać.
- Nie o to mi chodziło.

Uśmiechnął się, na moment odrywając jej myśli od wszelkich problemów.

- Proszę, milady, zaufaj mi. To pułapka, jestem tego pewien. A teraz najważniejsze pytanie: czy poradzisz sobie, pani?

Zastanawiając się, czy te bystre oczy są w stanie przejrzeć jej myśli, kiwnęła głową. Nie należałaby przecież na przyjazd gdyby nadzieja na odnalezienie matki nie była silniejsza od obawy przed zdradą.

- Jeśli okaże się, że nie mają o niej żadnych wiadomości, po prostu wyjdę - powiedziała.

- Tak. No cóż, jeśli tak się stanie, proszę się udać tam, dokąd zaprowadzi cię Perkin. Będzie wiedział, co robić.

Stajenny, na oko gamoniowaty młodzian o szerokich barach, przewrócił kamizelę na lewą stronę, by ukryć królewskie znaki, przez co stał się jeszcze bardziej nijaki. Hełm znikł, broń była dobrze ukryta, jednak Ebony poczuła się pewniej, gdy mocarnymi dłońmi posadził ją w siodle.

Przez całą drogę grzecznie potakiwała sir Aleksowi, trudno więc mówić o ożywionej rozmowie, kiedy jednak nadszedł czas pożegnania na obrzeżach miasta i ich ręce się zetknęły, poczuła w jego palcach tajemną, czułą treść. Odwzajemniając tę pieśczętę, powiedziała:

- Nic mi nie będzie. Zrobię, jak mówisz, sir.

- Proszę uważać. Proszę udać się prosto na miejsce. Będziemy w pobliżu.

Ostatnim razem była w Dumfries z Robbiem na jarmarku. Już wówczas widać było pierwsze oznaki głodu, gwałtownie rosnące ceny, brak jedzenia, brak importowanych towarów, bo pozostała część Europy też została dotknięta klęską powodzi. Teraz nie widać było nawet straganów, wokół straszły zrujnowane rudery, w których niegdyś rodziny wiodły pogodne proste życie.

Przerażające ubóstwo wprost biło po oczach. Ci, który przeżyli, byli zbyt słabi albo zbyt dumni, by prosić o jałmużnę, i patrzyli tylko spode łba na bogato odzianą arystokratkę. Wynędzniałe dzieci spoglądały z rozpaczą. Nie było ani uśmiechów, ani zwyczajowych pozdrowień, słyszało się tylko gniewne pomruki. Klęska była większa, niż Ebony sobie wyobrażała. Ci ludzie umierali z głodu, podczas gdy jej teść magazynował żywność, czekając, aż ceny wzrosną znacznie ponad możliwości tych, którzy najbardziej potrzebowali jedzenia.

- Wiedziałeś o tym? - spytała Perkina. - Wiedziałeś, jak straszny jest ten głód?

- Tak, pani. Tak jest wszędzie, nie tylko tutaj. Tysiące umarło, warsztaty popadły w ruinę, trzody i stada wyginęły. Nawet trudno obwiniać rabusiów za to, że kradną, skoro to jedyny sposób, by zdobyć cokolwiek. Prawo nic nie znaczy, kiedy rodziny umierają z głodu.

Kiedy ujrzeli most na Nith, a na jego końcu duży kamienny dom, sumienie dokuczało Ebony jak nigdy przedtem, wzbudzając jej gniew na całą rodzinę Moffatów w ogóle, a na Davy'ego Moffata w szczególności.

Zsiedli z koni na głównej ulicy, brudnej i pełnej odpadków, gdzie chude jak szkielety psy i szczury szukały jedzenia pod nogami przechodniów. Imponujące, gęsto nabijane ćwiekami drzwi otworzyły się w odpowiedzi na jej pukanie i natychmiast wpuszczono ją do ciemnego korytarza. Perkin został na zewnątrz, gdzie mógł postępować zgodnie z otrzymanymi poleceniami.

Jennie była zaskoczona widokiem Ebony, co zresztą przewidział sir Alex. Spodziewała się jej przybycia najwcześniej następnego dnia. W tej sytuacji zaproszenie, by chwilę zaczekała, zabrzmiało rozsądnie. W miarę upływu dnia przekonanie Ebony, że nic jej nie będzie, zostało jednak mocno nadwątlone, zwłaszcza gdy posłano po kolejnego krewnego z Dumfries, by wzmocnić perswazje stosowane przez Moffatów.

Żadna wiejska gospoda, choćby nie wiem jak zwyczajna, nie przypominałaby bardziej nieba w oczach Ebony niż ta na obrzeżach Dumfries, która tej nocy została w całości zajęta przez królewski oddział. Dochodziła północ, kiedy Ebony usiadła przy palenisku. Resztki wieczerzy były na stole, mężczyźni oddawali się słodkiemu lenistwu, a Perkin z dumą prezentował obandażowany nadgarstek, który skaleczył w obronie damy. Oczywiście posypały się docinki, które przyjął z pogodą ducha. Solidne belki stropowe migotały w ciepłym świetle świec, podczas gdy lejący z nieba deszcz spływał ze strzechy i głośno bębnił, wpadając do beczek na

deszczówkę. Mężczyźni zachowywali pełne szacunku milczenie, kiedy Ebony wyjaśniała im, co się stało w domu Richarda Cairnsa. Gorzko rozczarowana, nieco jeszcze wystraszona, ale przede wszystkim pełna gniewu, odpowiadała na pytania sir Aleksa, który wcześniej zebrał relacje od swoich ludzi na temat przebiegu potyczki.

Podał jej kubek wina.

- Już nie mogę - zaprotestowała.

- Proszę to wypić. A teraz opowiedz mi, pani, jeszcze raz, co stało się po przybyciu pana Davy'ego?

- Zagroził, że nie powie mi nic o matce, dopóki...

- Dopóki co?

- Dopóki nie zgodzę się za niego wyjść i... iść z nim do łóżka.

- Ha! Nic oryginalnego. Czy wiedział coś o lady Jean?

- Powiedział, że mógłby mnie do niej zabrać, ale mu nie uwierzyłam. Nie podał żadnych szczegółów. On i pan Richard sporządzili umowę i chcieli, żebym ją podpisała, zanim mi cokolwiek powiedzą.

- Umowę małżeńską?

- Tak wyglądała, ale miała całe mnóstwo klauzul dotyczących własności, spadku Sama, zamku, przekazania opieki nad Samem i tym podobnych. Odmówiłam, a wtedy zaczęli na mnie krzyżeć. Nie dali mi nic do picia ani do jedzenia, a kiedy zobaczyli, że nie zamierzam na nic się zgodzić, zamknęli mnie w małym pomieszczeniu na tyłach domu, gdzie później się włamaliście. Tam były szczury. - Głos jej zadrżał, a dłoń poruszyła wino w kubku.

- Proszę to wypić - powtórzył. - Wszystko było pod kontrolą, przecież Perkin wiedział, gdzie jesteś, dziecinko. Plan był taki, że jeśli tam utkniesz na dłuższy czas, a dom pozo-

stanie zamknięty na glucho, przystąpimy do akcji. Przestraszyliście panią?

- Tak. Myślałam, że dom się zawali. Z pewnością ich wystraszyliście. Byli przekonani, że wybrałam się do Dumfries sama, bez pańskiej wiedzy, ale teraz, obawiam się, będą próbowali porwać Sama. Myślisz, sir, że będą próbować?

- Raczej nie - Uśmiechnął się. - Wszyscy zostali aresztowani w imieniu króla. Mamy prawo to robić. Pozostaną w lochu barona Cardale'a, dopóki nie zostanie przygotowany akt oskarżenia przeciwko nim.

- Barona Cardale'a? Nie pod pieczę szeryfa?

- Szeryf, moja pani, jest po same uszy uwikłany w napady rabunkowe. Jeździł na wyprawy z sir Josephem. On też jest pod pieczę Cardale'a. Po tym, jak zwróciliśmy baronowi konie z zamku Kells, chętnie udziela nam pomocy. Proszę się nie martwić o Sama. Hugh zapewni mu całkowite bezpieczeństwo, a ci ludzie zobaczą światło dzienne dopiero wówczas, kiedy będą ich wieźć do sądu.

- Jennie też?

- Tak, ona też. Domyślałam się, że nie miała dla ciebie, pani, żadnych wieści o matce?

- Nie - wyszeptala Ebony. - Ani ona, ani nikt inny. Pojadę do Carlisle. Właśnie tam mieszkała.

- Nie. - Oparł się o rzeźbioną ławę. - Powiedziałem, że jej poszukamy, i zrobimy to, ale przedtem muszę pojechać do Lanercost. Mam tam sprawę do załatwienia.

Kilku mężczyzn wymieniło spojrzenia w oczekiwaniu awantury. Sir Alex milczał.

- Do Carlisle - powtórzyła. - Właśnie tam pojadę. Dziękuję ci, panie, za pomoc. Będę się modliła za twoją szczęśliwą podróż i za powrót.

- W takim razie czas iść spać - powiedział cicho.

Jedną z wielu korzyści podróżowania z ludźmi króla polegała na tym, że przygotowywano im kwatery na każde żądanie. Ebony zaprowadzono do małej przytulnej komnaty. Czekala na nią ciepła woda i ręczniki. Na łóżku leżały czyste prześcieradła. Tutaj mogła w spokoju zastanowić się nad powagą swojej sytuacji i obmyślić sposób, jak rozstać się z sir Alekssem.

Po walce w domu Cairnsów musiała zająć się raną Perkinsa. Ponieważ w okolicy panował brud, trzeba było ją natychmiast przemyć. Uczyniła to, z braku innych medykamentów używając naparu, który Meg dała jej na wypadek, gdyby okres się spóźnił. Naturalnie rana została owinięta jej szmatkami. Była więc teraz pozbawiona zabezpieczenia, bez ochrony, a temu stanowi nie pomogło pojawienie się w jej sypialni sir Aleksa.

Rozebrał się i dołączył do niej pod chłodnymi prześcieradłami, po czym wziął ją w objęcia.

- Dobrze sobie poradziłaś, dziecinko. - Odgarnął jej włosy z twarzy. - Jestem z ciebie dumny. Wszystko poszło zgodnie z planem.

- Nie z moim - wyszeptała ze złością. - Nie jestem bliższa odnalezienia.

- Ależ jesteś... - Nie dał jej więcej czasu na zadawanie pytań, bo jego wargi rozpoczęły czułą wędrówkę. To na tyle rozproszyło jej uwagę, że nie mogła sobie przypomnieć żadnych powodów, dla których ta sprawa musiała się skończyć.

Nadzieje związane z tym dniem, rozczarowania, napięcia i lęki ustąpiły miłości, na którą czekała dwie noce. W namiętej burzy namiętności świtało jej w głowie, że jej podjęte za dnia postanowienie nie ma żadnych szans na realizację.

Jak statek wpadający na skały, zadygotała i rozpadła się, całkowicie bezbronna, niezdolna podążać rozsądnym kursem i świadoma, że z nadejściem dnia znowu będzie musiała odbudować swoje zdruzgotane zasady.

Chciał być czuły i delikatny, jednak nic nie powstrzymało jej ciała przed gwałtownym, niepowstrzymanym atakiem. Odepchnęła jego niosącą pieśczęty dłoń, uderzyła małymi pięściami, gryzła, miotła się w miłosnym amoku, pełna pożądania i gniewu zrazem. W końcu ją powstrzymał, dyszącą i zaplątaną we własne włosy. Ostatnie pchnięcie omal nie naruszyło jego dominacji, ale przyszpilił ją, jakby chciał przedłużyć walkę, a teraz trzymał Ebony, podnieconą i pełną wyczekiwania.

- Oto moja piękna - szepnął. - Oto moja czarnowłosa furia. To był trudny dzień, prawda, ukochana? Mam rację? - Wziął ją bez wstępów, bo właśnie tego chciała, kochał się z nią żarliwie i tak gwałtownie, że krzyczała, spazmatycznie uderzając głową o poduszki.

- Dalej - jęknęła - dalej... i dalej. Nigdy... nie przestawaj! Potrzebuję cie, Alex.

Chętnie wypełnił jej polecenie. Chwyliła go za ramiona, jej dzikość szybowała jak orzeł, sięgając wyżyn ekstazy, a on przyśpieszył, doprowadzając do błyskawicznego spełnienia, które zabrało ich daleko w przestrzeń, gdzie wybuchnęli niczym gwiazdy.

- Zostań - błagała po chwili. - Zostań tam. - Mocno zacisnęła uda. Ciekawe, czy go zabolalo. Gdy się roześmiał, już wiedziała, że tak. - Należało ci się - powiedziała ponuro.

- Moja kobieta - wydyszał. - Moja. Cała moja.

Chciałaby spytać o dokładne znaczenie jego słów, ale brakowało jej odwagi. Nie chciała się narazić na jego śmiech, na

odrzuć. Wkrótce Alex ruszy do Newcastle, bo jego praca na zamku Kells dobiegała końca. W jego życiu nie było miejsca na trwałe związki.

Porzuciła te smutne rozważania i zaczęła leniwie badać ciało Aleksa. Opuszkami palców muskała gładkie, twarde jak skała powierzchnie, krzywizny i bruzdy. Po chwili poczuła, jak znów zaczął się poruszać, rytmicznie, zachwycająco.

Uniósł się, dotykając jej twarzy wargami.

- Powiedziałaś, że mnie potrzebujesz. Mówiłaś poważnie?

Wahała się, ale musiała odpowiedzieć mu szczerze.

- Tak. Myślę, że dzisiejszy dzień to udowodnił.

- W takim razie jedź ze mną do Lanercost.

- Przecież to całe mile od Carlisle, a ja muszę przynajmniej spróbować ją odnaleźć.

- Wiem i pomogę ci w tym, ale jest ktoś, kogo chciałbym ci przedstawić. - Rytm jego poruszeń stał się bardziej zdecydowany, odrywając jej myśl od starannie przygotowanego argumentu. - Poza tym też cię potrzebuję. Mówiłem ci przecież, że nie zostawię cię samej. Nie pamiętasz?

- Byłeś zły, kiedy to mówiłeś.

- Nieważne. Jesteś moją kobietą, Ebony. Nie zostawię cię i nie pozwolę, byś ty zostawiła mnie. Jedź ze mną. Nie powinniśmy tracić czasu.

O czym on mówił? Czy to kolejne czułe przekomarzanie, które już wkradło się w ich miłosne spotkania? Czy też chciał jej wynagrodzić chłód okazywany w ciągu dnia?

- Wyzywam cię - szepnęła mu do ucha. - Jeśli uda ci się jeszcze raz, wygrałeś. Pojadę z tobą.

- Oto rodzaj wyzwania, jaki lubię, kochanie - powiedział ze śmiechem.

Jednak ona miała zamknięte oczy i wcale nie było jej do śmiechu.

Następnego dnia przypadała niedziela, a Lanercost leżało niemal dwa dni jazdy na wchód od Dumfries z drugiej strony starożytnego muru zbudowanego przez rzymskiego cesarza Hadriana. Ebony nie chciała pytać, jaką sprawę miał sir Alex do załatwienia w Anglii, a nieproszony nie mówił jej o tym. Był natomiast bardzo pewny siebie, gdy pozdrowił ją przy śniadaniu. Zdobył się nawet na żartobliwy uśmiech, kiedy teatralnym gestem położył poduszkę na jej ławie, a także zapewnił, że będą serdecznie przyjęci w Gretnie. Wreszcie wyruszyli.

Wschodnia część miasta i leżące za nią nieużytki znów skłoniły ją do myśli o cierpieniu wieśniaków. Podczas godzin, które spędziła uwięziona, tylko szczury mając za towarzystwo, zapanowała nad strachem i zaczęła obmyślać sposoby ulżenia ludziom, za których była odpowiedzialna. Zamek Kells, przynajmniej na razie, był pod jej opieką, i to ona powinna naprawić szkody wyrządzone przez zaniedbania jej teścia.

Te rozmyślania przerwał sir Alex, który zaczął opowiadać o nielegalnych działaniach Davy'ego Moffata. Część informacji on i Hugh wyciągnęli od gadatliwych gości na stypie, inne przekazali ranni mężczyźni, którzy towarzyszyli swemu panu w jego ostatniej wyprawie, schwytani najemnicy, którzy napadli na zamek, skorumpowany zarządca, a także ludzie z Dumfries. To, że posłużyła jako pionek podczas akcji aresztowania Davy'ego, nie ulegało kwestii, ale nie miała o to pretensji, wręcz przeciwnie, odczuwała niejaką dumę, że przysłużyła się dobrej sprawie. Natomiast wciąż nie

mogła się otrząsnąć z szoku na myśl o niezmierzonej ambicji Davy'ego, który, by osiągnąć swój cel, był gotów do wszelkich niegodziwości, a nawet zbrodni.

Sir Alex wyjaśnił jej, że Davy chciał poślubić już czternastoletnią Ebony Nevillestowe, jedyną córkę bogatej wdowy lady Jean. Rodzina Nevillestowe'ów z Carlisle cieszyła się powszechnym poważaniem i każdy Szkot wchodzący w nią przez małżeństwo zdobywał użyteczne kontakty, które znakomicie służyły interesom, a także dawały asekurację w niepewnym politycznym klimacie. Jednak, ku wściekłości Davy'ego, jego wuj okazał się szybszy. Ebony wysłano do zamku Kells i zamieszkała w rodzinie Moffatów, a małżeństwo Davy'ego, które miało miejsce wkrótce potem, zakończyło się tragedią, bo jego żona zmarła w połogu wraz z ich pierworodnym.

Tymczasem Davy zaczął prowadzić nielegalne interesy, które sprytnie ukrył pod przykrywką handlu winami. Wkrótce wciągnął w to sir Josepha, przekonując go do magazynowania i rozprowadzania dóbr, o których ten nie wiedział, że pochodzą z przemytu i piractwa. Naiwnie ufając bratankowi, sir Joseph uwierzył, że godność sędziego pokoju stawia go poza wszelkim podejrzeniem, a pozycja na zamku Kells jest nienaruszalna. Ruszał więc na łupieżcze wyprawy i zadawał niewiele pytań, kiedy Davy dzielił się z nim łupami i pomagał znajdować kupców na konie galloway.

Jednak Robbie Moffat odkrył, co się dzieje, i nakazał Davy'emu przestać, grożąc, że powie ojcu, do jakiego stopnia wplątał się w sieć, choć nigdy by się nie zgodził na piractwo, przemyt ani sprzedawanie koni Anglikom, chociaż najazdy uważał za usprawiedliwione. Ot, smutna rzeczywi-

stość, robił to, co należało, bo gromadzenie zapasów było warunkiem przetrwania.

W tej sytuacji Davy postanowił zamknąć Robbiemu usta i posłał opłaconych ludzi do jego domu, by go zastraszyli, ale posunęli się za daleko. Robbie stracił nie tylko dom.

- Dobrze się czujesz? - spytał sir Alex, zerkając na spoczęła twarz Ebony.

- To on... Nie mogę w to uwierzyć.

- Przykro mi. Wiem, jakie to trudne dla ciebie, ale powinnaś znać prawdę.

- Tak... Co jeszcze, Alex?

- Jak wiesz, Davy planował ożenić się z tobą, jak tylko owdowiałaś. Zależało mu na jeszcze łatwiejszym dostępie do sir Josepha i zamku, chciał też przechwycić dziedzictwo Sama, zanim twój syn osiągnie pełnoletność. Robił więc, co w jego mocy, by przekonać sir Josepha, że będzie z niego idealny zięć.

- Nie musiał bardzo się starać. Sir Joseph nigdy nie trafił okazji, by mnie do tego nakłonić, ale było zbyt szybko po... po...

- Tak, naturalnie.

- Zresztą i tak nigdy bym się nie zgodziła. Nie lubiłam go, podobnie jak Sam.

- Cóż, w tej sprawie nie poczynił postępów, za to bardzo rozwinął nielegalny handel. Dostarczał kuce wrogim wojskom, sprowadzał broje, zboże i luksusowe towary dla każdego, kto miał pieniądze. Rozwinął przemysł na wielką skalę, miał rozległe kontakty z piratami, a wszystkie transakcje sygnował sir Joseph swoją pieczęcią, ufając, że są zgodne z prawem. Jedyne, czego Davy jeszcze pragnął, to ty i Sam. Aż wreszcie do sir Josepha zaczęły docierać pogłoski, że nie

wszystko jest tak jak powinno. Zaczął zadawać niewygodne pytania, co zaniepokoiło Davy'ego. W tym samym czasie pogłoski o kucach dotarły do nas. Posyłano je nie tam, gdzie należało. Polecono nam przeprowadzić dochodzenie.

- Sir Joseph zginął w najbardziej dogodnym dla Davy'ego momencie. Czyżby...

- Przykro mi. Przyjechaliśmy parę godzin za późno.

- To nie był wypadek? A stał za tym Davy?

- Posłużył się tymi samymi najemnikami, którzy podpalili twój dom. Zasadzili się na sir Josepha, kiedy jechał na rozbój, i tak go poranili i poparzyli w zainscenizowanym pożarze, by nie miał szans przeżyć. Ot, nieudana zbójcka wyprawa... Nikt niczego nie podejrzewał, jednak Davy Moffat popełnił błąd, mianowicie szykując napad na zamek Kells, by zabrać zgromadzone łupy, wybrał tych samych ludzi, a my schwytaliśmy czterech z nich. Musiał tak działać, bo nie miał wolnej ręki, przecież w zamku roіło się od królewskich żołnierzy.

- To wyjaśnia, dlaczego Davy pierwszy przyjechał na grzeb. Oczekiwał wiadomości o śmierci sir Josepha i natychmiast ruszył w drogę.

- Właśnie, lecz wszystko poszło nie tak. Myślał, że swobodnie będzie mógł buszować po zamku, co okazało się jednak niemożliwe. Powinnaś wiedzieć jeszcze o jednym. Davy zatrudniał ludzi, którzy napadali na opactwa i kościoły, szkockie i angielskie. Ma beczki soli zmagazynowane na zamku skradzione z opactwa Holme Cultram po tamtej stronie Solway. Mnisi żyją z tego, że odzyskują sól z morza, a jednak on najeżdżał opactwo raz za razem, w miarę jak ceny rosły.

- Sól! Jest warta tyle co złoto, uncja za uncję!

- To prawda. Od lat zwykli ludzie nie mogą solić mięsa ani ryb na okres zimy. Jesteśmy także bliscy uzyskania in-

formacji, ile koni stracili mnisi z Lanercost na rzecz stajni zamku Kells, tak jak baron Cardale.

- Klasztor Lanercost? Dlaczego troszczysz się o to, co należy do angielskich mnichów?

- Cóż, kucyk Sama ma na boku wypalone L, oznacza Lanercost.

- No tak, ale kucyk pochodzi ze stada sir Josepha.

- A więc to tajemnica, którą musimy rozwikłać.

- Znasz przeora?

- to bardzo dobrze, podobnie jak wielu Anglików. I Angielek.

Nie odpowiedziała na to, obawiając się, że taka jest prawda, a ona wcale nie jest ostatnią z Angielek w kolekcji Aleksa. Zresztą to teraz nie miało aż takiego znaczenia. Ostatnie rewelacje wprost ją poraziły. Komu z ludzi, o których sądziła, że ich zna, mogła tak naprawdę zaufać?

Rozdział dziesiąty

Springfieldowie z Gretna Manor widzieli w swym życiu mnóstwo zbrojnych napadów, bo ich wielki ufortyfikowany dom tkwił na przekór wszystkiemu na jednym z głównych przejść granicznych między Anglią i Szkocją. Jednakże zrozumienie, dlaczego Leon Springfield i jego liczna rodzina wciąż tu mieszkali, nie sprawiało nikomu trudności, bo dom stał frontem do szerokiego ujścia rzeki znanego jako Solway Firth, zdradliwego obszaru mielizn, przybrzeżnych równin błotnych, słonych błot, mchów, wrzosowisk i torfowisk, po których tylko miejscowi potrafili stąpać w miarę pewnie i gdzie wielu podróżnych zaskoczył przyływ albo ukryte koryto rzeczne. Z tego płaskiego jak stół bezmiaru morza i nieba Ebony daleko na północy widziała góry Galloway, a na południu - angielskie zbocza Lakeland. Zachodnie wiatry smagały jej twarz i szarpały za poły peleryny, zatykając uszy i pozostawiając głuchą na uwagi sir Aleksa.

- Tam! - zawołał po raz trzeci. - Popatrz tam.
- Co takiego? - odchrząknęła, ściągając cugle klaczy. - O co chodzi?

Chwycił klacz za uzdę, wskazując groźny zarys zbudowanego na planie kwadratu kamiennego dworu, który pojawił się w oddali, szary na tle ziemi i chmur. Mewy krzyczały i zataczały koła nad szeregiem mężczyzn, którzy stali zanurzeni po piersi w morzu, trzymając wędziska i sieci i starym jak świat sposobem łowili łososie i trocie.

- Tam zatrzymamy się na noc. Gretna Manor. To przyjaciele.

Te pogodne słowa nie wywołały oczekiwanego uśmiechu na jej twarzy. W obecności przyjaciół ona i Alex powinni okazywać sobie pewne względy po tak długiej wspólnej podróży, podczas gdy Ebony wolałaby nocować wśród obcych, którym nie trzeba niczego wyjaśniać. Jakakolwiek próba wytłumaczenia jej misji nieuchronnie doprowadziłaby do kolejnych pytań.

- O co chodzi? - spytał.

- Pytania - odparła. - Pojawią się pytania.

- Nie, nie pojawią się. Moi przyjaciele wiedzą, kiedy należy milczeć..

Nie trudy podróży, nie towarzystwo ani irytujące opóźnienie absorbowwały umysł Ebony, ale rozdzierające serce obrazy biedy we wszystkich wioskach, przez które przejeżdżali. Kurczowo trzymające się życia rodziny były zdziatkowane, zdarzały się też kompletnie wyludnione wioski, bo ludzie wyginęli wskutek głodu lub najazdów. Na poboczach dróg widać było wypalone i niszczące domostwa, szkielety bydła i owiec, padłe zwierzęta, pokryte przez kłębiące się muchy. Poletka i zagrody przy zrujnowanych chatkach zamieniały się w ugory. Nie wyobrażała sobie, że może istnieć aż takie ubóstwo. Kontrast między jej położeniem a scenami, których była świadkiem, wprost porażał.

Chociaż przyjechali bez uprzedzenia, rodzina Springfieldów powitała ich bardzo serdecznie. Grupka starannie ubranych kobiet wybiegła przez łukowatą bramę zaraz za chłopcami stajennymi. Trzy młodsze panie miały rozpuszczone włosy, które wiatr zwiewał im na twarze, zupełnie jakby chciał skryć ich radość. Najstarsza z nich miała na sobie biały welon i, podobnie jak pozostałe, była blondynką, jeśli sędzić po brwiach.

- Alex... kochany Alex! - zawołała, odwzajemniając jego uścisk. - Co za wycucie czasu. Zobaczyliśmy, jak nadziejdzacie. Możecie zostać dłużej? - Zerknęła na Ebony i wywołała na jej twarzy uśmiech, który umykał jej przez większość dnia. Chociaż sir Alex miał rację, gdy mówił, że nie padną żadne pytania dotyczące obecności damy wśród królewskich żołnierzy, skierowane na nią spojrzenia były pełne ciekawości. I podziwu.

- Wycucie czasu? - spytał Alex.

- Urodziny Seleny - wyszeptwała teatralnie, zupełnie jakby powinien o tym wiedzieć.

- Naturalnie! Przywieźliśmy dla niej osiemnastu moich najprzystojniejszych ludzi i po jednym dla Helen i Christiny. Czy to wystarczy?

- Doskonale. A dama? Przedstawisz nas sobie?

Ebony natychmiast stłumiła wszelkie zastrzeżenia i obawy. Byłoby w niewiarygodnie złym stylu, gdyby z egoistycznych powodów zakłóciła uroczystość. Leon i Betty Springfieldowie serdecznie powitali ponad dwudziestu niezapowiedzianych gości, zupełnie jakby należeli do rodziny, a potem wprowadzili Ebony i sir Aleksa do wielkiej sali, gdzie służący zareagowali ze szkockim stoicyzmem na nową falę biesiadników. Potężnej postury

pan domu o wąsach przypominających włókno kokosa, wykrzykiwał zbyteczne polecenia każdemu, kto się nawinał. W końcu został uciszony przez żonę, która przecież już zarządziła co trzeba. Rudawy i łysiejący, najwyraźniej z zadowoleniem przyjmował fakt, że jego cztery panie traktują go jak pantoflarza, choć naturalnie uskarżał się na to dobroduszenie każdemu, kto tylko chciał słuchać. Jego polecenie, aby przygotować komnatę dla lady Ebony, też nie zostało potraktowane poważnie.

Dwie z córek wyglądały na zirytowane, a najmłodsza zauważyła z przekąsem:

- Ojczy, jak myślisz, co robiłyśmy przez ostatnie pół godziny? Zbijałyśmy baki? - Selena była jego ulubienicą, mogła więc powiedzieć, co jej się żywnie podobało. Pulchna, zadziorna i pełna niespożytej energii, o żywej twarzy i ładnych błękitnych oczach, przypominała Ebony barwinek Już zdążyła ocenić zsiadających z koni ludzi króla. Odnotowała ich zainteresowanie jej osobą i potrząsnęła gęstą blond grzywą, gotowa jak najlepiej wykorzystać każdą chwilę spędzoną w ich towarzystwie.

Christina, starsza od niej o osiemnaście miesięcy, była wyższa i szczuplejsza, miała równie jasne, gęste włosy, ale na jej ślicznej twarzy widać było ślady smutku, błękitne oczy wyrażały przygnębienie, a szerokie usta były mniej skłonne do śmiechu niż u Seleny. Podczas gdy Selena była wciąż ładniutkim dziewczątkiem, Christina przeobraziła się już w piękną kobietę. Wzięła Ebony za rękę i pociągnęła w kierunku łuku między dwiema tkaninami, gdzie stromo wznosiły się kamienne schody.

- Dom jest zbudowany niemal pionowo - wyjaśniła. - Prawie do każdego pomieszczenia prowadzą schody. Ojciec

twierdzi, że dzięki temu jest łatwiejszy do obrony i jak dotąd racja jest po jego stronie.

Najstarsza córka, Helen, poszła za nimi, prawie nie odrywając oczu od Ebony. Zdążyła jedynie zerknąć na sir Aleksa i odpowiedzieć na jego powitanie. Dwudziestodwuletnia Helen przypominała swoje siostry jedynie jeśli idzie o gęste falujące włosy, które w jej przypadku były raczej barwy dojrzałego zboża niż bladej słomy. Tak jak one, nosiła je rozpuszczone. Wyglądały jak sięgająca do pasa peleryna, przykrywająca ramiona, częściowo ukrywająca piękne piersi i smukłą talię. Jaskrawoniebieska suknia przylegała uwodzicielsko do bioder i rozszerzała się na dole dzięki serii sprytnych klinów, który to szczegół Ebony odnotowała z nagle rozbudzonym zainteresowaniem.

Po trzydniowej jeździe na koniu jej stara, wełniana szaroniebieska suknia, do tego przemoczona i pognieciona, na pewno nie była strojem, który by wybrała na urodzinową wieszercę. Milcząco obwiniała o to sir Aleksa. Jej włosy też nie były w odpowiednim stanie. Jednak ku jej uldze starsze siostry zaproponowały, że posłużą za garderobianą i pokojówkę. Christina pożyczyła jej kremową suknię, na którą włożyła jedną z tunik Helen ufarbowaną w łupinach cebuli na cudowny złoty kolor.

Bardziej rozmowna Christina podziwiała efekt, przechyliwszy głowę na bok.

- Leży na tobie lepiej niż na mnie - powiedziała, dotykając piersi.

Ebony uśmiechnęła się.

- Macierzyństwo. Na tym to polega.

- Masz dzieci? - spytała Helen. Jej pozornie beznamiętny głos maskował albo niedowierzanie, albo zazdrość.

Ebony odwróciła się na stołku, by spojrzeć na pytającą, która, według słów sir Aleksa, nie powinna była zadawać żadnych pytań.

- Chłopca, Sama. Ma sześć lat. Zostawiłam go ze szwagierką. To pierwszy raz, jak się rozstaliśmy.

- W takim razie jest w tym samym wieku co...

- Helen! - Ciche ostrzeżenie Christiny przerwało wypowiedź siostry, zbijając ją z tropu.

Nagle Ebony zapragnęła powiedzieć im coś więcej.

- Straciłam męża trzy lata temu podczas napadu. - Zaskoczyła samą siebie spokojem w głosie. - Przyjechali rabusię. Na pewno miewacie z nimi do czynienia, mieszkając na samej granicy.

- Tak - odparła Helen. - Nasz ojciec i bracia pognali za bandą rabusiów rok temu. Obaj nasi bracia zginęli.

Ebony złapała się za głowę, czując przyływ starego bólu.

- Och - powiedziała. - Och... tak bardzo mi przykro. Za ledwie rok! Na pewno wciąż ich oplakujecie. Byli od was starsi?

- Byli naszymi bliźniaczymi braćmi - odparła cicho Christina.

- Bliźniacy! Mój Boże... Każda z was straciła brata bliźniaka? W takim razie została was tylko... - Przerwała, jednak zbyt późno.

- Tak, została nas tylko połowa. Właśnie tak to odczuwamy. Połowa. To dziwne. Pewnie jako wdowa musisz czuć się podobnie, ale wciąż mamy dach nad głową i jedzenie, a to więcej niż zostało wieśniakom.

- Bardzo cierpieli?

- Gretna niemal opustoszała - wyjaśniła Helen. - Oj-

ciec jednak postanowił się stąd nie ruszać i wciąż jesteśmy w stanie odpierać ataki, choć matka wyjechałaby choćby jutro, gdyby miała w tej sprawie coś do powiedzenia. Nauczyła nas odwagi.

- A Selena? Jak czuje się ze świadomością, że straciła braci?

- Odczuwa to równie boleśnie. Uwielbiała ich tak samo jak my. Nie można jednak pozwolić, by to, co się stało, rządziło naszym życiem. Tak mówi matka. Tobie też na pewno nie było łatwo, ale czasy, w jakich żyjemy, są ciężkie i prawie każdy stracił kogoś drogiego swemu sercu.

- Każdy? - zadumała się głośno Ebony.

Siostry zamilkły, patrząc na siebie jakby w oczekiwaniu jakiegoś znaku. Wreszcie Christina wzięła do jednej ręki grzebień z kości słoniowej, a do drugiej gęste pasmo włosów Ebony.

- No, dość tego. Trzeba cię jeszcze uczesać. Nie mamy wprawy w obchodzeniu się z tak prostymi włosami. Mamy je zapleść czy zawiązać w kok? A może rozpuścisz je luźno, jak my?

- Jak wy, jeśli można. Bądźmy wszystkie pannami.

Wieczera urodzinowa była o wiele huczniejsza niż planowali państwo Springfieldowie, a ludzie króla bez najmniejszego wysiłku obdarzali zarówno Selenę, jak i jej siostry należną uwagą. Krótki kontakt Ebony z tą dzielną rodziną zaczął od razu odciskać na niej swój ślad. Żadne z nich nie pograżyło się w żalu do takiego stopnia jak ona, żadne nie zapomniało też o tym, by się stosownie ubierać, uśmiechać i myśleć o potrzebach innych. W obecności tych czterech olśniewających kobiet Ebony zaczęła odczuwać wstyd, że

nawet wyglądem nie próbowała dać przykładu innym, co wszak było powinnością damy. Zadawała sobie pytanie, czy Robbie byłby z niej tak dumny, jak dwaj bracia Springfield mogli być ze swoich sióstr.

Po jakimś czasie Ebony odkryła jeszcze coś, co skorygowało jej początkowe założenia co do przyjaźni sir Aleksa z tą rodziną. Nie raz i nie dwa Ebony zauważyła, jak oczy Helen gwałtownie odrywały się od niego, jak się rumieniła, kiedy coś do niej mówił, jak śledziła jego ruchy, kiedy myślała, że nikt nie patrzy. Kochała go i cierpiała i nikt nie mógł nic na to poradzić, a już najmniej Ebony.

Będąc wciąż tak niepewna jego uczuć, mogłaby sądzić, że doświadczy podobnego bólu, tymczasem uświadomiła sobie, że ból szarpiący ją za serce wynikał raczej z cierpienia Helen, i ze względu na nią bardzo starała się ukryć dumę lśniąca w jej oczach, kiedy była w towarzystwie Aleksa, dumę, której nie spodziewała się odczuwać z powodu mężczyzny tak pozbawionego skrupułów.

W pewnym momencie niespodziewanie znalazła się z nim sam na sam w korytarzu prowadzącym do garderoby.

- Ebony! - zawołał za nią. - Zaczekaj!

Serce jej załomotało, ale zdawała sobie sprawę, że nie powinni tutaj być sami.

- Nie - szepnęła. - Wracaj. Nie jestem...

Przyciągnął ją do siebie, zanim zdołała go powstrzymać. Dłonie zanurzył w jej włosy, nakrył wargami jej usta i spiął z nich pocałunki, wciągając ją we wnękę w ciemnej ścianie, by wziąć jeszcze więcej. Z sali dochodził ich odgłos dud i bębnow, wybuchy śmiechu i brzęk cynowych naczyń.

- No i cóż, podoba ci się ta komedia? - spytał. - Przyjem-

nie ci siedzieć u mego boku jak lodowa księżniczka i udawać, że nic nie czujesz, kiedy wiem, że tęsknisz za moimi objęciami? Lubisz udawać, pani?

- Nie robię tego ze względu na siebie - sarknęła, dotknięta jego brakiem zrozumienia.

- W takim razie ze względu na kogo? Na mnie? Próbujesz troszczyć się o moją reputację? A może wciąż martwisz się o swoją?

Wściekła, próbowała się uwolnić.

- Nic nie rozumiesz! Jak wszyscy mężczyźni jesteś ślepy i głuchy. Myśl sobie, co ci się podoba, ale ja nie mogę się zmienić ot tak. Myślałeś, że mogę? Czy to dlatego nalegałeś, żebym tu z tobą przyjechała?

- Tak. Springfieldowie to moi przyjaciele, Ebony. Nic byś nie straciła, będąc sobą, przynajmniej raz.

- Sobą? - syknęła. - Głupi, ciemny, gburowaty, tępy! Dla odmiany teraz ty mnie posłuchaj. To właśnie ja. Jestem sobą. Tak, chcę wyrazić, co czuję, ale niech mnie diabli, jeśli pozwolę, byś zmusił mnie do tego na oczach rodziny pogrążonej w bólu, tylko po to, by im pokazać, że niczego mi nie brakuje. Tam jest kobieta - powiedziała głosem nabrzmiałym gniewem - która została opuszczona dwukrotnie. Tak, dwukrotnie!

- Wiem o tym - powiedział, próbując trzymać ją nieruchomo w objęciach. - Miały dwóch braci, którzy...

- Dwóch braci i... kogoś jeszcze.

- Kogoś jeszcze? Kogo jeszcze straciły?

- Mówię o Helen! Ona jest przekonana, że straciła ciebie, ty wielki głupi prostaku.

- Co takiego? - Zaciśnął dłonie na jej ramionach. - Mnie? Ona nigdy nie... my nigdy... Dobry Boże... czy ona na-

prawdę tak myśli? Że ja...? Och, Boże! - Jego westchnienie było jak ciepła bryza, kiedy przytulił ją delikatnie do piersi. - To nic - szepnął w jej włosy. - Nigdy niczego nie było. Naprawdę.

- Ona cię kocha. Każdy głupiec by to zauważył.

- Nic na to nie mogę poradzić. Kocham tylko jedną kobietę. Kocham ciebie, Ebony. Już pewnie wiesz o tym. Jesteś jedyną, której dałem powód, by tak myślała. Nigdy z nią nie flirtowałem, z żadną z nich.

- Co powiedziałeś przed chwilą?

- Powiedziałem, że nie flirtowałem z żadną...

- Nie to. Wcześniej. - Ujęła jego głowę. - Co powiedziałeś wcześniej?

- Powiedziałem... że cię kocham. - Ta deklaracja wyknęła się spomiędzy szeroko rozciągniętych warg. - A gdybyś puściła moją twarz, powiedziałbym to bardziej... no... przekonująco.

Rozluźniła uścisk.

- Lepiej nie.

- Dlaczego?

- Dlatego - zaczęła powoli - że ja następną cię stracę, a nie mam odwagi Helen i... - Nagle zabrakło jej tchu. - Myślę, że mimo wszystko powinnam cię tu zostawić i pojechać do Carlisle sama. Ten dom to dobre miejsce na rozstanie.

Teraz on ujął jej twarz.

- Chcesz powiedzieć, że nie możesz odwzajemnić mojej miłości?

- Nie, tego nie mówię.

- A więc co? Co mówisz?

- Że jesteś rycerzem w służbie króla, nie masz i nie chcesz mieć domu, w twoim życiu nie ma miejsca na sta-

łe związki. Ja ryzykuję. Jestem bezbronna. Muszę chronić siebie i swoje dziecko, nie mówiąc o reputacji. To zaszło zbyt daleko, Alex. - Podczas gdy mówiła, gładził jej brwi i policzki. Zdawała sobie sprawę, że tym razem słuchał jej bardzo uważnie.

- Myślisz, że nie wiem o tym wszystkim? - szepnęła.

- Na tym polega problem. Nie wiem, co myślisz.

- W takim razie zrobiliśmy pewien postęp. Już wiesz, że cię kocham, dziecinko. - Oczywiście zaakcentował te słowa pocałunkiem. - A jeśli tylko zgodzisz się pojechać ze mną do Lanercost zamiast do Carlisle, dowiesz się, o czym myślę. Czy możesz sobie pozwolić na odrzucenie takiej oferty? - Czekał na jej odpowiedź. - Ebony? - szepnęła. - Kochanie? Ukochana?

Powstrzymała szloch połączony ze śmiechem.

- Nie - odparła.

- A więc czemu się wahasz?

- Nie wiem. Bo się zmieniam. Bo powiedziałaś, że mnie kochasz. Bo kocham cię i nie mam odwagi tego powiedzieć. Bo wciąż mogę cię stracić.

- Oto kobieca logika.

- Alex, zrobisz coś dla mnie?

- Wszystko, czego sobie życzysz.

- Porozmawiaj z Helen. Okaż jej swoje zainteresowanie. Spędź trochę czasu u jej boku.

- Naturalnie. I przedstawię jej Sandy'ego. Gapi się na nią przez cały wieczór jak zakochane ciele. Zostaw to mnie.

Było już późno, kiedy uroczystości zakończyły się wesółymi zapasami na rękę między Seleną a kilkoma wysłannikami króla, którzy co do jednego pozwolili jej

wygrać. Potem Ebony udała się z Helen do sypialni. Po kilku szklankach czerwonego wina zrodziło się między nimi nieśmiałe zaufanie. Ebony rozwiązała boczne sznurówki obcisłej sukni i ponowiła pytanie pozostawione bez odpowiedzi.

- Mówiłaś wcześniej, że mój Sam jest w tym samym wieku co ktoś inny. Czyżbyście miały jeszcze jednego brata?

Helen wysunęła się z sukni, po czym odpowiedziała:

- Nie, nie brata. Nie miałam pojęcia, że nie wiesz. Pewnie nie powinnam była o tym wspominać. - Wahala się przez moment, ale pokusa była zbyt silna. - Nie wiesz o nim zbyt wiele?

Ebony usiadła na łóżku i zaczęła zaplatać włosy.

- O sir Aleksie? Nie, prawie nic.

- Nigdy go nie pytałaś?

- Nie. - Odpowiedź zabrzmiała zbyt ostro, dlatego Ebony dodała: - Prowadził dochodzenie w sprawie mego zmarłego teścia. Nie jesteśmy w najlepszych stosunkach, jak nietrudno się domyślić. Musiałam pilnie jechać do Dumfries, a teraz z kolei on musi jechać do klasztoru Lanercost, to wszystko.

- No cóż, dobrze, w takim razie zobaczysz go sama.

Ebony przerwała zaplatanie warkocza, chcąc przyjrzeć się twarzy Helen w świetle świecy, ale gęsta masa falujących złotych włosów całkiem ją zasłoniła.

- Kogo? - spytała.

- Synka sir Aleksa. Jest mniej więcej w tym wieku co twój chłopak.

- Syna? On ma... syna? Nie, nie wiedziałam o tym. - Helen miała rację. Nie wiedziała o nim wiele.

- Cóż, nie widzę nic złego w tym, że ci o tym powie-

działam, skoro jutro i tak go zobaczysz. Mieszka w klasztorze.

- Nie ma matki?

- Nie. Klasztor jest o rzut kamieniem od muru Hadriana. Moim zdaniem to niezbyt bezpieczne miejsce dla małego chłopca, bo w okolicy wciąż dochodzi do napadów.

Nie mogła obwiniać Helen, że jej o tym powiedziała, przecież sama drażyła temat. Nie zdawała sobie jednak sprawy, że szok, jaki przeżywa, odbija się na jej twarzy i że Helen odczuwa z tego powodu swoistą satysfakcję. Po spotkaniu w korytarzu Ebony trzymała się mniej oświetlonych części sali. Przez jakiś czas rozpamiętywała słowa, których nie spodziewała się usłyszeć z ust tego, którego kochała, jednak teraz uświadomiła sobie, że usłyszała w nich coś jeszcze, zupełnie jakby ich znaczenie niosło z sobą dodatkową odpowiedzialność, wybór, warunek. Była zadowolona, że zareagowała z rozważą.

Leżąc u boku Helen w dużym łóżku, otoczona ostrym, nieprzyjemnym zapachem zgaszonych łojówek, przypominała sobie, jak kiedyś w gniewie spytała Aleksa, jak często widuje się z dziećmi, które spłodził. Jego odpowiedź „za rzadko” nic dla niej nie znaczyła poza jednym: zrozumiał, że chciała go obrazić. A więc czy dziecko, które zostawił u augustynów w Lanercost, pochodziło z nieprawego łoża? I czy znalazło się tam dlatego, by rozpocząć nowicjat, co było typową drogą życiową nieślubnych synów szlacheckich? Tak czy inaczej, chociaż wiadomość ją zaszokowała, nie miało sensu formułowanie wniosków, dopóki nie pozna całej historii. Bez wątpienia Aleks zamierzał ją ujawnić, skoro obiecał, że wszystko jej powie. Najpierw wyznanie miłości pograżonej w bólu wdowie, a potem prośba o zapewnienie

bezpieczeństwa i szczęśliwego domu jego synowi, podczas gdy on wyruszy z kolejną misją w imieniu króla. Nie tak trudno było się domyślić, co mu chodzi po głowie, pomyślała. Dobrze się stało, że została uprzedzona.

Mimo sceptycyzmu Ebony i bólu serca Helen, następnego ranka o świcie oczom pani Springfield, która weszła do sypialni Helen, by obudzić gościa i córkę, ukazał się niezwykły widok. Cztery młode kobiety, trzy jasnowłose, a jedna o włosach barwy hebanu, w całkowitym milczeniu wyskubywały sobie nawzajem brwi, od czasu do czasu wydając bolesne jęki.

- Cóż - powiedziała cierpko, siadając na jedynym wolnym stołku. - Wszystko po kolei, naturalnie.

Ebony i Alex wyjechali z zamku Kells w przekonaniu, że Hugh i Meg osiągnęli wprawdzie niepewny, ale dość stabilny rozejm, i że każde z nich odpowiada za swoje sprawy. To przeświadczenie okazało się stanowczo zbyt optymistyczne. Nie minęła nawet godzina od ich wyjazdu, a już zaczęły się spory i sprzeczki, twarzą w twarz i przez pośredników. Chociaż Meg czuła, że to najlepszy sposób trzymania Leylanda w ryzach, wiedziała też, że nie da się długo ciągnąć tego procederu.

Wybuch nastąpił jeszcze w dniu wyjazdu Ebony i Aleksa, cztery dni po tym, jak Hugh potraktował Meg po incydencie na dziedzińcu stajennym. Tym razem, po serii nieistotnych sporów na temat punktualnego przychodzenia na posiłki, mężczyzn dokuczających praczkom, tego, kto ma prawo wyznaczyć nowego zarządcę posiadłości i zachęcania Sama do siusiania z muru obronnego, katalizatorem okazał

się brat Walter, który wciąż nie czuł się najlepiej. Uznawszy źle samopoczucie kapelana za wyolbrzymione, Hugh orzekł, że tydzień niewykonywania obowiązków parafialnych wobec mieszkańców wsi, z których jeden pilnie potrzebował chrztu, to aż nadto. Mąż wieśniaczki, która niedawno urodziła, przyszedł na zamek ze skargą.

Kiedy Hugh poszedł zobaczyć się z bratem Walterem, zastał przy nim Meg, która trzymała mu głowę pod lnianym ręcznikiem nad miską parującego naparu z niecierpka.

- Kiedy skończy - zakomunikował Hugh bez wstępów - proszę mu powiedzieć, żeby przyszedł do mnie porozmawiać o swoich obowiązkach.

Kapelan, który nie cierpiał na zaburzenia słuchu, wyprostował się, chcąc przemówić w swoim imieniu, skutkiem tego lecznicza para uciekła, a rozdrażnienie Meg powróciło.

- Dobrze, panie Hugh - powiedział kapelan, a krople kapły mu z czerwonego nosa. - Zaraz do ciebie przyjdę, panie, proszę mi tylko dać...

- Nic podobnego - zrugła go Meg, chwytając księdza za głowę i znów nakrywając ręcznikiem. - Będiesz siedział w komnacie i odpoczywał. Nie widzisz, jak on cierpi? - sarknęła na Leylanda. - Biedak ledwie oddycha.

- A ty, pani, nie potrafisz liczyć się ze słowami. Może twój ojciec miał gdzieś wędzidło sekutnicy. Muszę się rozejrzeć. - Hugh odwrócił się do niej plecami z ręką na zapadce. - A jeśli nie uda mi się go znaleźć, powiem płatnerzowi, żeby przygotował je na jutro. Może to ukróci pani temperament.

Doświadczwszy już jego bezwzględności, Meg potraktowała tę groźbę poważnie, zwłaszcza że w ciągu ostatnich kilku dni wcale się do niej nie zalecał. Nie wiedziała, czy cze-

kał, aż stanie się bardziej uległa, czy też uznał, że jest zbyt niezdolna i dał sobie spokój. Tego ani nie przewidziała, ani nie chciała, bo poznała już łęki i rozkosze pierwszej miłości. Jednak nosić wędzidło sekretnicy na oczach wszystkich domowników to byłby wstyd, którego nigdy by jej nie zapomniano. Po czymś takim pozostanie jej tylko skoczyć z zamkowej wieży!

Przez resztę dnia nikt nie widział Leylanda, nie jadł też z nią wieczerzy przy głównym stole, tylko w głębi sali ze swoimi ludźmi. Przebywał w ich towarzystwie przez cały wieczór.

Południowy posiłek następnego dnia przebiegał tak samo. Nawet Sam się tym zaniepokoił.

- Ciciu Meg, dlaczego pan Hugh z tobą nie rozmawia?

Tak jak wszyscy inni, Janet też coś zauważyła.

- Bo jest zajęty - powiedziała zwięźle.

Biddie już przedtem omówiła ten problem z Joshem.

- Bo musi wykonywać pracę sir Aleksa - odparła - a to oznacza, że powinien więcej niż zwykle przebywać z mężczyznami.

- A więc dlatego wyszedł właśnie z Willem płatnerzem? - spytał Sam. - Pan Will powiedział mi, że robi dla niego coś skomplikowanego.

Meg pobladła i zsunęła się z wyścielanej ławki, jakby sobie nagle o czymś przypomniała.

- Przepraszam - bąknęła.

Dopadła Leylanda i płatnerza na schodach prowadzących na dziedziniec, nie mając pojęcia, w jaki sposób im przerwać, by wyglądało to naturalnie.

Hugh uniósł głowę.

- Tak, pani?

Zwykle bystry umysł tym razem nie przyszedł jej z pomocą.

-No... -zaczęła.

Płatnerz zrozumiał aluzję i poszedł dalej, natomiast Hugh ani się nie uśmiechnął, ani nie powiedział choćby jednego zachęcającego słowa. Czekał, aż ona przemówi, celowo utrudniając jej zadanie.

- Tak? - podsunął. - Chcesz, pani, ze mną rozmawiać? Brat Walter na pewno ci powiedział, że rozwiązaliśmy sprawę jego obowiązków?

- Tak... nie, nie o to chodzi.

- Och? W takim razie o co? O Biddie, a może o Janet?

- Proszę - szepnęła, patrząc na zadarte z ciekawością głowy na dziedzińcu. - Czy możemy porozmawiać... na osobności? - Zaledwie przed tygodniem skorzystałby skwapliwie z takiej okazji, ale po jego obojętnej, milczącej zgodzie poznała, że wszystko się zmieniło i że to jej wina.

Poprowadziła go ku wieży bramnej. Minęli spuszczaną kratę i przeszli przez zwodzony most, pod którym przepływała rodzina łabędzi. Skierowali się w prawo na wąską ścieżkę i poszli bez słowa ku skrajowi lasu, gdzie Hugh i sir Alex zebrali swoich ludzi tamtego brzemienego w skutki ranka niemal dwa tygodnie temu. Wreszcie ukryta przed spojrzzeniami domowników, Meg zatrzymała się przy dużym głazie i zwróciła ku Leylandowi twarz z większą, niż kiedykolwiek odczuwała, niepewnością i trwogą.

-Panie Leyland... to trudne... no... dla mnie... - Nerwowo zaczęła skubać mech.

- Tak, mogę sobie to wyobrazić.

- Tak - potwierdziła, zaciskając zęby. - Minęło dopiero dwa tygodnie od śmierci mego ojca i nie był to łatwy okres... dla mnie... dla nas... dla żadnego z nas.

- W samej rzeczy.

W zgodzie Leylanda było coś, co ją zirytowało. Zerknęła na jego gibką sylwetkę. Ręce miał złożone na piersiach, a wyraz twarzy zaskakująco ponury, za to oczy leniwie lustrowały jej postać, podczas gdy ona wolałaby dostrzec w nich choć cień zrozumienia, jeśli nie współczucie.

- A więc - wzięła głęboki oddech - więc... jeśli wydałam się... no... drażliwa, porywcza, w pewnym sensie niegrzeczna... - Chciałaby, żeby w tym momencie zaprotestował, powiedział, że miała wszelkie powody do zdenerwowania, ale stał nieruchomy i milczący, tyle że przechylił głowę na bok, jakby chciał popatrzeć na nią pod innym kątem. - Tak, cóż, zapewne rozumiesz, panie, co próbuję powiedzieć.

- Obawiam się, że nie, pani - odezwał się po chwili milczenia. - Chyba że zamierzasz mnie przeprosić za swoją kłótniowość.

- Cóż - warknęła, rzucając kawałek mchu na jego buty - właśnie to próbowałam powiedzieć, ale...

- W takim razie dlaczego po prostu tego nie powiesz, pani? No dalej, proszę spróbować.

- Ponieważ ty, panie - krzyknęła, zaciskając dłonie w pięści - jesteś najbardziej irytującym i upartym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek spotkałam, i nie mam nic więcej do powiedzenia. Przyszłam tu dać ci szansę... nie, dać sobie szansę... och, na litość boską!

Jednak Hugh, który od razu przejrzał jej plan, nie mógł

dłużej zachować powagi. Kiedy próbowała odmaszerować wielkimi krokami, objął ją ramieniem, zanim zdołała się uchylić, tak że straciła równowagę i wpadła prosto w jego objęcia. Trzymał ją przy głazie pod tak niewygodnym kątem, że nie mogła się wyprostować.

- Dać ci szansę na co, jędo? - spytał. - O ile sobie przypominam, miałaś mnóstwo szans wyjścia mi naprzeciw jednym choćby miłym słowem, zamiast rzucać się jak wściekły pies. Czy to twój sposób doprowadzenia do współpracy? Warczenie na każdego?

Meg właściwie nigdy nie płakała, ale ostatnie dwa tygodnie były dla niej wyjątkowo trudne i teraz, przerażona tym, co on zamierzał zrobić, by ją ukarać, nie była w stanie się opanować. Wizja siebie w znieawidzonym wędzidle sekutnicy przeraziła ją. Urządzenie złożone z dwóch żelaznych opasek zrobionych tak, by pasowały na głowę, miało metalowy występ, uniemożliwiający sekutnicy poruszanie językiem i było zamknięte z tyłu na kłódkę. Widziała je tylko raz jako dziecko. Nosiła je wioskowa plotkarka przez kilka upokarzających godzin. Po policzkach popłynęły jej łzy.

- Nie - wychrypiała. - Nie, to nie tak. Przepraszam. Proszę... nie zmuszać mnie do noszenia jednej z tych... rzeczy. Proszę... pozwolić mi się wytłumaczyć.

Puściwszy ją, Hugh ujął ją delikatnie za podbródek, a jego mina nie zdradzała zdumienia.

- Jednej z... jakich rzeczy? - spytał.

Nowe łzy pojawiły się na miejsce tych, które otarła pięściami.

- Wędzidło - załkała. - Nie możesz być tak okrutny. To nie będzie potrzebne. Teraz widzę, że zmieniłeś zdanie i nie

jestes we mnie zadurzony, ale nie ma... nie ma potrzeby... potrzeby tego robic. Bede ci, panie, schodzic z drogi i...

Bez slowa zlapal ja na rece i przeniosl na skraj drzew, gdzie grunt opadal stromo w strone jeziora. Tam posadzil ja sobie na kolanach, przytulajac do piersi, gladzac jej wlosy i ocierajac lzy, wywolane przez smierc ojca, strach i nagle rozkwitla milosc.

- Ciii - szepnal - powiedz mi wszystko. To bylo dla ciebie trudne, wiem i bylaś wspaniala. I nie, nie musisz schodzic mi z drogi. Wcale tego nie chce. Chce, byś wchodzila mi w droge, moja slodka Meg, i wciaz jestem zadurzony. Myslalas, ze cię nie kocham, moja mala prowokatorko? Oczywiscie, ze cię kocham. Jak moglas myslec, ze jest inaczej.

- Kochasz mnie? - Przelknela slinę. - Jesteś pewien? Nie mówiles mi tego.

- Calkowicie pewien, zlosnico. Nie mówilem, poniewaz nie odpowiada, mi chodzenie bez glowy. To nie wpływa dobrze na mój wizerunek. Oczywiscie, ze cię kocham. Nigdy nie myle się w takich sprawach.

- A wiec juz kiedyś kochales? - spytala cicho.

Jego pocałunek, o którym marzyła od czterech dni, powiedzial jej o nim wiele wspanialych rzeczy. Kiedy go poglebil, jej mysl oderwala się od niepokoju i lekow, które ja trapyly, i skupila się na miejscu, gdzie jej doznania byly sterowane jego wargami i niecierpliwą dłonią. Niezależnie od tego, czy był juz kiedyś zakochany, czy nie, z pewnością wiedzial, co robic z damską garderobą.

Jak poprzednim razem, tak i teraz, gdy chcial posunac się dalej, zlapala go za nadgarstek.

- Nie - szepnela. - Nie wolno ci.

- Dłoń znieruchomiała i ostrożnie wycofała się.
- Nie - powtórzył. - Nie wolno mi, prawda? W takim razie pozwolisz, że ci coś pokażę?
 - Gdzie? - Poszła za jego wzrokiem. - W jeziorze?
 - Nie, tutaj. Jest coś, co chciałbym, byś zobaczyła. - Prowadził zdziwioną Meg na skraj urwiska, położył się na ziemi, pociągnął ją za sobą i dał znak, by zerknęła przez pierzaste liście paproci. - Co widzisz?
 - Nic. Wodospad i tyle.
 - Tak. A kto kąpał się tam o świcie w dniu naszego przybycia na zamek?
 - Ebony i ja. Czemu pytasz?
 - No cóż, kochanie, nie byliście zupełnie same. W tym właśnie miejscu miałyście dwuosobową publiczność. Czekaliśmy tu przed wyruszeniem na zamek. A więc widzisz, ja już...
 - Widziałeś? - Zgorszona próbowała się odsunąć, ale błyskawicznie objął ją ramieniem. - Widziałeś mnie i Ebony bez...! - Usiłowała się uwolnić, ale bezskutecznie.
 - Bez niczego, moja rudowłosa. I zakochałem się w tobie od pierwszego wejrzenia. Byłaś najbardziej... leż spokojnie... najbardziej apetycznym stworzeniem, jakie widziałem w całym moim życiu.
 - Nie! To okropne! - piszcziała. - Podglądacze!
 - przysięgam ci, że będę cię miał. Wyjdź za mnie, słodka Meg. Proszę, wyjdź za mnie.
 - Nie, nie wyjdę! Miałam rację. Wy, mężczyźni, myślicie tylko o jednym, no i w skandaliczny sposób naruszyliście naszą prywatność. To nie w porządku, sir.
- Cokolwiek jeszcze zamierzała dodać o braku honoru, natychmiast znikło, kiedy jego wargi, wędrując po jej karku,

dotarły do ust. Całował ją, aż zabrakło jej tchu i zapomniała o wszystkim. Kiedy jej umysł przechodził transformację, nad którą nie miała władzy, Hugh umiejętnie zsunął jej ubranie z ramion i piersi, zatrzymując się dłużej nad małymi brązowymi pączkami, które pod nieznaną dotychczas pieszczołą stwardniały i wyprostowały się.

Uniósł głowę i popatrzył w jej na pół zamknięte oczy.

- Wyjdiesz za mnie, Meg - szepnął - i razem wyprodukujemy mnóstwo rudowłosych chłopców jak młode lisięta. Nie, nie tutaj, jeszcze nie, ale wkrótce. Jesteś moja, złośnico. I od dziś możesz zapomnieć o tym, co ci się wydaje, że wiesz mężczyznach, ich myślach i pragnieniach. Byłaś moja od chwili, kiedy zobaczyłem cię w zatoczce, a teraz wrócisz ze mną jak jagnię i nie będzie więcej łajania i burczenia. Zrozumiano?

Przytaknęła.

- Wędzidło...? Ty nie...?
- Nie, powiem Willowi, żeby na jakiś czas je odłożył.
- To dobrze. Nigdy nie zamierzałam... przepraszam... to tylko...
- Wiem. Chcesz tu zostać, czy obowiązki cię wzywają?
- Możemy tu zostać przez chwilę, tak jak teraz? - Przytuliła się do niego, tym razem nie zgłaszając zastrzeżeń, kiedy jego dłoń delikatnie pieściła jej ciało, a odgłos płynącej wody towarzyszył westchnieniom rozkoszy.

Gdyby ktokolwiek powiedział Leylandowi, że zbliżenie się do tej kobiety zajmie mu prawie dwa tygodnie, roześmiałyby się z pogardą, jako że nigdy przedtem nie przydarzyło mu się nic podobnego. Jednak teraz to z niego można było się śmiać, bo zakochał się do szaleństwa. Będzie musiał przekonać ją, że bez względu na jej zastrzeżenia naprawdę

chce się z nią ożenić. Jeszcze jedno. Będzie musiał też przekonać o tym Aleksa i ponieść konsekwencje zwolnienia ze służby królewskiej, bo Hugh nie zamierzał dopuścić do tego, co przydarzyło się Aleksowi.

scan-dalouis

Rozdział jedenasty

Ebony po raz pierwszy od wielu lat przekroczyła zburzony fragment masywnego muru rzymskiego ciągnącego się od Solway Firth do miasta Newcastle-upon-Tyne na wschodnim wybrzeżu i nareszcie stanęła na angielskiej ziemi. Klasztor Lanercost, posadowiony zaledwie o rzut kamieniem od muru, znajdował się pół dnia jazdy od Gretny, ale pożegnanie się przedłużyło i słońce stało wysoko na niebie, kiedy wreszcie wyruszyli w drogę, tym razem jako szlachcic i jego dama ze świtą.

Dzięki połączonym wysiłkom Seleny, Christiny i Helen w wyglądzie Ebony zaszło kilka zauważalnych zmian. To wystarczyło, by spojrzenia mężczyzn zatrzymywały się na niej dłużej niż zwykle. Świeżo umyte i pięknie zaplecione włosy zostały zwinięte pod szeroką wstążką, która wyglądała jak korona na cienkiej siatce z jedwabnego sznura zdobionej złotymi ćwiekami. Chusta z białego jedwabiu zastąpiła welon. Nowe przyjaciółki powiedziały jej, że teraz, kiedy słońce znów wyjrzało, powinna pochwalić się długą szyją. Pozwoliła im robić wszystko, co chciały, zgodziła się nawet na to, by

uróżowały jej wargi, co widząc, uśmiechnęła się do swego odbicia w zwierciadle.

- Oto arystokratka - powiedziała Selena - która sprawi, że kanonicy z Lanercost staną w kolejce po pokutę.

Kanonicy nie będą jedynymi, którzy doświadczą poczucia winy. Sir Alex już wyraził szczery żal z powodu swojej niezręczności poprzedniego wieczoru. Na swoje usprawiedliwienie miał tylko jedno: miłość i pożądanie zaćmiły mu umysł. Błagał Ebony, by z serca wybaczyła nieokrzesanemu wojownikowi. Stanowczo za długo przebywał poza domem.

Ponieważ przeprosiny ze strony mężczyzn były równie rzadkie, jak jaja ptaka-roka, przyjęła je, starannie ukrywając zdumienie, nie tylko dlatego, że były nieoczekiwane, ale również dlatego, że jej gniewny wybuch doprowadził go do wyznania, co do niej czuje, a na to nie było ceny. Jego oczy mówiły nawet więcej, lustrowały każdy szczegół nowej, wytwornej Ebony, jej wypraną i wyprasowaną suknię i pożyczoną tunikę o brzegach lamowanych filtrem kuny.

- Co robiłaś w nocy? - szepnął do niej - Kąpałaś się w oślim mleku?

- Tak. - Uśmiechnęła się. - Z pierścieniami na palcach i dzwoneczkami u nóg.

W prześwicie muru Hadriana spotkali dziesięciu żołnierzy sir Aleksa, którzy wracali do zamku Kells po odprowadzeniu ludzi sir Josepha na przegląd wojsk w Newcastle. Nie byli w stanie uwierzyć, że dama o królewskiej postawie, która jedzie u boku ich dowódcy, i wrzeszcząca z gniewu, szalona kobieta, która rzuciła się niczym tygrysyca na tłum mężczyzn w poszukiwaniu dziecka, to ta sama osoba.

Wyrazili chęć udania się z nimi do Lanercost, ale sir Alex

domyślił się bez trudu, co chodzi im po głowie, i powiedział ze śmiechem:

- Nie, wracajcie do zamku, wykąpcie się i ogólcie, wszyscy co do jednego, i bądźcie tam, kiedy powrócimy. Dam znać Leylandowi, co się z nami dzieje. Pilnujcie dobrze młodego lairda.

Ebony w milczeniu wpatrywała się w swoje wypielegnowane dłonie. Ciekawe, ilu z nich wie o jego synku i jest w stanie odgadnąć powód ich wizyty w klasztorze? A jeszcze bardziej interesowało ją, ilu z nich spodziewa się, że młody Somers wróci z nimi do Galloway. Dobrze, że została uprzedzona, jak się sprawy mają.

Kiedy po leśnym stoku zjechali w dolinę rzeki Irthing, ich oczom ukazał się klasztor z różowego piaskowca, który przypominał klejnot błyszczący w jaskrawym słońcu na tle bujnej zieleni. Nieopodal klasztoru wiała się rzeka, mijająca stawy rybne i zagrody, sady i zabudowania gospodarcze, wieże i mury, łuki i drewniane budynki kryte strzechą. Z kuchni stojącej z dala od innych zabudowań błękitną smuzką wznosił się dym, na dziedzińcu kręcili się ludzie, inni pracowali w ogrodach.

Jacyś jeźdźcy wracali z polowania z pękami zajęcy zwisającymi z siodeł. Na widok oddziału sir Aleksa, który przejeżdżał przez potężny budynek bramny, jeden z myśliwych pomachał ręką i ruszył ku nim z serdecznym powitaniem. Przeor William z Southaik, szczupłej postury, miał krzacaste siwe brwi i włosy, które lśniły w słońcu jak aureola, co zdaniem tych, którzy znali jego zwyczaj, było całkowicie niezasłużonym wyróżnieniem. Niemniej jednak miał wielkie serce i cieszył się popularnością, był gościnny i pełen

energii, a jeśli bardziej przypominał właściciela ziemskiego niż przeora, w niczym mu to nie przeszkadzało. Ebony natychmiast poczuła do niego sympatię. Jego uśmiech i ojcowski sposób bycia przypominały jej coś, czego nigdy nie miała, i coś jeszcze, czego powinna poszukać.

Na szczęście panował nad ciekawością względem jej osoby, chociaż nazwisko Moffat z pewnością nie było mu obce. Poznała to po tym, że, kiedy je usłyszał, lekko wybałuszył oczy, przyglądał się jej nieco dłużej, niż było w zwyczaju i natychmiast polecił, by poprowadzono ją do najlepszej komnaty w domu dla przyjezdnych. Odpowiedzialny za wygodę gości ojciec Andrew pojawił się nie wiadomo skąd i poprowadził ich przez długie łukowate przejście na otwarty dziedziniec, którego całą przeciwległą stronę zajmował rząd budynków krytych strzechą. Mimo skromnego wyglądu, przestronne wnętrza, które oddano do jej dyspozycji, zadowoliliby nawet najbardziej wymagającego gościa i chociaż nie było tam wielu ornamentów, uwagę zwracały szyby z barwionego szkła w dwóch oknach, kamienny kominek z podmurówką, drewniana boazeria na ścianach i sąsiadująca z komnatą izba łaźni. Ojciec Andrew powiedział, że służba przygotowuje kąpiel, kiedy lady Moffat będzie sobie życzyła, sądząc jednak po jego zachowaniu, miał najwyraźniej nadzieję, że nie będzie się to zdarzać zbyt często.

- Ta część została przygotowana dla królowej Margaret, kiedy przed trzynastu laty zatrzymała się tu na dłużej ze zmarłym królem - wyjaśnił ojciec Andrew. - Król Edward I podróżował do Carlisle, ale poczuł się bardzo źle. Przez całą drogę wieziono go na noszach. Zatrzymali się tu na noc we wrześniu i zostali do marca, musieliśmy więc szybko dokonać rozbudowy. - Pokręcił głową na wspomnie-

nie tego pandemonium. - Setki ludzi, którym trzeba było zapewnić dach nad głową i jedzenie. Nigdy nie widzieliście czegoś takiego. Musieliśmy przebudować tę część i zbudować z kamienia pomieszczenia dla króla, prywatne kaplice, uszczelnić to i owo. Co za wydatek! Część ludzi mieszkała pod namiotami na łące, a robotnicy pracowali dzień i noc. Minęło tyle czasu, a my wciąż odczuwamy skutki tego zamieszania. Wielki przywilej, naturalnie - dodał pośpiesznie - niemniej bardzo męczący. Tak czy inaczej... - mruknął do Ebony - zostały nam wspaniałe pomieszczenia dla gości. A ponieważ mieszkają tu sami kapłani, ustawią się w kolejce, by odprawić prywatną mszę, jeśli tylko pani sobie tego zażyczy. - Te słowa przypomniały jej to, o czym mówiły siostry Springfield, choć im chodziło o coś innego.

Zostawszy sama, Ebony pomyślała, że w takich chwilach przydałaby jej się osobista pokojówka, choć na widok przykrytego futrem łóża z baldachimem, nad którym wisiał mały drewniany krucyfiks, myślami natychmiast powróciła do Sama i Meg. Białe zasłony przy łóżku poruszały się lekko pod wpływem wietrzyku dolatującego z otwartego okna. Dręczona tęsknotą za synem, podeszła tam, oparła się o parapet i wyjrzała na łąkę. Wyobraziła sobie, jak Sam podskakuje i daje susy w sięgających pasa jaskrach i margerytkach, pewna, że teraz poluje na smoki w zaczarowanym lesie.

Jakieś odległe postacie poruszyły się w krajobrazie i wkroczyły w jej myśli. W półśnie patrzyła, jak rozdzielają się i łączą ponownie, zupełnie jak ona i Sam, ale były zbyt daleko, by słyszała ich śmiech. Mała postać podawała coś dorosłej, trudno było stwierdzić, kobiecie czy mężczyźnie. Zatrzymały się, zamieniły kilka słów, potem miał miejsce krótki po-

ścig, szybki uścisk i kolejne rozstanie. Ebony uświadomiła sobie, że to nie wytwory jej wyobraźni, tylko prawdziwi ludzie, i że osobą dorosłą była kobieta, bo właśnie poprawiła ześlizgujący się z głowy welon. To pewnie wieśniacy, bo ten teren należał do mężczyzn, nie matek z dziećmi, a syn Aleksa na pewno ślęczy nad pierwszym podręcznikiem do łaciny w asyście nauczyciela.

Młody braciszek przyniósł gorącą wodę w dużym glinianym dzbanie, spuszczać skromnie oczy. Zamierzał czmychnąć, lecz musiał się zatrzymać, gdy Ebony spytała:

- Są tu jeszcze jacyś goście?

- Tylko dwaj mnisi, pani, w drodze do swego zakonu w Carlisle.

- A do kogo należy tamto pole?

- Do klasztoru. Czy to wszystko, pani? - Znów zamierzał umknąć.

- Nie... zaczekaj, jeśli łaska. Powiedz mi, co to za ludzie, tam, na klasztornej łące?

Popatrzył w dal, mrużąc oczy przed słońcem.

- Ach. - Wyraźnie się odprężył. - To panicz Nicholas i pani Marie. To synek sir Aleksa. Nic dziwnego, że nie mogą go znaleźć. Lepiej już pójdę i powiem im, gdzie jest.

- Nie, ja pójdę i powiem Nicholasowi, że przyjechał jego ojciec. Jak dostanę się na łąkę?

- Przez furtkę tuż przy twoich drzwiach, pani, a potem ścieżką.

Po chwili szła łąką ku oddalonej parze, przekonana, że to najlepszy sposób, by zapoznać się z dzieckiem. Gdy była w połowie drogi, zobaczyli ją, przerwali rozmowę i czekali, aż się do nich zbliży. Nagle poczuła się jak intruz i zapragnęła znaleźć się gdzie indziej, by nie zakłócać tej idylli. Zro-

biła błąd. Niepotrzebny ruch w nieodpowiednim momencie. Postawa kobiety nie była zachęcająca. Ebony zwolniła kroku i stanęła w odległości kilku jardów od nich.

Kobieta była wysoka i smukła. Nie wyglądała na młodą opiekunkę, której spodziewała się Ebony. Naciągnęła welon jeszcze bardziej na twarz i ujęła chłopca za rękę opiekuńczym ruchem, który nie spodobał się Ebony. Teraz widziała, że chłopiec miał lśniące, jasnobrązowe włosy, które opadały mu na czoło i uszy, skórę koloru brzoskwini rzadko usianą piegami i takie same niewiarygodnie niebieskie oczy jak jego ojciec. Teraz te oczy wpatrywały się w nią odważnie. Był ubrany w krótką tunikę w kolorze spłowiałego brązu i także spodnie, wystające z wysokiej trawy. Oceniała, że jest mniej więcej o cal wyższy od Sama.

- Mogę się do was przyłączyć? - spytała, próbując się uśmiechnąć.

Kobieta przyciągnęła chłopca bliżej.

- Kim jesteś, pani? - spytała.

Brzmienie jej głosu wydało się Ebony znajome, ale nie zwróciła na to specjalnej uwagi, bo przede wszystkim chciała rozmawiać z dzieckiem.

- Mam na imię Ebony. A ty jesteś panicz Nicholas, prawda? A pani to Marie?

- Tak, jestem Nicholas - odparł wesolo chłopiec. Wyciągnął rękę i pokazał jej zieloną gąsienicę. - Szukamy stworzeń, które mają nogi, tu jednak ich nie ma. - Na drobnej twarzączce, słodkiej jak u aniołka, pojawił się uśmiech, ale jakiś ruch w trawie natychmiast odwrócił jego uwagę i cokolwiek malec zamierzał powiedzieć, w mgnieniu oka zapomniał.

Marie nieco złagodniała. Ponownie uniosła dłoń, by z wdziękiem poprawić welon smukłymi palcami. Przy tym

ruchu na jej serdecznym palcu zaśniła szeroka złota obrączka, błyszcząca na tle wypłowiałej niebieskoszarej sukni o staromodnym kroju. Jednak w tym niewielkim ruchu i postawie było coś jeszcze, co sprawiło, że Ebony zapragnęła zobaczyć jej twarz i porozmawiać z nią.

- Przepraszam, że przeszkodziłam wam w poszukiwaniach - zaczęła delikatnie. - Powiedziano mi, że pani ma na imię Marie. Czy to prawda?

Kobieta skinęła głową, ale zanim zdążyła się odezwać, podekscytowany Nicholas wskazał na motyla, który właśnie uniósł się z trawy i przeleciał nad nimi. Chłopiec pociągnął Marie, żeby pobiegła za nim. Jej welon opadł jeszcze raz, układając się w fałdy na szyi i odsłaniając zgrabną głowę pokrytą czarnymi, przetykanymi srebrem włosami, związanymi w ciężki kok opadający na kark. Mijając Ebony, zerknęła na nią z na poły przepraszającą, na poły rozbawioną miną. Jej oczy, szare, o ciężkich powiekach, ocienione czarnymi rzęsami wciąż były piękne, choć głęboko zapadnięte. Wyrażały udrękę kogoś, kto wiele wycierpiał i wciąż w głębi serca przeżywa swą traumę. Nic jednak w jej zachowaniu nie wskazywało, żeby Ebony kogoś jej przypominała czy choćby zaintrygowała.

Ebony znów doszła do wniosku, że śni na jawie albo światło płata jej figle.

Nicholas podbiegł, dziwnie podskakując, i pociągnął za sobą Marie. Ebony została z tyłu z niepokojącym wrażeniem, że obserwuje siebie jako babcię goniącą za motylami na słonecznej łące. Za chwilę ci dwoje znikną. Próbowała wołać, ale było to jak sen, w którym nie pojawia się żaden dźwięk. Rozpaczliwie chciała zawołać: „Wracaj! Stój! Jestem tutaj! Popatrz na mnie. Jestem Ebony.

Na pewno mnie znasz". Lecz nie mogła wydobyć z siebie głosu, coś ją zabolalo, na koniec słońce ją oślepiło i sylwetki zaczęły znikać.

- Nie... - wyszeptała - wracaj do mnie... proszę! Muszę się z tobą zobaczyć. Szukam kogoś...

Chłopiec odwrócił się gwałtownie, a potem zatrzymał, obserwując nadejście kogoś, kto niezależnie od liczby nóg, był o wiele lepszym łupem.

- Tata! - zapiszczał. - Tata... przyjechałeś! - Pognał nierównymi susami ku wysokiej barczystej sylwetce, która szeroko rozłożyła ramiona, by go złapać. Wreszcie połączyli się w radosnym uścisku. Chłopiec pofrunął wysoko w powietrze, rozcapierzając ręce i nogi, podobnie jak Sam, i dopiero wówczas Ebony dostrzegła przyczynę jego dziwnego chodu. Poniżej sięgających łydek spodni jedna noga była biała i chuda, ze stopą groteskowo wykręconą do środka.

Ebony ze zdumieniem poczuła, że popołudnie zrobiło się lodowato zimne, a słońce się zaćmiło. Pole przekrzywiło się na bok, a potem wyszło jej na spotkanie. Straciła władzę w nogach i cicho zapadła się w trawiastą nicość.

Przez sen usłyszała śpiew skowronka.

- Nie budź mnie - powiedziała.. - Dobrze mi tu. - Czyjaś dłoń pogładziła jej czoło i pojawiły się twarze, ciemne na tle jasnego nieba.

- Ach, kochana dziewczyno - mrucał sir Alex. - Nie chciałem, żeby to się stało. Co ze mnie za niezdara. - Gdy wziął ją na ręce, poczuła, że jest całkiem bezwładna. - Lepiej ją stąd zabiorę - powiedział. - W domu dojdzie do siebie.

- Nic jej nie będzie, tato? - zapiszczał cienki głosik.

- Nie, Nick. Nic jej nie będzie.

- Nie umrze, prawda?

- Dobry Boże, nie, chłopcze. Na pewno nie. Biegnij i otwórz nam furtkę.

- Kim ona jest, Alex? - spytała Marie gdzieś zza głowy Ebony. - Powiedziała, że ma na imię Ebony. Czy przyjechała z tobą?

- Lady Ebony Moffat - odparł. - Czy to ci się z czymś kojarzy?

- Absolutnie z niczym. Z twojego tonu domyślam się, że powinno, czy tak?

Nie odpowiedział, ale Ebony wiedziała, że się uśmiecha.

Świat wreszcie zatrzymał się w miejscu, kiedy położono ją na futrzanej narzucie łóżka. Czowała się głupio, była idiotycznie zdezorientowana. Pomyślała, że najlepiej będzie słuchać, zamiast mówić. Słyszała, jak sir Alex cichym głosem poinstruował syna:

- Z lodem.

Posłał go więc po wodę. Łóżko poruszyło się i poczuła ciepło, kiedy jej dłoń znalazła się między dwiema kruchymi dłońmi i czyjś kciuk gładził jej knykcie. Dotyk, za którym tęskniła przez wiele lat. Jeszcze niedawno miała nadzieję, że natychmiast w euforii na nowo połączy się z matką, którą tak kochała, usłyszy jej historię, opowie swoją, zwierzy się jej i poprosi o radę, którą może dać tylko ukochana matka. A teraz mogła liczyć jedynie na dotknięcie jej dłoni. Podniosła powieki i spojrzała prosto w przyszły obraz samej siebie, który wyrażał czule zaniepokojenie w szarych głębiach oczu, wzmocnione lekkim zmarszczeniu pięknych brwi.

- Tak - odparła Marie. - Widzę podobieństwo. To dość niezwykle, prawda? Proszę mi wybaczyć, pani. Cóż, to moja wina, ale za żadne skarby... - Szukała odpowiednich słów,

by wyjaśnić. - Miałam wrażenie, że zobaczyłam siebie samą, idącą ku sobie przez trawę. Siebie jako młodą kobietę. Nic jednak nie pamiętam. - Ze smutkiem potrząsnęła głową. - Zdaję sobie sprawę, że powinnam cię znać, ale prawda jest taka, że nawet nie wiem, jak się naprawdę nazywam. Wierzysz mi, pani? Jest ci przykro, widzę to.

- Chłopiec powiedział mi, że masz, pani, na imię Marie.

- Wszystkie domy augustynów są pod wezwaniem Marii Magdaleny - wyjaśniła. - Przeor William znalazł mnie podczas polowania. Nie pamiętam tego, ale przywiózł mnie tutaj i od tamtej pory opiekują się mną zakonnicy. W podziękowanie robię dla nich, to co mogę, na przykład naprawiam habity i kościelne szaty. To bardzo niewiele.

Sir Alex usiadł z drugiej strony łóżka.

- Była na wpół martwa wskutek nadmiernego wyziębienia i przez wiele tygodni nie mogła mówić, więc nazwano ją Marie w braku innego imienia. To niezwykle dla zakonników trzymać damę w klasztorze, ale przeor William tworzy własne reguły, a mały Nicholas i ona z miejsca poczuli do siebie sympatię. Miał wtedy cztery lata i zaczynał się robić niesforny, potrzebował więc opiekunki i nauczycielki. Pani Marie jest darem niebios i robi o wiele więcej, niż twierdzi.

- Dobrze nam z sobą. - Uśmiechnęła się. - Nicholas pomógł mi stworzyć sobie nowe życie.

- A ty nauczyłaś go czytać i pisać.

- Tak jak mnie - szepnęła Ebony.

- To tak się nauczyłaś. Byłem ciekaw.

- A ty musiałeś podejrzewać, że między nami może być jakiś związek, ale nic mi nie powiedziałeś. - Stąpienie po szkle było niczym w porównaniu z tym wszystkim, pomyślała, kiedy znaczenie całej tej historii zaczęło do niej docierać.

Wiedziała jednak, że będzie musiała postępować ostrożnie, a także znaleźć w sobie siły za dwie kobiety. Marie w mgnieniu oka nie stanie się na powrót sobą sprzed lat, nie stanie się na powrót jej matką. Choć Ebony pragnęła rzucić się jej w ramiona i wylać tłumioną rozpacz wielu lat rozłąki, rozumiała, że tak egoistyczny postępek tylko wprowadziłby w zakłopotanie zagubioną nieszczęśnicę, która nie była w stanie rozpoznać swoich krewnych. Po prostu trzeba cierpliwie czekać, aż nadejdzie zmiana. Jeśli nadejdzie. To był rozdzierający serce stan, którego za nic nie mogła przewidzieć, niemniej było pewne, że jej matka cierpiała tak samo jak ona, a wyrządzona jej krzywda może być o wiele trwalsza i poważniejsza.

- Nie - zaprzeczył sir Alex. - Nikomu nic nie mówiłem, tylko Hugh rozmawiał ze mną na ten temat, bo pierwszy dostrzegł podobieństwo. Byliśmy tu przed paroma miesiącami na szóste urodziny Nicka, a kiedy zjawiliśmy się w zamku Kells, od razu zwrócił mi na to uwagę.

- Kiedy przeor znalazł panią, Marie?

- W sierpniu, przed dwoma laty, rok po tym, jak pani...

- Tak - potwierdziła Ebony - ale nie tylko ja kogoś straciłam...

- Przeor William bardzo mi pomógł - dodał Alex. - Zналиśmy się od lat, jeszcze zanim konflikty się nasiliły. To, że znajdowaliśmy się po różnych stronach, nie wpłynęło na naszą przyjaźń i na jego miłość do Nicka.

Ebony odniosła wrażenie, że Alex unika odpowiedzi na jej zawołane pytanie.

- Tak, ale czy przyjaźń z wrogiem nie jest uważana za zdradę? - spytała.

Zaśmiał się lekceważąco.

- Wrogość między Anglią a Szkocją nie jest tak jednoznaczna, o czym sama dobrze wiesz. Nasze kraje nie tak dawno temu łączył sojusz. Szkoci byli pod panowaniem angielskim, angielscy lordowie otrzymywali ziemie w Szkocji. Nick był po angielskiej stronie równie bezpieczny, jak po szkockiej, a ja mogłam go odwiedzać, kiedy tylko wyruszałam z kolejną misją. Nie może jednak zostać tu na zawsze, to pewne.

- Potrzebuję matki i towarzystwa innych chłopców - nie spodziewanie wtrąciła się Marie. - Wiesz, że tak jest, Alex.

- Lady Ebony potrzebuje matki i towarzystwa męża - odparł - a jej mały synek też potrzebuje towarzystwa innych chłopców.

- Nie - włączyła się Ebony. - Nie tak szybko. Wszystko w swoim czasie. Żadna kobieta nie podziękuje ci za wywieranie presji i narzucanie rozwiązań, które może jej nie odpowiadać. Takie sprawy należy starannie rozważyć. - Miała na uwadze Marie, jej niepewność i zagubienie, ale sir Alex zinterpretował jej słowa po swojemu. Uznał, że odpowiedziała na całkiem inne pytanie.

- Na pewno masz rację. - Wstał. - A oto i woda, prosto ze źródła. Doskonale się spisałeś, Nick. - Wziął od niego dzban, nalał wody do kubka i wręczył Nicholasowi. - Podaj to lady Ebony.

- Dziękuję - rzekła z uśmiechem. - Masz tyle samo lat co mój Sam, chociaż myślę, że jesteś o cal wyższy.

- Czy twój Sam wygląda jak ja? - spytał Nicholas, czym chwycił ją za serce.

- Jest bardzo podobny do ciebie. Jestem pewna, że chciałby cię poznać.

- A czy ma kucyka? - Nie czekając na jej odpowiedź, któ-

ra wydała mu się oczywista, dodał: - Ja miałem kucyka, ale mi go ukradziono.

- Och, kochanie, jak mi przykro. - Spojrzała na sir Aleksa, świadoma, że to następny powód, dla którego Nicholas powinien zamieszkać w zamku Kells. Ile jeszcze takich powodów się znajdzie? - zastanowiła się.

Ojciec podniósł syna i uściśnął.

- Teraz - powiedział - chciałbym, żebyś poszedł z panią Marie do swojego pokoju i przygotował się do wieczery. Wkrótce do was dołączę.

- Obiecujesz?

- Obiecuję.

Nick zbliżył wargi do ucha ojca i coś wyszeptał, zerkając przy tym na Ebony.

- Tak - odparł Aleks. - Jest ładna, bardzo ładna. A teraz zmykaj.

Marie i chłopiec wyszli z pokoju, rozmawiając jak szkolni przyjaciele, nie bacząc na dzielące ich pięćdziesiąt lat.

Ebony niczego nie pragnęła bardziej niż spytać o stan umysłu matki, porozmawiać o jej przeszłości i przyszłości, jednak zamiast tego poprosiła:

- Opowiesz mi o nim? To uroczy mały chłopiec. I taki podobny do ciebie... chodzi mi naturalnie o wygląd. Domyślasz się, że o nim wiedziałam?

- Helen ci powiedziała. - Znow przysiadł na brzegu łóżka. - Cóż, nieważne. Przyjechałaś tu i tylko to się liczy. Jego matka była Angielką, pochodziła z Londynu. Po ślubie zabrałem ją do Szkocji, ale nigdy nie poczuła się tu dobrze, również z tego powodu, że zbyt często wyjeżdżałem. To był fatalny błąd z mojej strony, ale myślałem, że małżeństwo jej wystarczy. To takie typowo szkockie... Zaszła w ciążę, a ja

musiałem jechać do Flandrii z misją, która zajęła mi o wiele więcej czasu, niż zakładałem. Kiedy mnie nie było, wioska została napadnięta. Mały miał wówczas zaledwie cztery tygodnie. - W gardle ścisnęło go z emocji. - Próbowwała go chronić, ale w trakcie walki cięto go w stopę. Moja żona nie była ciężko ranna, ale zmarła z szoku. Była taka delikatna... Nie powinienem był jej zostawiać.

- Alex, to straszne. Tak mi przykro. - Popatrzyła na swoje ręce, szukając odpowiednich słów, ale ich nie znalazła. Cierpiał równie mocno jak ona. - A więc przywiozłeś dziecko tutaj?

- Tak, przyjaciele gotowi byli się nim zaopiekować, jego rodzina w Londynie też, ale tego nie chciałem. Wierzyłem, że tu, wśród ludzi, którzy nie opowiadają się po żadnej ze stron, będzie bezpieczniejszy. Dobrze im płacę.

- A kucyk Nicholasa? Domyślam się, że to ten z zamku Kells?

- Obawiam się, że tak. Kolejna ofiara kradzieży i powtórnej kradzieży, jaka miała miejsce między twoim teściem a jego bratankiem. Powinien był zostać sprzedany w Szkocji, ale przeor kupił go w dobrej wierze od kogoś poleconego przez Davy'ego Moffata. Zanim jednak został znów skradziony pewnej ciemnej nocy, mnisi zdążyli wypalić mu L na boku. Biedny Nick był zrozpaczony. - Popatrzył na nią uważnie. - Dobrze się czujesz? Ciii, ukochana. Nie płacz. - Wziął ją w ramiona, przytulił jak dziecko i czule gładził po plecach. - Ciii, już dobrze. Ciii... ciii...

Niezdolna była powstrzymać rozpacz ani chwili dłużej. Urywany szloch wstrząsał całym jej ciałem, czuła smutek i miała mętlik w głowie, ale przede wszystkim wypełniała ją wszechogarniająca miłość, którą z łatwością obdarzyłaby ca-

łą trójkę, gdyby tylko chcieli ją przyjąć. Nie była jednak pewna reakcji żadnego z nich.

Uspokoił ją łagodnie.

- To był dla ciebie szok, wiem. Nie przyszło mi do głowy, że znajdziesz ich pierwsza. To było zaniedbanie z mojej strony. Ciii, ukochana.

- Ja nie mogę... zapytać jej... o nic. - Rozpłakała się. - Ona nie może opowiedzieć mi, co się stało. Jak mogę jej pomóc? Jak mogę nalegać, by wróciła ze mną do domu?

- Przeor William powie ci, co o niej wie, ale nie ma tego wiele. Fizycznie znów jest sobą, natomiast umysł wciąż szwankuje. Medycy twierdzą, że tylko czas może ją uleczyć. Nie jest nieszczęśliwa i nie cierpi. Uwielbia Nicka, a zakonnicy traktują ją po królewsku. Pomaga im w opiece nad chorymi, bo dużo wie o lekach. To dziwne, jak wiele pamięta z tego, czego się nauczyła, fizykę i łacinę, a nie pamięta tak ważnych rzeczy, tego, kim jest, jak się tu dostała i skąd przybyła. Najbardziej zastanawia mnie jednak co innego. Ona zdaje sobie sprawę, że kiedyś wyglądała jak ty. Uważam to za bardzo optymistyczne.

- Tak, to prawda. Myślisz, że kiedyś uzna mnie znów za córkę?

- Cóż, zaakceptowanie cię to jedna sprawa, nawet jeśli wciąż nic nie pamięta, ale powrót z tobą do zamku Kells to całkiem coś innego. Będzie to zależało od tego, co stanie się z Nickiem. Nigdy nie odeszłaby stąd bez niego.

- Ach - powiedziała, delikatnie się wycofując. - Naturalnie.

Wieczorny spokój, który otulił piękne opactwo Lanercost, był zbyt niebiański, by psuć go rozmową o problemach Ebony, chociaż to właśnie był powód, dla którego przeor Wil-

liam zaprosił ją, by mu towarzyszyła w przechadzce po przyklasztornych ogrodach.

- Z tego, co powiedział mi Alex podczas wieczery - zaczął - wynika, że jesteś, pani, córką Marie, a ona to lady Jean Neviljestowe z Carlisle. To miałyby sens. Mogłaby pokonać tę odległość w ciągu kilku tygodni, czy raczej, co byłoby bliższe prawdy, błąkać się po okolicy. Naturalnie dostrzegłem podobieństwo, jak tylko przyjechałaś, pani. - Pchnął drewnianą furtę prowadzącą do sadu i powiodł ją ścieżką nad rzekę i do stawów rybnych, które lśniły w ostatnich promieniach słońca.

Ebony jadła wieczrę w towarzystwie matki w wychodzącej na południowy zachód komnacie nad kaplicą królewską, gdzie Marie zwykła siadywać z robotką albo lekturą, lub prowadziła lekcje z Nicholasem. Rozmawiały o sprawach, które mogły poruszyć osobiste wspomnienia Marie. Ebony kilka razy miała nadzieję, że tak właśnie się stało, nie miała jednak pewności.

Z wzruszającą wnikliwością ojcowski przeor przewidział, że Ebony pragnie bezstronnej rozmowy na temat, który najwyraźniej ją zaskoczył. Dlatego przyszedł do niej pod pretekstem, że pragnie pokazać jej wysoki kamienny krzyż wzniesiony przed kilkuset laty. Zerknęła z ukosa na jego czarno-biały strój, obszerny płaszcz, kaptur i leżące na nim piękne białe włosy. Pobrużdżona twarz świadczyła o życiu obfitującym w umysłowe i fizyczne zmagania. Nic w tym dziwnego, skoro opactwo było świadkiem straszliwych gwałtów, a teraz wspólnota liczyła zaledwie trzynastu braci. Zamiast matki, pomyślała Ebony, przeor William znakomicie się nada.

- To wyjątkowo niezwykle doświadczenie - powiedziała.

- Znaleźć ją w końcu?

- Tak, ojczy, a już zwłaszcza w chwili, kiedy najmniej się tego spodziewałam. Tak bardzo chciałam, żeby nasz kontakt był taki jak przed laty... żeby mogła rzucić się w jej objęcia, powitać ją. Od tak dawna za nią tęskniłam, ale nie pozwolono mi jej szukać, a teraz czuję się przerażająco nieprzydatna, bezsilna, jakbym była zupełnie zbyteczna.

Zwolnili, kiedy doszli do dużego stawu rybnego, którego powierzchnia drgała delikatnie, bo pływające tuż pod powierzchnią ryby chwytają owady.

- A ty chcesz być potrzebna - zauważył cicho. - To całkowicie naturalna reakcja. I przeżyłaś potężny szok, zdaję sobie z tego sprawę. Alex powiedział mi, że mały Nicholas też jest dla ciebie, pani, nowością. A więc co sądzisz o Nicholasie, kiedy już go poznałaś?

Jej twarz zaślniła matczynym współczuciem.

- To czarujące dziecko. On i Sam mogliby... - Znów działała za szybko. Mógłby pomyśleć... co mógłby pomyśleć?

- Być dobrymi braćmi? A więc w czym problem? Masz, pani, jakieś zastrzeżenia, prawda?

- Jak mam to ojcu powiedzieć? - szepnęła.

- Jestem księdzem i jesteśmy sami. Nie ma nikogo, kto by bardziej się nadawał do wysłuchania twoich zwierzeń. Może właśnie kogoś takiego brakuje ci najbardziej. Kogoś bezstronnego, kto cię wysłucha.

- Tak, ojczy, ale zna ojciec sir Aleksa od wielu lat i wie, jak oddany jest służbie królewskiej. On i pan Hugh są znakomitymi oficerami do specjalnych poruczeń. Czy opowiedział ojcu o misji na zamku Kells?

- Tak, pani.

- A więc wiesz, ojczy, że bardzo rzadko przebywa w jed-

nym miejscu dłużej niż tydzień. Co z niego za ojciec? Na pewno chciałby, żeby Nicholas pojechał z moją matką do zamku Kells. Zresztą wątpię, czy zgodziłaby się stąd wyjechać bez niego, musimy więc traktować ich jako całość, prawda? Jeśli uda mi się nakłonić matkę do zamieszkania ze mną, Nicholas musi także zamieszkać z nami.

- Czy sir Alex powiedział ci to, pani?

- Nie w tak wielu słowach, ojczu.

- Mnie to powiedział.

- W takim razie chce, żeby Nicholas był ze mną. A Sam? Cóż, na tym właśnie polega problem, ojczu. Mam wrażenie, że on posługuje się Nicholasem i moją matką jak marchewką, która ma mnie skłonić do tego, bym stała się przybraną matką dla jego dziecka. Proszę mnie źle nie zrozumieć, z łatwością mogłabym pokochać tego malca. Potrzebuje matki, to prawda, ale ta sprawa wygląda mi podejrzanie, jak jakiś targ. - Poza tym pod wieloma względami przypominało to poprzednią sytuację, w której ona próbowała tego samego.

- Masz, pani, na myśli rolę macochy, prawda?

- Nie, ojczu. Proszę mi wybaczyć, ale nie. Nie padło ani jedno słowo o małżeństwie, a nawet gdyby, to małżeństwo z sir Alekssem byłoby jak poślubienie cienia. Dziś tu, jutro tam. Nie tego oczekuję od ojca moich dzieci. Już wycierpiałam trzy lata wdowieństwa. Nie byłoby też z niego wielkiego pożytku dla Sama i Nicka.

- Kochasz go, pani, prawda?

- Tak. Nie mogę temu dłużej zaprzeczać. Kocham go.

- A więc próbowałaś temu zaprzeczać? Dlaczego?

- Z powodów, które przed chwilą przytoczyłam, ojczu, a poza tym Alex sprawiał wrażenie całkiem nieodpowied-

niego kandydata, a ja nie jestem jeszcze gotowa znów pokochać.

Przeor musiał się uśmiechnąć, usłyszawszy te słowa, a jego głos nabrał cieplejszego brzmienia.

-Córko, muszę zwrócić ci uwagę na pewną istotną sprzeczność, której wydajesz się nieświadoma. Gdybyś nie była gotowa znów pokochać, nie wyznałabyś mi, że go kochasz. Miłość nie czeka dyskretnie i nie pyta o pozwolenie przyścia. Żal też nie ma określonego czasu. Każdy z nas jest inny, a głębia naszej miłości dla tych, których utraciliśmy, nie jest wiarygodną wskazówką. Nie ma wewnętrznego kalendarza, który dyktuje naszym sercom, jak mają postępować, pani. Nasze potrzeby nam to dyktują, a kontroluje je coś ważniejszego niż my. Jak przed chwilą powiedziałem, masz prawo do swoich potrzeb.

- Nie jako okazjonalna kochanka i przybrana matka w jednej osobie. Na taką rolę się nie godzę, ojczcie. Nie chcę też tłumy bękartów. Proszę mi wybaczyć moją szczerość.

- Z ochotą, bo szczerość jest dla mnie najważniejsza. Z tego co wiem, dałaś, pani, do zrozumienia sir Aleksowi, że nie jesteś gotowa na przyjęcie oświadczyn. Nie chcesz być ponaglana. Czy mógł to być powód, dla którego nie poprosił cię wprost, byś została jego żoną? Ponieważ wie, że odrzuciłabyś go, pani?

Przeszli do kamiennej ławki, nagrzonej słońcem, i tam usiedli jak ojciec i córka. Ebony zmarszczyła brwi.

- Nie chciałam być ponaglana? - zdziwiła się. - Nie przypominam sobie, żebym powiedziała coś takiego. Nie przypominam sobie, żeby temat małżeństwa w ogóle został poruszony, ojczcie. Kiedy to było?

- Tuż przed wieczerzą, jak mi się zdaje, kiedy powie-

działaś, pani, że żadna kobieta nie podziękowałaby mu za wpychanie w sytuację, która jej nie odpowiada. Wszystko w swoim czasie. Czy nie tak brzmiały słowa, których użyłaś?

- O Boże, nie - jęknęła.

- Nie? W takim razie co?

- Do licha! Mówiłam o mojej matce, nagle wrywanej stąd z korzeniami i zmuszonej udawać kogoś innego tylko dlatego, że powiemy jej, kim naprawdę jest. Jeśli o nią chodzi, jest panią Marie. Wszystko w swoim czasie. To właśnie miałam na myśli. O Boże, a on pomyślał...?

- Najwyraźniej.

- No dobrze. Wyznał mi miłość, ale wciąż jestem przekonana, że jego sytuacja nie pozwala na zaproponowanie mi małżeństwa, ojczcie. Na pewno powiedział ci, że moja siostra i ja będziemy musiały opuścić zamek Kells w ciągu kilku tygodni, może nawet wcześniej. Zamkiem może rządzić mężczyzna, który w nim zamieszka, nie dwie samotne kobiety z dziećmi czy nawet kobieta zamężna, której męża nigdy nie ma w domu.

- A nie przyszło ci do głowy, że po drodze o czymś zapomniałaś? Czy twoja logika zblądziła na małą chwilę?

- Jaka... jaka logika?

Zaśmiał się cicho, potem zwrócił ku niej smutne spojrzenie.

- W takim razie zacznijmy od początku. Alex chciałby, żeby Nick zamieszkał z tobą na zaniku, prawda?

-Tak mi się zdaje. Wie, że moja matka nie wyjechałaby stąd bez Nicholas'a.

- A zamkiem musi zarządzać mężczyzna, który zamieszka w nim na stałe.

- No... tak.

- I tu właśnie przyda się logika. Gdyby Alex myślał, że wkrótce będziesz musiała się wyprowadzić z zamku Kells, to czy chciałby, żeby jego syn tam zamieszkał? To kompletnie nielogiczne, prawda? A może postanowił osiedlić się tam na stałe, zwłaszcza po tym, co przytrafiło się jego zmarłej żonie i pierworodnemu dziecku? Chyba nie chciałby ryzykować, by historia się powtórzyła? A ponieważ cię kocha, co także mi powiedział, czy nie jest jasne, że twoje obiekcje nie mają podstaw? Nie może zatrzymać zamku i jednocześnie włożyć się po całym chrześcijańskim świecie w służbę króla. Czyżby więc dlatego tak go gnało do Newcastle, bo chce zobaczyć się z królem i mu to powiedzieć?

Przez kilka chwil Ebony przetrawiała ten logiczny wywód, który sama, prawdę mówiąc, powinna była przeprowadzić już jakiś czas temu.

- Myślisz, ojcze, że on jest gotów do takiego poświęcenia? - powiedziała w końcu.

- To niezbyt wielkie poświęcenie zamienić jedną odpowiedzialną funkcję na inną, pani, a przy tym obrona zamku przed Anglikami to krok w górę, nie w dół. Może pewnego dnia sam król będzie chciał się tam zatrzymać? - Uśmiechnął się, wstał z ławki i podał rękę Ebony. - Dlaczego nie porozmawiasz o tym z Alekssem? Oczyścić atmosferę. Nigdy nie będzie na to lepszego momentu niż teraz.

- Dzisiejszej nocy?

- Właśnie. Im wcześniej, tym lepiej. Pozwoliłem mu przyjść do twego pokoju. Kiedy intencje są zgodne z prawem i uczciwe, nie ma mowy o grzechu. Opowiedz mu o swoich obawach i wysłuchaj, co ma do powiedzenia. No dalej. Już czas. Ci dwaj malcy szybko rosną.

- Tak, ojczec, tak zrobię. Dziękuję. - Impulsywnie uniosła się na palce, by pocałować go w policzek, a ponieważ w pobliżu nie było nikogo, kto mógłby skomentować poprawność tego zachowania, pochylił się nieco, by przyjąć podziękowanie z radością uczniaka.

- Uznałem, że czas skorzystać z pomocy mediatora - powiedział sir Alex bez wstępów. - W przeciwnym razie krążylibyśmy wokół siebie, zataczając coraz większe kręgi, i nigdzie byśmy nie doszli. A więc porozmawiałem z dobrym przeorem. Dobrze zrobiłem, najdroższa?

Stał na progu jej komnaty. Światło zaczęło przygasać. Nicholas został otulony na noc przez trzy osoby zamiast jednej, a wieczór wydawał się tak nierzeczywisty, że nawet Ebony trudno było pojąć, co się dzieje. Na dworze ostatnie pszczoły wróciły do uli, a płomienie tańczące wokół kłody jabłoni w kamiennym palenisku pochyliły się i odżyły w podmuchu powietrza.

- Zamknij drzwi - szepnęła. - Tak, dobrze zrobiłeś. Można byłoby pomyśleć, że on też kiedyś był zakochany.

- Zapewne tak. - Zamknął drzwi. - Mówią, że ma barwną przeszłość.

- Naprawdę?

Przypadli do siebie i wszystko stało się nieważne. Liczyły się jedynie ręce, które przytulały, gładziły, błdziły, i wargi budzące wargi w głębokich pocałunkach. Wreszcie Ebony odsunęła się nieco i ze śmiechem pociągnęła Aleksa do łóżka.

- Naprawdę wszystko źle zrozumiałam? - zapytała. - Dlaczego mi nie powiedziałaś?

- Bo jestem niezdarny i wolno myślę - odpowiedział, pieszcząc jej twarz - i nie mam pojęcia, jak funkcjonuje ko-

biecy umysł. I nie wiem, co jest pierwsze, słowa czy działanie, a może chłopcy, a może twoja matka albo...

- Tak, zbyt wiele spraw rodzinnych ściąga nas z kursu, ale musisz wiedzieć, jak bardzo cię kocham, Alex. Musiałeś to podejrzewać.

- Nie - powiedział pokornie. - Nie wiedziałem. Będziesz musiała mi to powiedzieć, najdroższa.

- Za każdym razem, kiedy już miałam ci to powiedzieć, natchodziły mnie wątpliwości.

- W kwestii miłości do mnie?

- Nie, w kwestii wycucia czasu. Ciemność wydawała się najlepszym sposobem, by to ukryć przed własną świadomością. Kobieta boi się, że kocha mężczyznę, który za kilka dni zniknie z jej życia i nigdy nie wróci. Nie idzie też z nim do łóżka, jeśli ma choć odrobinę rozsądku, ale, jak widzisz, targowałam się z moim rozsądkiem. Straciłam też sumienie. I serce. Kocham cię, Alex. Uwielbiam cię. Chcę być twoją żoną i rodzić ci dzieci, zaopiekować się Nickiem i kochać go jak własnego syna. I chcę być twoją towarzyszką, chcę być dla ciebie wszystkim. I chcę, żebyś był ojcem dla Sama. On też cię uwielbia. Wszyscy cię uwielbiamy.

- Najdroższa. - Ujął jej twarz. - Nie zasługuję na to po tym, jak cię potraktowałem.

- A czy miałaś inne wyjście? To była misja jak każda inna.

- Niezupełnie. - Uśmiechnął się. - Misje nie kończą się ślubem z kobietą, która jest spełnieniem marzeń każdego mężczyzny. Jesteś nie tylko najpiękniejszą, ale najzarliwszą i najbardziej opiekuńczą matką oraz najwrażliwszą i najbardziej nieustraszoną istotą. Łabędź - szepnęła, przesuując dłoń po jej twarzy i szyi - piękny czarny łabędź. Wyjdź za mnie, moja ty

cuda. Zostań u mego boku. Nie wyjadę więcej na żadną misję, przysięgam. Zostaniemy razem na zawsze, ty, ja i nasza rodzina. I będziemy mieli więcej dzieci, prawda?

- Ile tylko zechcesz. Musimy się śpieszyć, nie mamy czasu do stracenia, kochanie.

Nie spodziewała się, że potraktuje to tak dosłownie, chociaż nie udawała oporu, kiedy ją rozbierał, bo do tego czasu jej ciało ożyło, a zmysły w pełni się rozbudziły. W ich miłosnym spotkaniu pojawiło się teraz coś nowego. W ich oczach, otwartych, lśniących i głębokich płonęło pragnienie. Alex położył Ebony na łożu, by równocześnie obserwować własną dłoń i jej reakcję, to, jak jej miękkie ciało poddaje się delikatnemu naciskowi. Po raz pierwszy od pamiętnej kąpeli pod wodospadem widział ją nagą, podobną syrenie i tak, jak to sobie wówczas wyobraził, pieścił ją wolno, erotycznie, zmysłowo.

Dla niej również była to inna miłość. Rozkosz kochania została zwielokrotniona i przedłużona. Kiedyś żartobliwie powiedział jej, że była zbyt szybka i zbyt gorąca, by dało się ją zatrzymać. Aż do tej pory nie odkryli, jak spowolnić reakcję jej zmysłów. Jednak teraz, w przyćmionym świetle, Ebony widziała każdą wypukłość jego muskularnego ciała, strzechę włosów, przypominających odpryski dębu, i błysk w jego oczach, który sygnalizował, gdzie teraz przeniesie się jego zainteresowanie. Patrzenie na niego, smakowanie wilgoci na jego skórze, obserwowanie miejsc, gdzie zabłądził jej język, podniecało ją. Jej poszukiwania musiały być niespieszne, tyle w nich było nowości.

Leniwie odsunęła go nieco i położyła obok, by osiągnąć tych intymnych części, z którymi już zdążyła zawrzeć więcej niż przelotną znajomość.

- Możesz go dotknąć - szepnęła. - Jest twój.

Wzięła go w dłoń, czując pulsowanie życia pod delikatną skórą.

- Czy to ten wspaniały miecz, którym nie wywijasz z zamkniętymi oczami? - zażartowała z uśmiechem.

- Żołnierskie gadanie - odparł, błyskając białymi zębami. - Mamy imiona, żadne z nich nie jest zbyt wyszukane. Czasami potrafimy być nieokrzesani.

-Wiem. Czy mógłbyś być nieokrzesany przez najbliższych parę minut?

- Z pewnością, pani. A już się obawiałem, że nigdy do tego nie dojdiesz.

- Uczę się. Bądź cierpliwy.

Cierpliwość była czymś, czego oboje usiłowali się nauczyć tej nocy w najdłuższym, najwolniejszym, najbardziej entuzjastycznym miłosnym zespoleniu, jakiego kiedykolwiek doświadczyli, a jeśli sądzili, że ich poprzednie noce nie miały sobie równych, do świtu przekonali się, że nawet ideał można prześcignąć.

Naga i senna Ebony pojawiła się w świetle padającym z okna, przy którym Alex mył się w misce. Podeszła cicho, objęła go w pasie i czule przytuliła się całym ciałem do jego pleców.

- To - wyjaśniła - ma wynagrodzić mi poranny chłód. - Zaczekała, aż skończy wycierać twarz i szyję, a potem poprosiła: - Powiedz mi jeszcze raz.

Rękami nakrył jej dłonie spoczywające na jego brzuchu, po czym odwrócił się, objął ją i odgarnął czarne włosy z jej twarzy.

- Ty - powiedział - zostaniesz moją żoną, będziesz zna-

na jako lady Ebony Somers i zamieszkamy razem na zamku Kells. Mój Boże, kobieto... chcę na ciebie patrzeć. - Odsunął ją od siebie, ona zaś czuła, jak miękną pod nią kolana, a ból w łonie staje się coraz bardziej natarczywy. Delikatnie podtrzymał jej piersi, a Ebony zamknęła oczy w ekstazie. Stała na palcach, objęła go za szyję i poczuła, jak ją podnosi i niesie do rozgrzanego ich ostatnim kochaniem łoża.

- Kocham cię - powiedziała szeptem przy jego policzku. - Kochany, to moje serce rzuciłeś w górę i złapałeś. Wiedziałeś o tym?

- Tak, ukochana, ale ty miałaś moje od początku. A może znów chcesz się targować?

- Nie - odparła sennie. - Zatrzymaj je. Wygrałeś je. U ciebie będzie bezpieczne.

Epilog

Wydarzenia na zamku Kells wspomniano w Galloway przez wiele lat z różnych powodów, w zależności od tego, kto opowiadał, romantyczna młoda panna, doświadczony rycerz czy daleki znajomy kogoś, kto dobrze znał starego Moffata. Młodszy mężczyźni, naturalnie, skłaniali się do kpin, uważając, że to stek bzdur. Wojownicy raczej nie zakochują się w kobietach biorących kąpiel pod wodospadem w pierwszy poniedziałek maja, a nawet jeśli, z pewnością nie żenią się z nimi i nie żyją długo i szczęśliwie z gromadką urodzinych dzieci. Młode panny natomiast nie tylko w to wierzyły, ale przydawały historii barwne upiększenia, przekonane, że przynajmniej część z nich musi być prawdziwa. I miały rację, zwłaszcza w kwestii ślubu owdowiałej lady Ebony z królewskim wysłannikiem, którego początkowo uważała za rabusia.

Tak naprawdę lady Ebony i jej dzielny rycerz wrócili z Lanercost do zamku Kells nieco później, niż zakładali. Zwłoka spowodowana została nie tylko tym, że towarzyszyli im lady Jean Nevillestowe i mały Nicholas Somers, ale także tym, że zabrali z sobą kilka pozbawionych środków do życia i przy-

mierających z głodu rodzin. Lady Ebony bardzo na to nalegała. Nie chciała zostawiać ich bez pomocy i spierała się w tej sprawie z przyszłym mężem dotąd, aż wygrała. Biedacy zamieszkali na zamku, a wkrótce wybudowano dla nich chaty w wiosce. Wielu ich potomków jeszcze żyje. Już za jej życia nazywali ją świętą.

Mąż lady Ebony, ojczym młodego lairda, zrezygnował z funkcji wysłannika króla do specjalnych poruczeń tuż przed tym, zanim konflikt między Szkotami i Anglikami przybrał na sile. Został mianowany zarządcą zamku Kells do czasu, aż młody laird osiągnie pełnoletność. Większość mężczyzn, którzy służyli u sir Aleksa, chętnie pozostało na jego służbie, choć trzech z nich w przeciągu roku wżeniło się w rodzinę Springfieldów z Gretny. Najstarszy z kompanii, znany jako Josh, ku powszechnemu rozbawieniu ożenił się z piastunką małego lairda i wkrótce znów został ojcem. Natomiast sir Alex Somers doczekał się rodziny złożonej z dwóch chłopców i dwóch dziewczynek, które, jak wieść niesie, wprost uwielbiały starszych przyrodnych braci. Ci dwaj byli nierozłączni, dzielili się wszystkim, nawet starym kucykiem galloway, i choć Nicholas Somers miał zniekształconą stopę, jego umiejętność strzelania z łuku była legendarna. Był też bardzo mądry. Następne pokolenie mieszkańców wsi nawet nie zdawało sobie sprawy, że on i Sam Moffat nie są krewnymi, tak bardzo byli podobni i tak bliscy sobie się stali.

Liczne opowieści o matce lady Ebony były równie naciągane jak pozostałe. Mówiono, że złe duchy rzuciły na nią urok, że zajmuje się magią, jest głuchoniema i tym podobne bzdury, jednak ci, którzy zetknęli się z nią bezpośrednio, chwalili sobie jej kuracje ziołowe i w ogóle jej wiedzę, okaza-

ła się też wspaniała akuszerką. Nigdy nie odzyskała pamięci, którą utraciła po straszliwym napadzie na jej dom w Carlisle, choć mówiono, że chwilami pamięć częściowo jej wraca. Tak czy inaczej, chyba niezbyt się tym przejmowała, bo blisko siebie miała tych, których kochała, była bezpieczna i otoczona opieką, no i łączyła w sobie funkcje matrony i nauczycielki rosnącej gromadki dzieci.

Gromadki? No cóż, na zamku Kells mieszkała jeszcze jedna para. Hugh Leyland poślubił córkę starego lairda. Pobrali się na początku, lipca, tego samego dnia co lady Ebony i sir Alex. Meg była płomiennowłosą dziewczyną o złotym sercu z pasującym do włosów temperamentem. Stworzyli dużą i gwarną rodzinę Leylandów o miedzianych włosach. Zamek rozbrzmiewał echem ich krzyków, śmiechu, kłótni i walk, a także muzyki.

Nikt nie wie, czy Meg Moffat powiedziała kiedykolwiek swojej szwagierce o tym, jak podglądano je przy wodospadzie w majowy poranek, ktoś jednak musiał to zrobić, bo stało się to jedną z legend związanych z wydarzeniami na zamku Kells. Nie miało to jednak znaczenia; nigdy nie było dwojga ludzi bardziej dobranych niż lady Ebony i przystojny sir Alex, a choć kochała tragicznie zmarłego młodego Robbiego, drugiego męża darzyła tak żarliwym uczuciem, że opowiadali o tym zamkowi gości, którzy ich widzieli choćby nawet w świetle dnia. Są bezwstydni, mawiali z zazdrością w głosie.

Co do gałęzi rodziny z Dumfries, niewiele o nich wiadomo. Podobno władca Robert ukarał kupca winnego i prawnika tak dotkliwie, że ich interesy upadły, co bez wątpienia było z korzyścią dla króla. Jennie Cairns gwałtownie się postarzała. Podobno urodziła dziecko, którego mąż nie chciał

uznać, ale to jedyne smutne wątki w poza tym dobrym za
kończeniu.

Opowieści o Moffatach i Somersach zapewne będą krą-
żyć i zmieniać kształt jak wir potoku, a choć zamek Kells jest
teraz tylko ruiną na brzegu położonego z dala od głównych
szlaków jeziora, na zboczach wzgórz wciąż pasą się dzikie
kuce galloway, potomkowie kuca z wypaloną na boku litera
L, który przemierzył wiele dróg i doświadczył wielu cierpień
nim znalazł przyjazną stajenkę.

koniec